ROK XL. Nr 3—4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1937.

TREŚĆ ZESZYTU.

X. W. Szymbor: Szpital św. Łazarza w Krakowie 127
X. St. Kalla: Z historii seminariów warszawskich 134
Zygmunt Lasocki: Jedna z kart chrześcijańskiego miłosierdzia w czasie wojny światowej 150
Stefan Rosiak: Misjonarze wileńscy w koloniach saratowskich 155
N. N.: X. Edward Mott 163
X. St. Kalla: Misje i rekolekcje Grupy Krakowskiej w r. 1936/7 172
X. Ł. Janczak: Wspomnienie ostatnich chwil istnienia w Polsce Zgromadzenia XX. Misjonarzy w Domu Głównym przy kościele św. Krzyża w Warszawie 182
X. Łukasz Sitko (Wenchow): W towarzystwie pogan 190
Rozporządzenia Stolicy Apostolskiej 196
Kronika 206
Wspomnienia:
S. Wanda Maria Emilia Bzowska 231
Br. Władysław Prinz 251
Nasi zmarli 257

Prenumerata roczna 10 złotych (2 dol.)
Pojedyńczy numer 3 złote.

Opłata na konto czekowe Nr. 150.142 — ks. Król, Kraków

Drukarnia Związkowa w Krakowie, ul. Mikołajska 13.

X. W. SZYMBOR.

Szpital św. Łazarza w Krakowie.

I. Kapelani od 1895 r. — II. Siostry Miłosierdzia. — III. Z przeszłości kościoła.

Parę luźnych notatek.

To nie historia szpitala, na to mi brak źródeł i zainteresowania. Ani rys o stosunkach leczniczych współczesnych szpitala, bo znów kompetencji mi brak i celu nie widzę.

To parę luźnych tylko notatek, zbieranych bez pretensji z dnia na dzień, w pauzach wolnych między spowiedziami na chirurgii, a nabożeństwami w kościele, między wypisywaniem metryk w kancelarii, a obsługą chorych, między chrztami w niedziele a pogrzebami w dni powszednie.

Notatki te zbierałem i spisywałem pod koniec 1930 roku, kiedy przez miesiąc październik pełniłem zastępstwo kapelana u św. Łazarza.

Może to znajdzie łaskę u Czytelników i miejsce w ich wspomnieniach.

I.
Kapelani od 1895 r.

Niema X. Gintrowskiego. Siedzę sam. W późną noc. X. Gintrowski po 24-godzinnej służbie wrócił na Kleparz. Jutro znów tu będzie o godzinie 11. Znów na 24-godzinną służbę. Po południu byłem na oddziale wewnętrznym. Spowiadało się 11 kobiet. Dwie z nich może już jutra nie doczekają. Inne otrzymają jutro rano Komunię św. Na oddziale zakaźnym dałem ostatnie namaszczenie olejem św. jednemu choremu, który już przytomność utracił, ale spowiadał się przed 2 miesiącami. A te okropne rzeczy na oddziale umysłowo chorych! Jestem zupełnie pod strasznym wrażeniem niewypowiedzianej nędzy ludzkiej. Na oddziale chirurgicznym za kilku zawodami wyspowiadałem kilkunastu mężczyzn.

Przed chwilą telefonowała po mnie Siostra, bo właśnie przywieziono młodego mężczyznę, którego gdzieś przy awanturze porznięto. Operacja zaraz się odbędzie, ale p. dr Zborczyński kazał wpierw po księdza zadzwonić. Chory miał jeszcze przytomność, strasznie cierpi, wyspowiadał się i oleje św. przyjął. Teraz jest pod nożem chirurgów. Dopiero-co stamtąd wróciłem. Tyle nędzy! Siedzę sam przy biurku o późnej godzinie wieczornej pod telefonem. Lada chwila mogą zadzwonić i zawołać do chorych. Wolę być bliżej dzwonka. X. Gintrowskiego dziś w nocy o godzinie 1 wzywano na chirurgię. Teraz cisza kompletna. Mogą mnie każdej chwili zawołać do chorego.

Tymczasem szperam w starych księgach, zapisanych przez kapelanów św. Łazarza. Świadczą o tym, którzy Misjonarze tu pracowali. Księgi *Liber natorum* oraz *Liber mortuorum* zapisane przez Misjonarzy, zaczynają się od 15 października 1895 r. Zaczynał je X. Bayer, podpisujący się *Boleslaus Lucas Bayer, capellanus*. Ale w *Elenchus Venerabilis Cleri Dioeceseos Cracoviensis* za r. 1914 widzę uwagę: *Ecclesia Immaculatae Conceptionis B. V. Mariae cum Nosocomio S. Lazari in suburbio Wesoła* i dalej: „Od r. 1871 duszpasterstwo w szpitalu wykonują księża Zgromadzenia Misji. Od r. 1895 kapelanowi szpitala powierzone zostały księgi metrykalne urodzonych i zmarłych w tymże szpitalu i udzielono mu jurysdykcji *quasi parochialis*. Roku zaś 1896 tażsama jurysdykcja rozszerzona została do szpitala dziecięcego św. Ludwika. Ostatnia wizytacja kanoniczna odbyła się 1913 r." [1]).

A więc duszpasterstwo Misjonarze wykonywali tu już od r. 1871. Ale o tych dawnych czasach nic nie wiem. Nie mam niczego pod ręką, coby mi pozwoliło notatki moje uzupełnić [2]). Zato za lata od 1895 r. księgi szpitalne dostarczają materiału do oceny nakładu pracy naszych konfratrów w tym miejscu cierpień ludzkości, największym na całą Małopolskę. Jest największym, bo w r. 1930 szpital św. Łazarza ma o 100 łóżek więcej, niż szpital powszechny we Lwowie.

---

[1]) Elenchus V. Cleri Dioec. Crac. 1914, str. 43. Ta sama uwaga powtarza się w Elenchusie za r. 1930, str. 37.

[2]) Leon Wachholz — Szpitale Krakowskie. Cz. II. 1924, str. 66. Kraków (W zbiorze: Biblioteka Krakowska).

Jak już wspomniałem, zaczynał X. Bayer 15 października 1895 r. Przedtem uczył nas języka polskiego w II. klasie 1893/4 a matematyki w III. klasie 1894/5 w Małym Seminarium na Kleparzu. Wytrwał na ciężkim stanowisku w szpitalu przez 5 lat. Właśnie wtedy wzrosła praca w szpitalu wraz ze wzrostem liczby chorych. Kiedy bowiem przedtem w 1875 r. leczono 3 372 osoby w ciągu 89 350 dni leczenia ze śmiertelnością ogólną 8·8 %, a dzienna liczba osób leczonych w szpitalu dochodziła do 360, kiedy w 1885 leczono już razem 6 854 osoby w ciągu 168 535 dni leczenia ze śmiertelnością przeciętną 9 %, a przeciętnie dziennie pozostawało w szpitalu 461 chorych (koszt leczenia 1 chorego wtedy wynosił dziennie 1 złr. 1 kr.), to w 1895 roku leczono 9 920 osób w ciągu 266 132 dni leczenia ze śmiertelnością 9·5 %, dziennie zaś bawiło przeciętnie 729 chorych w szpitalu [1]). Łóżek było w szpitalu 766. W r. 1895 X. Bayer przez cały czas swojego 5-letniego urzędowania był jedynym kapelanem. Pomoc otrzymywał tylko dorywczo. I tak już pod koniec 1895 r. przez 2 tygodnie pomagał mu X. Dudek. Potem we wrześniu 1896 r. zastępował go X. Sokołowicz i X. Dudek przez parę tygodni. W następnym roku znów X. Sokołowicz w czerwcu, a X. Krzyszkowski w sierpniu. W r. 1898 miał chwilową pomoc od X. Grabowskiego (przez 3 tygodnie we wrześniu, od X. Grzegdali przez parę dni w końcu września, od X. Sokołowicza w grudniu). W r. 1899 niestrudzony X. Sokołowicz, rzutki, tytan pracy, wspierał znów X. Bayera przez maj i czerwiec, X. Grzegdala z końcem czerwca. Ostatni akt zapisany ręką X. Bayera jest z datą 1 lipca 1899 r. Może sam już dawno o tym zapomniał zajęty innymi pracami na ziemi brazylijskiej. Niech mu to odgrzebanie dat będzie dowodem wdzięcznej pamięci uczniów jego z małego seminarium.

Po nim kapelanię obejmuje na stałe X. Dudek z X. Steindlem.

Ale już w następnym roku X. Dudek opuszcza szpital, a X. Góral pisze się kapelanem szpitala od 25 kwietnia 1900 r. przy pomocy X. Sobawy, który zaczął urzędować w sierpniu. X. Góral wiadomości i doświadczenie z kapelanii św. Łazarza zużytkował jako profesor teologii pastoralnej na Stradomiu. W dru-

---

[1]) Leon Wachholz, j. w.

giej połowie 1901 r. są częste zmiany na posterunku. X. Stefan Król, X. Szulc, X. Brukwicki i X. Kołodziej zmieniają się. W następnym roku pracuje naprzemian X. Brukwicki, X. Kołodziej, przez krótki czas X. Miksa, a od sierpnia X. Dylla. Od 20 kwietnia 1903 r. X. Zabrzeziński nastał w miejsce X. Dylli i pozostaje razem z X. Brukwickim. Przybył X. Krzyszkowski 30 sierpnia i jest kapelanem przez następny rok i połowę 1905 r. X. Krzyszkowski podpisuje *capellanus*, a X. Zabrzeziński *cooperator*. Chwilami pomagali w tym czasie w szpitalu X. Sokołowicz i X. Steindorfer.

Znowu dłuższy okres i ciągłość w pracy przychodzi z X. Zygmuntem, który 20 stycznia 1905 r. nastał po X. Zabrzezińskim i pracował wspólnie z X. Krzyszkowskim. Przez 4 lata X. Zygmunt pozostaje na stanowisku, kiedy równocześnie jego pomocnicy zmieniają się jak w kalejdoskopie. I tak w 1905 roku pracuje z nim X. Krzyszkowski, potem X. Sokołowicz i X. Kominek. W 1906 r. znowu zmian jeszcze więcej, bo obok X. Zygmunta widzimy po kolei X. Kominka, X. Odrobinę, X. Masnego, X. Rossmanna, X. Zabrzezińskiego i X. Witaszka. Przez 2 lata pracują razem X. Zygmunt i X. Odrobina.

X. Zygmunt ustępuje 10 maja 1908 roku, wkrótce po nim i X. Odrobina. A z końcem roku kapelanię św. Łazarza prowadzą już siłami wspólnymi X. Dudek i X. Linkiert. Ci sami trwają na miejscu przez rok 1909, 1910 i połowę 1911. X. Dudek ustąpił 10 maja miejsca X. Masnemu, a X. Linkiert 1 sierpnia X. Włodarczykowi Stanisławowi. Rok 1912 zastaje X. Włodarczyka i X. Masnego u św. Łazarza. W kwietniu jest X. Kania, w maju X. Odrobina, X. Bieniarz i X. Kalla. X. Włodarczyk odchodzi 18 kwietnia, X. Gintrowski przybywa 1 czerwca i to na stałe. Wkrótce przybył X. Dudek, również na stałe.

Odtąd już przez 5 lat wspólnie pracować będą obaj, wyręczani tylko chwilowo w r. 1914 przez X. Malika i przez X. Jakuba Koniecznego, w r. 1915 znów chwilowo przez X. Koniecznego, w r. 1916 przez X. Bibrzyckiego. W r. 1917 są sami bez zastępstwa. Jeszcze z początkiem 1918 r. również. Od 20 kwietnia 1918 r. już niema X. Gintrowskiego, przeniesiony został do Tarnowa, po blisko 6-letniej pracy w szpitalu od 1 czerwca 1912 r. do 20 kwietnia 1918 r.

W jego miejsce przybył do św. Łazarza X. Lach i pracował już-to z X. Dudkiem, już-też z X. Linkiertem i X. Graczykiem przez rok 1913. Z całych dziejów kapelanii św. Łazarza X. Lach najwięcej ma lat służby nieprzerwanej. Może ma ich więcej X. Gintrowski, ale z przerwami. X. Lach zaś bez przerwy był w szpitalu od 20 kwietnia 1918 do 22 lutego 1927 r., a zatem blisko 9 lat. Pomocnikami byli w roku 1919 X. Hładki i X. Linkiert, w r. 1920 i 1921 X. Dudek, w r. 1922 X. Musiał i X. Skrzydelski, w 1923 X. Skrzydelski i X. Stopka. Od 25 lipca 1924 r. przybył do pomocy X. Gintrowski i pozostał w szpitalu z X. Lachem do 1 lipca 1926 r. Wtedy X. Gintrowski odszedł do Białego Kamienia a do św. Łazarza nastał od 1 sierpnia X. Włodarczyk Józef, który przybywszy ze Lwowa, już łącznie z X. Lachem obsługiwać będzie chorych do ustąpienia X. Lacha, w marcu i kwietniu zaś z X. Skrablem, później z X. Cepurskim. Wreszcie 25 września 1927 r. przybędzie znowu X. Gintrowski na kapelana, z którym w dalszym ciągu pracować będzie X. Włodarczyk aż do 15 stycznia 1930 roku. Po nim zastępczo X. Skrabel przez tydzień. W końcu od 20 lutego 1930 r. pomocnikiem stałym X. Gintrowskiego jest X. Zieleźnik, który jednak z powodu ciężkiej choroby już ustawał w pracy i z dniem 20 września musiał jej zupełnie zaniechać.

Z całym uznaniem jestem dla wielkiej pracy kapelanów tutejszego szpitala, zwłaszcza obecnie, kiedy mam sposobność bliżej jej się przypatrzeć przez krótki czas zastępstwa.

Sam rodzaj pracy jest taki, że wymaga wielkiego poświęcenia, oddania i zaparcia się. Być ciągle wśród chorych i dogorywających, spotykać się ciągle z nędzami ludzkimi i słuchać ustawicznie jęków boleści, to może jest zasługującym, ale napewno jest ciężkim. Pocieszającym jest niewątpliwie to, że się ulgę przynosi chorym przez Sakramenta św., że chorzy garną się do Boga chętniej w boleściach niż w szczęściu i przy zdrowiu i silniej tu ksiądz odczuwa znaczenie swoje jako pośrednika między Bogiem, a tymi konającymi, którzy do niego się przenoszą. Z taką wiarą tam się przenoszą, do tej wieczności, o której tak mało wiedzą, a tak rzadko myśleli. Nigdzie nie jest się tak ciągle na progu do wieczności, jak tu. *Viatores* tu kończą podróż swoją.

A potem ogrom pracy. Żaden z tutejszych urzędników czy funkcjonariuszy nie ma tyle godzin, co kapelani. Ośmiogodzinny dzień pracy odnosi się do wszystkich innych, z wyjątkiem księdza, który musi być na posterunku we dnie i w nocy po 24 godzin. A że się zmieniają we dwu co 24 godzin, więc rozłożone na dni, wynosi to każdemu po 12 godzin dziennie. Pewnie, że czasem są noce spokojne, że nie wzywają do chorych. Ale to czasem. A często i w nocy musi iść na oddziały. Nie dalej jak dziś w nocy o godzinie 1 na X. Gintrowskiego dzwonił telefon, jak to wspomniałem. Czekajmy cierpliwie, może i tej nocy zadzwonią. Prawdziwe pogotowie ratunkowe.

Tymczasem jednak zbierajmy notatki dalej. Spowiedzi na oddziałach za rok 1929 było 7 610, ostatnich olejów 870, komunii św. 28 360 (włączając w to komunię św. Sióstr; spowiedzi Sióstr oczywiście w liczbie 7 610 nie są objęte, to tylko spowiedzi chorych), chrztów 1 177, zmarłych 1 215. Przy tym spora ilość I. komunii św. i przygotowań katechizmowych, śluby na łożu śmierci, naprawienie małżeństw i mnóstwo pogrzebów. Ale liczb tych nie posiadam. Co do wyżej wymienionych liczb, to i wielkie parafie ich nie osiągają.

A akty kancelaryjne ilością przerastają każdą, chociażby największą parafię. Chrztów za rok 1929 było 1 177, zgonów 1 215. To wszystko wynosi 2 392. Ale samo zaksiążkowanie w metrykach nie starczy. Przy każdej sposobności ustawami przewidzianej dla ludności potrzebne są metryki lub wyciągi metrykalne. Jest ich tyle, że każdy akt przy różnych okazjach rocznie najmniej 5 razy musi być wpisany, a zatem daje liczbę 11 960 aktów rocznych [1]).

[1]) Może interesować będzie, skoro już jesteśmy przy statystyce, stały wzrost w księgach metrykalnnch:

Rok	Urodzonych	Zmarłych	Rok	Urodzonych	Zmarłych	Rok	Urodzonych	Zmarłych
1895	49	157	1907	603	1 140	1919	881	1 584
1896	502	1 250	1908	640	1 339	1920	903	1 554
1897	610	1 216	1909	652	1 340	1921	845	1 394
1898	566	1 189	1910	629	1 399	1922	1 054	1 311
1899	566	1 255	1911	645	1 381	1923	940	1 268
1900	518	1 238	1912	654	1 376	1924	976	1 293
1901	547	1 256	1913	750	1 442	1925	1 311	1 149
1902	544	1 223	1914	746	1 193	1926	1 102	1 209
1903	489	1 258	1915	409	895	1927	1 121	1 171
1904	673	1 376	1916	551	1 409	1928	970	1 307
1905	635	1 234	1917	576	1 517	1929	1 177	1 215
1906	596	1 212	1918	478	1 668	Razem ...	25 198	44 367

Nadto wykazy co pewien czas do urzędów: roczne do Konsystorza, do władzy wojskowej dla poborowych, do Rady szkolnej, kwartalne do wojskowej władzy, miesięczne o zmarłych do sądu, tygodniowe urodzonych i zmarłych do urzędu statystycznego. Pewnie, że to biurokracja, ale konieczna i ktoś ją musi zrobić. A tu ją robi kapelan. W sprawach kancelaryjnych zawsze jeszcze miarodajnym jest X. Jougan („Kancelaria parafialna". Lwów 1912, strona 1 093).

Czy duszpasterska czy kancelaryjna praca kapelanów szpitalnych nie jest *dolce far niente*. A przecież ma swój urok i niektórzy kapelani za kilku zawodami wracali do pracy szpitalnej, może z myślą: *Hic praeter omnes mihi angulus ridet.* (C. d. n.).

X. ST. KALLA.

Z historii seminariów warszawskich.

X. Władysław Kwiatkowski, Profesor Historii Kościoła w Seminarium Duch. św. Jana. Archiwista Kurii Metropolitalnej w Warszawie. Sprawa pruskiej reorganizacji Seminariów Duchownych w Warszawie (1798 — 1802). Kartka z dziejów ukrytego prześladowania przez Prusy Kościoła Katolickiego w Polsce. Warszawa, 1936, 8°, str. XIX + 159 + dodatki.

Z zagrabionych przy drugim (1793) i trzecim (1795) rozbiorze Polski ziem utworzył rząd pruski tzw. Prusy Południowe, administrowane przez urząd zwany Kamerą Ekonomiczną z siedzibą w Warszawie. Od pierwszych chwil idą wysiłki władz pruskich w kierunku jak najsilniejszego zespolenia nowej prowincji z resztą państwa. X. Kwiatkowski daje nam w swej pracy obraz tych usiłowań w odniesieniu do seminariów duchownych w Warszawie, porusza jednak przy tym i inne zagadnienia związane z Kościołem, obszernie zwłaszcza omawia sprawę majątków kościelnych.

Dla nas dzieło to szczególniej interesujące z tego względu, że jedno ze świeckich seminariów w Warszawie, seminarium św. Krzyża (reforma pruska miała zresztą objąć i seminarium internum przy Domu św. Krzyża) było pod zarządem misjonarzy, a jedną z głównych postaci zmagających się z zakusami władz pruskich był misjonarz, ówczesny wizytator Zgromadzenia, X. Józef Jakubowski.

W streszczeniu dzieła, które tu podaję, starałem się uwzględnić jak najobszerniej wszystko, co ma ściślejszy związek ze Zgromadzeniem.

We wstępie podaje najpierw autor nastroje tak społeczeństwa polskiego, jak i rządu pruskiego po powstaniu kościuszkowskim. Powstanie to, a zwłaszcza udział w nim zabranej już przy

drugim rozbiorze Wielkopolski, było dla władz pruskich przykrą niespodzianką. By się na przyszłość zabezpieczyć przeciw podobnym niespodziankom, postanowiono zaostrzyć kurs germanizacyjny, a popieranie powstania przez duchowieństwo wyzyskać jako powód do zamierzonej już dawno konfiskaty dóbr duchownych, przez co chciano podciąć także znaczenie duchowieństwa jako silnego czynnika kulturalnego wśród polskiego społeczeństwa. Postanowienia dotyczące majątku kościelnego niebawem wykonano, w roku 1796 i w latach następnych przejęła administracja pruska dobra 20 kapituł katedralnych i kolegiackich, 2 biskupstw, poznańskiego i włocławskiego i arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, 6 duchownych seminariów, mniej więcej 100 klasztorów i więcej niż 1 000 probostw, razem około 200 000 hektarów ziemi.

Konfiskata dóbr duchownych miała prócz zubożenia i niedostatku duchowieństwa jeszcze inne ujemne skutki, spowodowała między innymi upadek szkół ludowych, utrzymywanych przy parafiach i klasztorach. Na ten objaw zwrócił rząd pruski baczną uwagę, postanowił gorliwie zająć się podniesieniem oświaty ludowej, nie tyle, by, jak się wyraził jeden z ministrów pruskich, „uszlachetnić zaniedbany lud polski" (str. 48), ile, by razem z szerzeniem oświaty przeprowadzić swe plany germanizacyjne. Do wykonania zaś tych zamiarów postanowił posłużyć się, przynajmniej w początkach, duchowieństwem.

Jak wpadł na ten pomysł, podaje nam autor w rozdziale pierwszym, zatytułowanym: „Geneza pruskiego projektu reorganizacji seminariów duchownych z 1800 r. w związku z podniesieniem oświaty ludowej" (str. 31—45).

X. arcybiskup Ignacy Krasicki, objąwszy w r. 1796 arcybiskupstwo gnieźnieńskie, wytknął sobie jako jedno z pierwszych zadań poprawę materialnego położenia kleru, pokrzywdzonego dotkliwie konfiskatą dóbr i obciążonego nadto wysokimi podatkami. W memoriale złożonym w tym celu w Berlinie zwrócił między innymi uwagę na to, że proboszczowie pozbawieni ziemi nie będą wiedzieli, co począć z czasem, który dotychczas, dopełniwszy posług duchownych, obracali na pracę około gospodarstwa. Rząd pruski, uczepiwszy się tego argumentu arcybiskupa, dóbr wprawdzie nie zwrócił, lecz postanowił zbywający czas du-

chowieństwa wykorzystać do pracy w szkolnictwie ludowym. W ten sposób będzie wyzyskany dobrze i czas wolny i położenie materialne duchowieństwa dozna polepszenia, bo nauczanie będzie wynagradzane. X. arcybiskup był projektem rządu zachwycony, duchowieństwo natomiast przyjęło go bardzo nieprzychylnie i wręcz odmawiało prowadzenia szkół ludowych.

Doradcą X. arcybiskupa Krasickiego, jak i jego poprzednika, X. Michała Poniatowskiego, był X. Grzegorz Zacharjaszewicz, regens arcybiskupiej kancelarii w Łowiczu, on też był autorem wspomnianego memoriału. Badając głębiej przyczyny niepowodzenia akcji X. arcybiskupa, doszedł do przekonania, że spowodowały je machinacje Kamery Warszawskiej. Zrozumiał, że chcąc w przyszłości skuteczniej walczyć ze szkodliwymi lub wprost wrogimi dla Kościoła zamysłami Kamery, musi je zawczasu poznać. Nawiązuje więc w tym celu korespondencję z X. Jakubowskim, który jako wizytator misjonarzy pilnie śledził każdy krok władz rządowych, by bezzwłocznie przeciwdziałać jakimś wrogim zakusom zwróconym czy to przeciw Zgromadzeniu XX. Misjonarzy lub SS. Miłosierdzia, czy też przeciw seminariom duchownym, które prawie wszystkie były pod zarządem Zgromadzenia.

X. wizytator Józef Jakubowski, jedna z najwybitniejszych postaci ówczesnej Warszawy, wstąpił do Zgromadzenia w r. 1781. w dojrzałym już wieku, mając lat 37 (ur. w 1843 r.), rzuciwszy świetnie zapowiadającą się karierę wojskową. Wizytatorem był od r. 1794—1814. („Księga Pamiątkowa“, str. 83 i n.). „Będąc człowiekiem niezmiernie wpływowym“, powiada autor, „on to przeważnie kierował teraz Zacharjaszewiczem a Zacharjaszewicz Krasickim“ (str. 38).

Stanowisko X. wizytatora w stosunku do rządu było coraz trudniejsze, bo ingerencja władz pruskich w sprawy seminariów duchownych stawała się coraz uciążliwsza. Ustanowiono dla seminarzystów egzaminy z nauk świeckich, matematyki, historii, geografii, domagano się sprawozdań, przepisywano program nauki. Wskutek różnego rodzaju utrudnień rządowych zmniejszyła się liczba seminarzystów, w następstwie czego wiele parafii było bez obsługi duchownej. Z tego powodu X. Jakubowski często omijał

zarządzenia władz, za co znów z ich strony doznawał wiele przykrości.

By się skuteczniej bronić przed mieszaniem się władzy świeckiej w sprawy kościelne, radzi X. Jakubowski w listach do X. Zacharjaszewicza, wysłać do Berlina plenipotenta duchowieństwa, proponując na to stanowisko archidiakona warszawskiego, X. biskupa Jana Albertrandiego. X. arcybiskup Krasicki odrzuca jednak ten projekt.

Sprawa, której X. Jakubowski ani na chwilę nie spuszcza z oczu i którą ciągle w listach swoich poleca bacznej uwadze X. Zacharjaszewicza, była sprawa układanego wówczas przez władze pruskie tzw. planu edukacji szkolnej, lękając się z tej strony i, jak się później okazało, całkiem słusznie, wielkich szkód i niebezpieczeństw dla Kościoła. Twórcą tego planu był właściwy rządca Prus Południowych, radca i referent spraw oświatowych, Fischer, człowiek w formach obejścia i w słowach bardzo gładki i uprzejmy, lecz przebiegły i nieszczery. W liście z 17 grudnia 1798 r. przestrzega X. Jakubowski X. Zacharjaszewicza przed Fischerem. Pisze o nim, „że już posłał wiele projektów tyczących się edukacji, konsystorzów i duchowieństwa do ministra, na które wyroku wielce obawiać się trzeba, a zresztą jeszcze i sam pojedzie, zdaje się tedy, iż o to by najusilniej i najpilniej czynić w Berlinie wypadało, ażeby przed zadecydowaniem takowe projekta wprzód duchownej zwierzchności mogły być komunikowane i od tejże eksplikacje podane, na co będzie potrzeba; zostały do roztrząśnięcia przyjęte" (str. 41). Przewidywania i obawy X. Jakubowskiego wkrótce się spełniły. 28 maja 1800 roku uzyskał Fischer w Berlinie zatwierdzenie swego planu powszechnej edukacji dla Prus Południowych, który podany do wiadomości wywołał ogólne poruszenia. Z sześciu bowiem seminariów duchownych Prus Południowych, miano przekształcić trzy na seminaria nauczycielskie, mianowicie seminaria w Gnieźnie i Poznaniu i seminarium św. Jana w Warszawie. Dla kształcenia kleru przeznaczono dla archidiecezji gnieźnieńskiej seminarium w Łowiczu, dla nowoutworzonej diecezji warszawskiej seminarium św. Krzyża, a dla diecezyj poznańskiej i włocławskiej wspólne seminarium we Włocławku. Kształcić zaś mieli przyszłych nauczycieli ludowych w Po-

znaniu i Gnieźnie XX. misjonarze, w Warszawie XX. komuniści [1]).

Dowiedziawszy się o planach rządu, zwrócił się X. Jakubowski listownie do biskupów z projektem ogólnego zjazdu episkopatu i wspólnej akcji w Berlinie przeciwko takiemu pogwałceniu prawa własności.

Wśród tak ciężkich dla Kościoła chwil umiera w Berlinie, dokąd się był wybrał dla ratowania sprawy, dnia 4 marca 1804 65-letni X. arcybiskup I. Krasicki.

„W krytycznym także dopuścił Pan Bóg czasie śmierć ś. p. Arcypasterza", pisze pogrążony w smutku X. Jakubowski do X. Zacharjaszewicza, „teraz tym bardziej do Pasterza nad pasterzami wołać musimy. Wszakże te straszne odmiany nie mogą jeszcze nastąpić tak nagle. Ja przyznam się JW. Panu Dobrodziejowi, że na wszystkie strony i to bezustanku oganiając się, już mi i ręce opadają" (str. 45).

Całą nadzieję ratunku pokładano teraz w pierwszym biskupie warszawskim, X. Józefie Bończa-Miaskowskim, cieszącym się wielkim poważaniem u władz pruskich. Do niego też zwraca się X. Jakubowski z prośbą o obronę zagrożonych seminariów.

Jak już wyżej powiedziano, zatwierdzenie swego planu edukacji szkolnej uzyskał Fischer 28 maja 1800 r., jednakże walka o seminaria zaczęła się znacznie wcześniej, jak wiemy, a rozgorzała na dobre, kiedy na rok przeszło przed zatwierdzeniem planu, 29 kwietnia 1799 r., Kamera Warszawska wydała odezwę, wkraczającą głęboko w życie seminariów duchownych. Treść tej odezwy podaje nam autor w drugim rozdziale (str. 46—56). Donosi w niej Kamera Konsystorzowi Warszawskiemu, że, gdzie po miastach i wsiach nie ma nauczycieli ludowych, tam plebani ich obowiązki na siebie wziąć muszą. „Że zaś obowiązkiem plebana jest, przy tych szkołach w niedostatku nauczyciela szkolnego, naukę dawać", czytamy w odezwie, „zawiera się to w przyjętej od niego

---

[1]) Zak nazywano w Polsce Zgromadzenie księży świeckich, którego założycielem był X. Bartłomiej Holzhauser (1613—1658). Do Polski, gdzie ich nazywano także »bartoszkami«, sprowadził ich król Jan Sobieski. X. biskup Wierzbowski powierzył im zarząd utworzonego w r. 1683 seminarium św. Jana w Warszawie. P. Enc. Kośc. t. 2, str. 30.

cura animarum, gdyż pleban przez nauczanie okazuje staranie około młodzieży mu powierzonej. To jasno prawo kanoniczne nakazało i ojcowie, jakoteż święci Kościoła, z wszelką gorliwością mającym staranie dusz, jako rzecz oczywistą zalecili. I owszem, oni sami, jak to wam z historii kościelnej wiadomo, przez nauki dawane chwałę tą otrzymali, którą dotąd w Kościele posiadają. Oczekujemy od naszych plebanów, iż za przykładem tych mężów, gdy i tak już są do tego obowiązani, wszystkie swoje na to obrócą siły, aby sobie nieśmiertelną zasługę zjednali przez nauczanie tak zaniedbanej bardzo dotąd, a jednak największej uwagi godnej klasy robotników pomiędzy poddanymi państw naszych. Żeby zaś bardziej jeszcze do tego zachęcić, obiecujemy, że ci z plebanów, którzy szczególniej w nauczaniu zasłużą się, a nie inaczej, lepszymi beneficjami przez rekomendację naszej Wojenno-Ekonomicznej Kamery nagrodzonymi zostaną, osobliwie zaś ci, którzy w niemieckim języku przez siebie lub przez drugich nauczać będą, do najznakomitszych beneficjów pretensje mieć mogą (str. 49).

Żeby celu swego dopiąć, donosi dalej Kamera, że ona będzie odtąd decydowała o profesorach i o sposobie nauczania w seminariach. „Postanawiamy dlatego", głosi odezwa, „iż lubo dwa nasze seminaria misjonarzom są poddane, wszelako odtąd bezwątpienia żaden z tego zgromadzenia nauczyciel nie będzie mógł być postanowiony, któryby od nas nie był aprobowanym" (str. 50). Dozór nad seminariami misjonarskimi (*externum* i *internum*) zleca odezwa jako najświętszy obowiązek archidiakonowi warszawskiemu i administratorowi nieobjętej jeszcze przez biskupa Mianowskiego diecezji warszawskiej, X. biskupowi Albertrandiemu i kanonikowi scholastykowi i proboszczowi katedralnemu, X. Prażmowskiemu.

W końcu zapowiada odezwa utworzenie dwóch katedr katolickich „*in Universitate* we Frankfurcie nad Odrą, aby tutejsze duchowieństwo zdatniejszym krajowi uczynić, a w szczególności *dignitates* przyzwoicie obsadzić można" (str. 51).

Do odezwy dołączono nakaz nadesłania w krótkim czasie opisu i rysunku seminariów św. Krzyża i św. Jana i szczegółowy

kwestionariusz, na który odpowiedzieć mieli X. biskup Albertrandi i dwaj kanonicy.

Słusznie powiada autor, że reforma przeprowadzona w duchu tej odezwy byłaby groźną zarówno dla Kościoła jak i polskości, dałaby całkowity wgląd w kierownictwo zakładów czysto kościelnych Kamerze, której bynajmniej nie zależało na wychowaniu gorliwych kapłanów katolickich, ale gorliwych urzędników pruskich w sutannach, aby ci, jako duchowni, szerzyli niemieckość w szkołach ludowych, a z ambony głosili ludowi przywiązanie do króla i rządu pruskiego (str. 52).

Żądane reskryptem z dnia 29 kwietnia 1799 r. sprawozdanie o stanie seminariów św. Krzyża i św. Jana nadesłał X. biskup Albertrandi Kamerze w sierpniu tegoż roku. Sprawiło ono władzom pruskim ogromne rozczarowanie, wynikało bowiem z niego, że oba seminaria stoją na wysokim poziomie umysłowym, są dobrze prowadzone, i reformy nie potrzebują, jakakolwiek ingerencja rządu jest więc niepotrzebna. (Rozdział IV, str. 77—95).

W grudniu tegoż roku obejmuje rządy diecezji warszawskiej pierwszy jej biskup, X. Józef Bończa Miaskowski, uzyskawszy po dwuletnim oczekiwaniu zatwierdzenie przez Stolicę Apostolską swej kandydatury, wysuniętej przez rząd pruski. Władze pruskie spodziewały się, że odwdzięczając się za udzielone mu poparcie, pójdzie im we wszystkich sprawach na rękę i nie będzie także stawiał trudności przy przeprowadzaniu reorganizacji seminariów duchownych. Zaraz też po objęciu przez X. Miaskowskiego rządów, uwiadamiają go listem z dnia 21 stycznia 1800 r., że polecili Fischerowi, by razem z X. biskupem zwizytował seminaria św. Jana i św. Krzyża i doniósł im o wynikach wizytacji. Wizytację tę X. biskup wprawdzie odbył, chcąc widocznie osobiście przekonać się o stanie seminariów, lecz nie wdawał się z władzami w żadne dyskusje na temat seminariów.

W rok po wizytacji postanawiają władze pruskie przecież wykonać swój plan reorganizacji seminariów warszawskich. Listem z dnia 19 stycznia 1801 r. uwiadamia Kamera X. Adama Christa, regensa seminarium św. Jana, „że seminarium warszawskie św. Jana obrane jest, aby w nim byli edukowani nauczyciele dla szkół, w których młodzież wszelkiego wyznania ma dla siebie brać edu-

kację". W tym samym dniu otrzymał X. Jakubowski obszerny list z zawiadomieniem, że według planów rządowych, seminarium św. Krzyża diecezjalne i misjonarskie ma tworzyć jeden Instytut Duchownych Katolickich, gdzie będą kształcić się przyszli kapłani. Jako „powód reformy podano braki w metodach wychowawczych i naukowych". Jakożkolwiek, czytamy w tym liście: „wielce skłonnymi jesteśmy do wsparcia seminariów dozorowi Waszemu powierzonych, tak też potrzeba jest, aby te Instytucje w sposób odpowiadający przeznaczeniu swemu urządzone były i aby takowe nasamprzód tym się stały, czym być właściwie powinny. Tak z planów edukacji i wychowania od Was podanych, podług których nauka i formowanie kandydatów tak Interni, jako też Externi Seminarii są traktowane, jako też z egzaminów przez Konsyliarza Departamentu z subiektami odprawionych, którzy przez kilka lat takowych nauk słuchali, pokazuje się nieodzownie, że te seminaria swego właściwego celu zgoła chybiają. Zamiast dobrze wykształconego kandydata, zbogaconego wiadomościami i oświeconego względem swego wielkiego przeznaczenia, jako przyszły nauczyciel ludu, któryby miał z tej szkoły wyjść — to wychodzi zgoła nieuświadomiony w najpotrzebniejszych i najpospolitszych przedmiotach umiejętności. A nawet wiedza jego właściwego powołania kończy się tylko na mechanicznym nabyciu odprawiania kościelnych obrządków i na urywkach dogmatyki, które on, nie będąc przeniknięty jej duchem, tylko sobie wbił w pamięć z trudnością. Wszystkie poprzednio przygotowawcze umiejętności, bez których nawet podług wyznania samych najgodniejszych wiary nauczycieli Kościoła niepodobieństwem jest pewnie rozeznać istotnych i nieistotnych artykułów wiary katolickiej, i niepodobieństwem jest wydać należyty sąd o sporach, które się nawet do tego Kościoła wcisnęły, a tak z przeświadczenia stać się nauczycielem ludu, te wszystkie umiejętności w tych zakładach zgoła bez żadnej wymówki są zaniedbane. Znajomość świętego języka jest zupełnie zaniedbana, a nawet historia Kościoła w swoich różnych częściach bywa dawana tylko byle zbyć, powierzchownie i przez takich nauczycieli, którzy ani źródeł jej, ani środków, któreby im do uczenia się pomocą były, nie znają. Na nauce w sposobie nauczania drugich zgoła zbywa w tych zakładach, a to co pod

nazwiskiem homiletyki dawane bywa, jest to nawet podług wyznania samych katolickich w wierze swoich uczonych, nieużyteczna, do teraźniejszych czasów niestosowana kompilacja kazań, które ani rozumu nie oświecają, ani serca nie zagrzewają. Żadnym sposobem takie zakłady rządu interesować nie mogą i tenże nie może im pozwolić tych korzyści, do jakich tylko takie zakłady mogą mieć prawo, które prawdziwie powierzoną sobie młodzież, podług najświatlejszych danych przepisów na takich kształcić będą, jakimi staćby się nie mogli bez tej nauki" (str. 83—85).

W tymże liście nadmienił rząd, że seminarium gnieźnieńskie ma być także przekształcone na seminarium nauczycielskie, a kandydaci zdolniejsi do stanu duchownego będą wysyłani do Frankfurtu nad Odrą i do Królewca, gdzie mają być na uniwersytetach utworzone katedry katolickie.

Są wreszcie w liście do X. Jakubowskiego podane wskazówki co do planu nauki w seminarium zreformowanym, co do nominacji profesorów, których potwierdzenie rząd sobie zastrzegł, „ponieważ dla rządu nie jest rzeczą obojętną, czy profesor, który ma kształcić kapłanów katolickich, na to się zgodzi, lub nie zgodzi, co mu rząd zaproponuje".

Kończy się reskrypt wezwaniem, by X. Jakubowski w ciągu 14 dni oświadczył wyraźnie, czy się zgadza na zaprojektowany podział seminariów mu powierzonych na seminaria dla duchownych i na seminaria dla nauczycieli.

Listem z dnia 14 lutego 1801 r. odpowiedział X. Jakubowski, że w sprawach seminariów powierzonych misjonarzom całkowicie zależy od ordinariuszów miejscowych, radził przeto rządowi porozumieć się bezpośrednio z Konsystorzem gnieźnieńskim i warszawskim.

Do Konsystorza warszawskiego wysłała Kamera list w tym samym dniu, co do X. Jakubowskiego i X. Christa z żądaniem wypowiedzenia się co do projektowanej reformy w ciągu 14 dni, a kiedy X. biskup zwlekał z odpowiedzią, otrzymał 24 lutego t. r. drugi list w tej samej sprawie. Dopiero 10 marca nadesłał odpowiedź, której treść podaje nam autor w rozdziale VI swej książki (str. 130—141), zapoznawszy nas wprzód bliżej w rozdziale V (str. 95—129) z osobą pierwszego biskupa warszawskiego.

W pierwszej części tego rozdziału mamy skreśloną działalność X. Miaskowskiego na stanowisku prepozyta kapituły poznańskiej, w drugiej jako biskupa Warszawy. Tam i tu daje się poznać jako osobistość nader wybitna, pełna oddania się dla spraw Kościoła.

Jednym z doradców X. biskupa Miaskowskiego był X. wizytator Jakubowski. Powiada o nim autor, że posiadał wielkie zdolności i wielki wpływ na współczesnych, niezłomny charakter i męstwo, które zawsze zdradzało w nim dawnego wojskowego człowieka. Swojej energii wojskowej, której mu nigdy nie brakło, użył teraz przeciwko władzom pruskim na obronę interesów Kościoła i swego Zgromadzenia. Musiał więc X. Jakubowski, zdaniem autora, imponować swoim męstwem i trzeźwą radą biskupowi Miaskowskiemu, chociaż brakło mu większych zdolności dyplomatycznych (str. 128 i n.). Po śmierci Miaskowskiego zyskał X. Jakubowski zaufanie i stał się bliskim doradcą X. I. Raczyńskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, późniejszego administratora biskupstwa warszawskiego.

Jakaż była odpowiedź X. biskupa Miaskowskiego na list Kamery w sprawie reorganizacji seminariów? Ujął ją w formę bardzo oględną, ważąc każde słowo, by niczym nie urazić, jednocześnie jednak stanowczo w niej odrzucił reorganizację w tej formie, w jakiej ją rząd proponował, wyrażając wiarę, że król sam cofnie niekorzystne reformy, postawione na podstawie mylnych informacyj (str. 131). Wziął najpierw w obronę seminarium św. Jana, lecz w przewidywaniu, że rząd zaniechawszy kasaty tego seminarium, mógłby skasować seminarium św. Krzyża, wystąpił w obronie i tego seminarium i misjonarzy. „Lecz nie z mniejszym widziećby mi przyszło żalem", powiada, „gdyby W. Kr. Mość, poniechawszy seminarium św. Jana, do supresji będącego u św. Krzyża myśl zwrócić chciałeś. Z pomiędzy duchownych zgromadzeń, jedno Księży Misjonarzy uważam za najzdolniejsze do utrzymania nauk duchownych w wysokim stopniu. Bo oprócz tego, iż z powołania do ćwiczenia młodzi duchownej są przeznaczeni, przepis ich reguły, podług którego wszelkie potrzeby życia z wspólnych dochodów od przełożonych opatrowane mają, oddalając od nich wszelką troskliwość, czyni ich sposobnymi w ustroniu i spokojności, całkowicie poświęcenia się naukom i nabycia w nich doskonałego

oświecenia. Pomocą im do tego być może liczna i obfita w najlepsze dzieła biblioteka" (str. 132). Zbija oparte na relacjach Fischera zarzuty, jakoby seminaria nie spełniały swojego celu. „Najtępszy", powiada, nabiera w nich znajomości Pisma św., obrządków kościelnych, administracji sakramentów, moralności chrześcijańskiej i sposobu nauczania wiernych. Kilkakrotny egzamin poprzedza każdego święcenia, do którego nikt przypuszczony nie bywa, póki choć miernej zdatności nie da dowodów. X. biskup przyznaje pewne braki: plan nauczania nie jest najdokładniejszy, brak książek klasycznych w niektórych naukach, nie wszyscy profesorowie posiadają tę głęboką umiejętność, która czyni prawdziwie uczonymi, że wreszcie wielu uczniów zdaje się kontentować powierzchowną rzeczy wiadomością, nie wchodząc w ich ducha. Ale to rzecz biskupa braki te usunąć. Godzi się jednak na pewną ingerencję państwa, gotów jest przyjąć kontrolę nad metodami wychowania i kształcenia kleru, nawet listę profesorów, poddanych odpowiedniemu egzaminowi komisji państwowo-kościelnej chce podać do aprobaty, lecz prosi, żeby król „zachowując biskupów przy niezaprzeczonym prawie troski o seminaria, raczył zupełnie zdać na nich ułożenie za wspólną radą ogólnie na wszystkie diecezje nowego planu nauk, wybór profesorów użytymi być mających, i czuwanie nad dopełnieniem ustaw przepisanych".

Równocześnie, zapewne na prośbę Kapituły Gnieźnieńskiej i misjonarzy, pisze X. biskup Miaskowski list w obronie Seminarium Łowickiego, które zamiast Gnieźnieńskiego, chciano przekształcić na seminarium nauczycielskie. Dowodzi w nim jego potrzeby dla obszernego arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, przytacza inne powody, dla których nie może być zamienione na seminarium nauczycielskie, wreszcie zapowiada, że misjonarze nie będą mogli prowadzić seminarium nauczycielskiego, bo to nie odpowiada ich powołaniu i spowodowałoby ich upadek. Z powołania bowiem swego są przeznaczeni do odprawiania misyj i do wychowywania kleru. Dla dopełnienia dwóch wspomnianych zadań, trzeba, żeby byli pełni ducha, którego drugim udzielać mają, stąd w przepisanej im regule fundator zawarł wszystkie środki do celu tego dopięcia ściągające się. Wspólne życie, wyrzeczenie się troskliwości wszelkiej o potrzeby doczesne, poddanie się zupełne pod wolę przełożonego,

poświęcenie się pryncypialne naukom z religią związek mającym, są to istotne prawidła, na których się wspiera egzystencja tego Zgromadzenia, pisze X. biskup. Nauczanie w seminariach nauczycielskich wniosłoby rozstrój w ich życie wspólne, podważyłoby karność, gdyż profesorowie byliby mianowani i zależni od innej władzy, sprzeciwiałoby się celom, dla których ich sprowadzili biskupi. „Raczyłeś W. Kr. Mość", tak kończy X. biskup, „włożyć na siebie prawo, iż, gdy kto trzeci do fundacji jakiej jest interesowanym, ta bez zezwolenia tego trzeciego odmienioną być nie może. To mi niezawodną czyni nadzieję, iż przyjmiesz dobrotliwie najpokorniejsze prośby, które bez wątpienia nieomieszkają zanieść biskupi przed tron W. Kr. Mości o utrzymanie Zgromadzenia Misjonarzy przy pierwiastkowym ich przeznaczeniu" (str. 140 i n.).

Bronił więc X. biskup Miaskowski z niezwykłą stanowczością i przekonywującą argumentacją sprawy seminariów. Mniej natomiast stanowczości okazuje, gdy chodzi o kasatę pewnych klasztorów. Autor tłumaczy nam w rozdziale VII (str. 142—150), że przyczyną tego był upadek życia klasztornego, brak środków na utrzymanie, a wreszcie pragnienie, by pewnymi ustępstwami w tym kierunku obronić seminaria przed kasatą i reformą z niepowołanej ręki. Rząd rzeczywiście zrezygnował niebawem z przemiany seminariów duchownych na seminaria nauczycielskie, przeznaczając na nie skasowane klasztory. Zrzekł się także reorganizacji seminariów według własnego pomysłu, domagając się od X. Miaskowskiego, by on ją sam przeprowadził.

Pismem z dnia 25 maja 1802 r. uwiadamia X. biskup rząd, że chociaż nie widzi powodów gruntownej reformy seminariów, to przecież przeprowadza już pewne zmiany w studiach dotychczasowych. Wychowanie kleryków ma pójść w tym kierunku, by ich przygotować: 1) na ministrów ołtarza przede wszystkim; 2) na nauczycieli religii; 3) na stróżów moralności. Profesorowie nie tylko powinni posiadać naukę w odpowiednim stopniu, ale nauką mają się trudnić, odsunięci od innych zajęć. Kandydatów do seminarium postanowił przyjmować wyłącznie po skończeniu szkół średnich ze znajomością łaciny. Z przedmiotów wykładanych w seminarium kładzie na pierwszym miejscu w myśl wymagań rządu Pismo św., na drugim historię Kościoła z uwzględnieniem

nauki OO. Kościoła i Koncyliów z ich orzeczeniami dogmatycznymi i moralnymi, na trzecim teologię dogmatyczną i moralną, a na czwartym prawo kanoniczne i orzeczenia synodalne, obowiązujące w diecezji. Szczególniejszą uwagę zwrócił na uczenie homiletyki. Inne przedmioty, jak śpiew, rubryki mszalne, ceremonie kościelne, będą nadal utrzymane, bez uszczerbku jednak dla przedmiotów głównych. Studia seminaryjne będą trwały cztery lata.

Rząd pismem z dnia 4 listopada uwiadamia X. biskupa, że zgadza się na jego reformę, zapowiada jednak wizytację urzędową, by się przekonać, czy była skuteczna. Reforma X. Miaskowskiego podana w powyższym skrócie i jej przyjęcie przez rząd pruski stanowi treść ostatniego, ósmego z rzędu rozdziału (str. 151—156), zamykającego pracę X. Kwiatkowskiego.

Po przeczytaniu książki nasuwa się pytanie, czy żądanie władz pruskich gruntownej reformy seminariów warszawskich rzekomo dlatego, że nie stały na wysokości zadania, było uzasadnione. Autor przyznaje słuszność rządowi, opierając się na relacjach rządowego wizytatora, relacjach, jak sam przyznaje stronniczych, spreparowanych dla osiągnięcia z góry określonego celu, tj. owładnięcia seminariami w celach germanizacyjnych i wychowania kleru w duchu pruskiej racji stanu (patrz str. 52, 57, 76, 80, 82, 83, 84 i inne). Innego jednak byli zdania, jak wiemy, współcześni powołani świadkowie. Może sprawozdanie X. biskupa Albertrandiego, jednego z najświatlejszych ludzi owych czasów, znanego historyka, współzałożyciela Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1800 r.), celowo pomijało jakiekolwiek niedomagania, by nie dać powodu do ingerencji rządu, jednakże i X. biskup Miaskowski, powołując się na wyniki osobiście przeprowadzonej wizytacji, zaznacza zaraz na początku swego pisma do rządu, że seminaria gruntownej reformy nie potrzebują. Zapowiada wprawdzie pewne ulepszenia, ale są to ulepszenia nieistotne, ulepszenia, których potrzebuje z biegiem czasu każde dzieło ludzkie, którym ulegały już nieraz i seminaria warszawskie i, które się przeprowadza i w seminariach dzisiejszych w miarę rosnących potrzeb. Władze pruskie naumyślnie i celowo przejaskrawiały fakty, by mieć podstawę do przeprowadzenia swych zamiarów, wrogich zarówno dla Kościoła, jak i dla polskości.

Jaki był rzeczywisty stan seminariów warszawskich, dowiadujemy się z pism XX. biskupów Miaskowskiego i Albertrandiego, których treść podaje nam X. Kwiatkowski w rozdziale trzecim (str. 57—76). Przytaczam tu szczegóły odnoszące się do seminarium św. Krzyża.

Studia trwały cztery lata. Wykładano przez pięć dni w tygodniu, środa była wolna od nauki. Pierwszy rok obejmował filozofię i wymowę świętą, drugi matematykę, trzeci i czwarty teologię dogmatyczną, moralną i prawo kanoniczne. Prócz tego należały do programu nauki, jako przedmioty uboczne, rubryki mszalne i brewiarzowe, ceremonie kościelne, objaśnianie Pisma św. w niedzielę po południu, a po nieszporach nauka administrowania sakramentów. Od r. 1799 była dla wszystkich obowiązkowa prawie codzienna nauka języka niemieckiego.

Porządek dzienny był następujący: wstawano o godz. 5, po rannych pacierzach, medytacji, mszy św. i posiłku, przygotowanie do lekcyj do godz. 9, od 9½ do 11 wykłady, potem rekreacja, obiad o godz. 11, następnie godzinny wypoczynek. Oddawano się w tym czasie dyskutowaniu na dowolny temat naukowy, albo też ćwiczeniom cielesnym. O godz. 2½ przygotowanie, o godz. 3 półtoragodzinny wykład, potem znów ½ godziny przygotowania i wykład od 5 — 6. Po konferencji duchownej kolacja, od 7 — 9 rekreacja, po niej krótkie modlitwy wieczorne i spoczynek.

Podręczników używano następujących: P. Collet, „Institutiones Theologicae"; P. Graveson, „Historia Ecclesiastica"; P. de la Caille, «Elementa Matheseos, Cavellani, Ius Canonicum" i Antonius Genuensis, „Philosophia" [2]).

Profesorów wykładało siedmiu, czterech Polaków: 1) X. Baltazar Kurkowski, teologię moralną, 2) X. Jakób Basiński, wymowę św., 3) X. Michał Szymonowicz, filozofię, 4) X. Ignacy Laws, prawo kanoniczne i trzech Francuzów: 1) X. Ludwik Dessains, dogma-

---

[1]) X. Piotr Collet, ur. w 1693 r., zmarł w 1770, najznakomitszy i najpłodniejszy pisarz Zgromadzenia XX. Misjonarzy. Zasłużony bardzo około zwalczania jansenizmu, dlatego przez zwolenników tej herezji zwalczany i oczerniany. Wydał 39 dzieł treści teologicznej, ascetycznej, kaznodziejskiej i mieszanej, wśród nich olbrzymi: »Tractatus de universa Theologia morali«, 8⁰, tom. 16. Patrz: »Notices Bibliographiques sur les écrivains de la Congréga-

tykę, 2) X. Klaudiusz Modru, historię Kościoła, 3) X. Fr. Bernard, matematykę.

Wszyscy byli specjalistami i mieli już klkanaście lat pracy profesorskiej za sobą.

Jak we wszystkich seminariach prowadzonych przez misjonarzy, tak i tu zwracano szczególniejszą uwagę na wyrobienie wewnętrzne i ascetyczne w przeświadczeniu, że kapłan, choćby i nie bardzo pojmował różne subtelności filozoficzne, lecz pełen ducha Bożego i taktowny, dużo więcej zdziała dobrego, daleko lepiej spełni swe święte posłannictwo, niż naszpikowany wiedzą, ale przytem zarozumiały i pretensjonalny.

Od kandydatów zgłaszających się do seminarium wymagano ukończonych 19 lat życia, dobrych obyczajów, doskonałej znajomości języka łacińskiego i szczerej chęci poświęcenia się stanowi duchownemu.

Niezwykle sympatycznie rysuje się na tle opowiedzianych w książce wypadków sylwetka X. wizytatora Jakubowskiego. Jak podczas Powstania Kościuszkowskiego przyczynił się do zwycięskiego odparcia z szańców warszawskich grożących zalewem miastu wojsk pruskich, tak teraz broni skutecznie seminaria przed inwazją protestanckiego ducha pruskiego. Już to samo, że na czele seminariów stał człowiek tej miary (jako wizytator Zgromadzenia miał opiekę i nadzór nad wszystkimi seminariami, kierowanymi przez misjonarzy) dowodzi, że mimo trudnych warunków epoki porozbiorowej stały one na wysokości zadania, odpowiadały potrzebom czasu, a ulepszenia zaprowadzonoby w nich i bez pomocy pruskiej. Powiada „Księga Pamiątkowa“ (str. 84), że X. Jakubowski zajmował się żywo ruchem naukowym na Zachodzie i w tym celu utrzymywał częstą korespondencję z X. generałem Zgromadzenia, ażeby informować się o stanie nauki i karności seminariów we Francji i, by zdobycze tamtejsze zastosować w Polsce. Społeczeń-

---

tion de la Mission par un prêtre de la même Congrégation«, Angoulême, 1878, str. 33—81. X. Ignacy Jacek Graveson (1670—1733), którego »Historia Kościoła«, podana sposobem katechizmowym, w pytaniach i odpowiedziach, tyle zgorszenia wywołała, był dominikaninem, doktorem Sorbony. Dzieła jego wyszły w 7 tomach. Jego »Historia ecclesiastica« miała kilka wydań. O innych autorach nie znalazłem bliższych szczegółów.

stwo polskie umiało ocenić zasługi X. Jakubowskiego, otaczało go powszechną czcią, a pogrzeb jego w r. 1814, w którym obok duchowieństwa z X. biskupem i senatorem Janem Gołaszewskim na czele wzięły udział najszersze warstwy ludności warszawskiej, był wymowną manifestacją uczuć, jakie żywiono dla niego w sercach [3]).

---

[1]) Podczas oblężenia Warszawy przez Prusaków w roku 1794 nakreślił X. Jakubowski na prośbę komendanta wojsk polskich tak dobrze plan ustawienia baterii, że działa polskie zmusiły artylerię pruską do milczenia i do odstąpienia nieprzyjaciela od Warszawy. Patrz : »Księga Pam.«, str. 84. We Lwowie, w Muzeum Lubomirskich, stanowiącym dział Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, znajduje się obraz, przedstawiający, jak X. Jakubowski zachęca młodzież do udziału w Powstaniu Kościuszkowskim.

ZYGMUNT LASOCKI.

Jedna z kart chrześcijańskiego miłosierdzia w czasie wojny światowej[1]).

Nie wesoło było w Krakowie w pierwszych dniach listopada 1914 r. Rosjanie posunęli się prawie pod samo miasto. Na wieść o zbliżaniu się ich i grożącym oblężeniu wielu mieszkańców opuściło Kraków dobrowolnie, udając się do zachodnich krajów austriackich, gdzie ich na ogół niezbyt gościnnie przyjmowano. Wiele tysięcy uboższej ludności ewakuowano przymusowo. Pod kontrolą wojskową odbywały się rewizje po mieszkaniach dla zbadania, czy kto posiada przepisane środki żywności na conajmniej 3 miesiące. Kto ich nie posiadał, musiał bezwarunkowo miasto opuścić. Władze wojskowe pilnowały bezwzględnego przeprowadzenia ewakuacji. Ewakuowanych pod eskortą wojskową umieszczano w pociągach ewakuacyjnych, pilnując, by nie uciekli, a właścicielom domów zagrożono wysokimi grzywnami na wypadek, gdyby nie donieśli o lokatorach nie stosujących się do zarządzeń ewakuacyjnych. Wielu Krakowian bardzo niechętnie wyjeżdżało, jak gdyby przewidując, co ich czeka na wygnaniu. Zresztą nadchodziły już wiadomości o nieszczęsnej doli ewakuowanych na obczyźnie, a w „Głosie Narodu" z 4 i „Nowej Reformie" z 9 listopada 1914 r. pojawiły się alarmujące artykuły — pokie-

---

[1]) »Głos Narodu« z 13 czerwca 1937. — Powtarzamy artykuł p. Zygmunta Lasockiego tym skwapliwiej, że przedstawia Choceń i jego baraki, gdzie pracowali nasi konfratrzy i Siostry Miłosierdzia w czasie wojny, a z tych wspomnień tyle już się zatarło. To, co poseł Lasocki tu pisze, odświeży wrażenia i może kogo z uczestników tragedii choceńskiej zachęci, by zebrać swoje wspomnienia, uzupełnić je i podzielić się nimi z Czytelnikami po tylu latach. (Red.).

reszowane przez cenzurę — o pomieszczeniu ewakuowanych w barakach. Opowiadano o staruszkach, które ze wzruszenia i żalu umarły, gdy im przychodziło opuszczać siedziby, gdzie spędziły całe życie. I w najbliższej okolicy Krakowa panowała rozpacz, gdy wojsko, zupełnie niepotrzebnie, zrównało z ziemią całe wsie, oddając tysiące mieszkańców na pastwę nędzy. Smutno i pusto było więc w Krakowie. Wieczorami z daleka dochodził huk dział. Ulice prawie zupełnie opustoszały. Pamiętam wśród ciszy wieczornej rozdzierający krzyk kobiety, wiedzionej przez dwóch agentów do więzienia św. Michała. Zapewne podejrzana o szpiegostwo lub „politycznie niepewna".

Byłem podówczas „bezrobotnym" posłem. Okręg wyborczy, który zastępowałem, był zajęty przez Rosjan, a parlament zamknięty. Wśród tej niewesołej bezczynności zwrócił się do mnie książę biskup krakowski o zajęcie się ewakuowanymi do baraków choceńskich mieszkańcami Krakowa, od których książę biskup otrzymywał rozpaczliwe listy ze skargami na straszne stosunki, wśród których byli pomieszczeni i z prośbą o pomoc. Wyjechałem więc do Chocni.

Gehenna uchodźców.

Miasteczko to ładnie położone we wschodnich Czechach, przedstawiało, jak w ogóle całe Czechy, obraz spokoju i dobrobytu, niezwykły już dla tego, kto przybywał z Galicji, podówczas już bardzo zniszczonej przez wojnę. Zupełnie jednak inny widok przedstawiało powstałe o kilometr od miasta na terenie zalewowym, nowe miasteczko barakowe, obóz uchodźczy choceński. Na bezużytecznym trzęsawisku, wydzierżawionym przez rząd za drogie pieniądze od jakiegoś właściciela fabryki, stawiano na gwałt kilkadziesiąt ogromnych, jednopiętrowych baraków z desek, z których każdy był obliczony na 258 osób. Gdy pierwsze transporty uchodźców przybyły do Chocni — 20 października 1914 r. — rozpoczynano budowę baraków. W czasie, gdy tam przybyłem, około 25 listopada, zaledwie kilka było na prędce skleconych. Mieściło się w nich około 3 000 ludzi i panowało wielkie przepełnienie. Prócz trochę słomy, nie było w barakach żadnego urządzenia. Każdy barak był poprzedzielany oszalowaniem na $1\frac{1}{2}$ metra wy-

sokości, na przedział obliczone każdy na 4 osoby. Ponieważ baraki były przepełnione, wypełniono szczelnie przedziały. Stąd nieraz w jednym przedziale przebywała uczciwa kobieta z dorastającą córką, razem z notowanym złodziejem i jego kochanką, dziewczyną lekkich obyczajów. W innym matka ze zdrowym jeszcze dzieckiem, a obok druga kobieta z dzieckiem chorym na zakaźną chorobę itp. Przyborów do mycia nie było, tylko pompy. Wśród dotkliwego zimna, trudno było mężczyznom myć się przy pompach, a cóż dopiero kobietom i to na publicznym widoku. To też brud był wielki. Wkrótce zagnieździło się robactwo. W razie pożaru, prawdopodobnie mało kto z mieszkańców pierwszego piętra byłby ocalał, gdyż istniały w każdym baraku tylko jedne wąskie schody drewniane. Podłóg na I piętrze nie uszczelniono, więc nieraz stamtąd spływały nieczystości na mieszkańców przyziemia. W zimnie, zadusze, na samej słomie, bez żadnych nakryć, w bieliźnie niepranej od tygodni, w ubraniach obszarpanych, w przedziałach nie zaopatrzonych zasłonami, w których całe życie odbywało się publicznie, w największym ścisku, mieściły się osoby z inteligencji, uczciwe kobiety mieszczańskie, włościańskie i robotnicze, razem z mętami społecznymi. Wiele dzieci leżało w gorączce wśród zimna. Brakowało najniezbędniejszych urządzeń higienicznych. Skarg, żalów, płaczu, bez końca. Matki pytały o dzieci, które pogubiły, dzieci o rodziców, wszyscy narzekali na głód i zimno i prosili o wypuszczenie z baraków. Przejmujący obraz niedoli ludzkiej. Przybywałem z kraju zalanego krwią i ogarniętego pożogą, widziałem pobojowiska, spalone wsie i miasteczka, jednak ta nędza naszych uchodźców wśród spokojnych okolic, które nie znały co wojna, robiła smutniejsze niemal wrażenie, jak teren toczącej się walki.

Pierwszy zaopiekował się kolonią choceńską książę biskup krakowski Sapieha, i przysłał księży dla niesienia pomocy moralnej i materialnej, a zakonnice dla opieki nad dziećmi i chorymi. Miałem podówczas po raz pierwszy sposobność zapoznania się z działalnością księcia biskupa Sapiehy w dziedzinie opieki nad uchodźcami wojennymi i ewakuowanymi. Pózniej mogłem wielokrotnie przekonać się o tej opiece nad ofiarami wojny.

Podobne stosunki jak w Chocni istniały także i w innych większych i mniejszych obozach barakowych dla uchodźców i ewakuowanych w Wagnie koło Leibnitz w Styrii, w Węg. Hradyszczu na Morawach itd. Gorsze jeszcze było położenie internowanych, przeważnie Królewiaków, w obozach w Steinklamm, Dronendorf i po różnych starych zamczyskach w krajach alpejskich. Istnym piekłem był początkowo obóz internowanych obywateli austriackich w Thalerhofie, gdzie się znęcano w sposób nieludzki nad „podejrzanymi politycznie" i gdzie w pierwszych miesiącach istnienia obozu znaczna część jego mieszkańców wyginęła.

Akcja księcia biskupa.

Około 100 tysięcy Polaków z Galicji przeszło przez obozy dla uchodźców wojennych, a kilkanaście tysięcy Polaków z Królestwa przebywało w obozach dla internowanych. Znaczną pomoc jednym i drugim niósł ks. biskup krakowski i założony przez niego Książęco Biskupi Komitet pomocy dla dotkniętych klęską wojny, K. B. K. Delegaci biskupi docierali do najdalszych obozów w zakątkach górskich, rozdając wsparcia, niosąc pociechę duchową. W szczególności wspomnę tu, nieżyjącego już, wikarego X. Pierzowicza, który z niezwykłym poświęceniem spełniał swoje zadanie, narażając się na choroby zakaźne po obozach, na prześladowanie władz austriackich, za śmiałe ujmowanie się za krzywdzonymi Polakami.

Największą opieką otaczał ks. biskup obóz choceński, jeden z największych, ale zarazem i najgorszych obozów barakowych dla uchodźców, w którym umieszczono przeważnie Polaków z Krakowa i okolic krakowskich w liczbie kilkunastu tysięcy. Proletariatem krakowskim tam umieszczonym nie zajęli się jego przywódcy polityczni. Jedni służyli przy Legionach, inni zajęci byli wyłącznie wielką polityką. Żaden z nich nie odwiedził Chocni lub innego obozu polskich uchodźców, ewakuowanych lub internowanych, żaden nie zabrał głosu na konferencjach z rządem austriackim, które się toczyły w latach 1914 do 1916, w obronie tych nieszczęśliwych ofiar wojny, i nie postarał się o poprawę ich losu. Zajęli się nimi ks. biskup krakowski, K. B. K. i garstka ludzi dobrej woli.

W obozie choceńskim przebywało z polecenia ks. biskupa kilku duchownych: X. Słowiaczek (proboszcz), X. Michalski, X. Paszyna i inni, którzy gorliwie spełniali swoje obowiązki kapłańskie, ujmowali się za mieszkańcami baraków wobec władz i nieśli im pomoc. Zakonnice z wielkim poświęceniem pielęgnowały chorych i opiekowały się dziećmi w ochronce. Wspomnę siostrę Weronikę, zajętą stale w baraku dla chorób zakaźnych, która, gdy wybuchł pożar w tym baraku, z narażeniem życia ratowała chorych. Nabawiła się tyfusu plamistego i ciężko chorowała. Delegaci biskupi: prof. uniw. X. dr Kaczmarczyk, X. sekr. Kasprzyk, zdawali sprawę o opłakanych stosunkach, jakie zbadali w Chocni. Prof. uniw. E. Godlewski zbadał dokładnie stosunki sanitarne i wykazał w memoriale przedłożonym rządowi rażące braki. Wielu dzieciom uratowało życie mleko kondensowane przesyłane w większych ilościach przez K. B. K. Przesłano do obozu także tysiąc sztuk odzieży i bielizny. Sieroty, których rodzice umarli w barakach, polecił ks. biskup, przewieźć do Krakowa i umieścić w domu sierocym, w budynku ofiarowanym przez pp. Buszczyńskich, zaś dzieci chore na jaglicę i na gruźlicę wysłać do odpowiednich schronisk dla leczenia ich. Z jego inicjatywy utworzono bursę w Nowym Targu dla kilkudziesięciu studentów z obozu choceńskiego, którzy w barakach łatwo zmarnieć mogli fizycznie i moralnie. W pismach do rządu, nieraz w silnych akcentach, w interwencjach u najwyższych czynników rządowych i członków domu cesarskiego, sam lub wspólnie z innymi biskupami, przedstawiał ks. biskup krakowski niewłaściwe postępowanie z uchodźcami, domagał się powrotu do kraju tych, których niepotrzebnie i bezpodstawnie przytrzymywano w barakach, a poprawy stosunków dla tych, którzy, wobec zajęcia jeszcze części kraju przez nieprzyjaciela, zmuszeni byli pozostać w obozach barakowych. Powracającymi do Krakowa zajmował się, udzielając doraźnej pomocy i opieki, Komitet doraźnej pomocy dla ewakuowanych, pozostający pod protektoratem ks. biskupa.

Z okazji 25-letniego jubileuszu swojego duszpasterza, który obchodzi diecezja krakowska, godzi się przypomnieć tę kartę z Jego działalności charytatywnej w czasie wojny światowej.

STEFAN ROSIAK.

Misjonarze wileńscy w koloniach saratowskich.

(Referat wygłoszony 23 marca 1936 r. na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wilnie).

Wpływy polskie i katolickie na Rosję.

Po przyłączeniu do Rosji terenów Rzeczypospolitej, wpływy polskie na cesarstwo znacznie się rozszerzyły. Nieraz były one minimalne, przypadkowe, lecz mimo to miały poważne znaczenie. Wpływy te były dwóch rodzajów. Po pierwsze świeckie — przez emigrację przymusową (zesłańcy) i zarobkową (inżynierowie, prawnicy i inne wolne zawody, rzemieślnicy, robotnicy niewykwalifikowani). Po drugie — religijne, wywierane przez Kościół katolicki, którego przedstawiciele czy drogą przymusową (księża zesłańcy polityczni), czy to dobrowolnie jako duszpasterze oddziaływali na olbrzymich obszarach Rosji, jednocześnie godnie reprezentując imię polskie. W przyczynku tym chcę przedstawić tę właśnie działalność kleru katolickiego w dorzeczu Wołgi, w dawnej gubernii saratowskiej, i samarskiej, w tzw. koloniach saratowskich [1]), na terenie zamieszkałym przez emigrantów z zachodniej Europy, wśród których pracowali początkowo oo. Jezuici, a po ich usunięciu księża ze Zgromadzenia Misjonarzy św. Wincentego a Paulo. Szkic ten stanowi z kolei drugi przyczynek do dziejów Zgromadzenia XX. Misjonarzy na Litwie [2]), gdyż księża pracujący w koloniach saratowskich pochodzili z prowincji litewskiej.

---

[1]) O misjach tych w »Księdze pamiątkowej trzechsetlecia Zgromadzenia XX. Misjonarzy, 1625 — 1925«, Kraków, 1925, znajdują się dwie wzmianki, większa (17 w.) na str. 131 i mniejsza (4 w.) na str. 173.

[2]) Misjonarz wileński X. Anzelm Zygmunt, nauczyciel głuchoniemych. »Roczniki obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo«. Rocznik XXXVI. Uzupełnienia. Kraków, 1933, str. 17 — 25.

Prowincja litewska XX. Misjonarzy w pierwszej epoce istnienia.

Utworzona w roku 1796 nowa prowincja Zgromadzenia XX. Misjonarzy na terenie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego w pierwszej ćwierci XIX stulecia przeżywa swój najświetniejszy rozwój [1]). Powstają nowe domy, w samym Wilnie Zgromadzenie tworzy przy kościele św. Kazimierza nową placówkę, gdzie prócz pracy duszpasterskiej prowadzono także drukarnię; poważną również rolę odgrywało Zgromadzenie przy kształceniu kleru świeckiego. Nic więc nie zapowiadało smutnej przyszłości, która się zbliżała szybkimi krokami. Szerszy i głębszy zakres studiów teologicznych i większy zasób wiedzy świeckiej wyróżniał Misjonarzy od całego ogółu kleru katolickiego na Litwie, to też działalność ich przekracza granice b. Wielkiego Księstwa Litewskiego i sięga hen do brzegów morza Kaspijskiego, do tzw. kolonii saratowskich.

Dzieje kolonii saratowskich.

Kolonie te znajdowały się nad dolnym biegiem Wołgi, na terenie tworzącym niegdyś niepodległe państwo tatarskie ze stolicą Sary Tan (Żółta Góra — po tatarsku) przez Rosjan nazwaną Saratowem. Kraj ten różniący się pod względem klimatycznym (stepowy) i narodowościowym (koczownicze plemiona tatarskie) został w wieku XVIII podbity i wcielony do państwa carów. W drugiej połowie XVIII stulecia poczęła się tam intensywna kolonizacja kraju przez osadników sprowadzonych z Niemiec, Szwajcarii i Szwecji. Początek kolonizacji stanowił ukaz Katarzyny II z dnia 4 grudnia 1762 r., wzywający przybyszów z Europy (z wyjątkiem Żydów) do osiedlania się na wolnych terenach [2]). Jednak ukaz ten niewielki odniósł skutek, ponieważ nie dawał żadnych gwarancyj, dopiero drugi, z dnia 22 lipca 1763 r., z załączonymi do niego manifestem i instrukcją dla kancelarii opieki nad obcokrajowcami [3]),

---

[1]) Zobacz: St. Rosiak: »Prowincja Litewska SS. Miłosierdzia«. Wilno, 1933.

[2]) »Połnoje Sobranie Zakonow Rossijskoj Impierii«. Tom XVI, Petersburg, 1830, str. 126, poz. 11720.

[3]) Jak wyżej: ukaz str. 312, poz. 11879, manifest str. 313—316, poz. 11880 i instrukcja str. 316, poz. 11881.

wyraźniej precyzujący prawa i przywileje przybyszów, miał lepszy wynik i w latach 1764—1770 przybyło około ośmiu tysięcy rodzin (27.000 osób płci obojga). Werbunek osadników odbywał się przy pomocy wysyłanych agentów, którzy otrzymywali wynagrodzenie pogłówne, to też przybywało wiele osób nie nadających się do rolnictwa. Przybysze otrzymywali nadziały po 30 dziesięcin (ok. 30 ha) na rodzinę. Kolonizację wstrzymała, a nawet cofnęła epoka buntu Pugaczewa [1]), po której to pozostały z przybyłych zaledwie 5.502 rodziny [2]). Nastąpiły nowe przywileje, władze centralne i lokalne dążyły do rozwoju tych okolic. Specjalne przywileje uwalniające od ciężarów służby wojskowej i wojennego postoju stwarzały warunki wyjątkowe, to też ludność przybywająca z dalekich krain rychło zagospodarowała się i zapewniła sobie dobre warunki materialne, a porzuconą ojczyznę kolonistów przypominały nazwy nowopowstałych osad. W większości przeważał żywioł niemiecki. Ściśle biorąc, oficjalna nazwa „kolonie saratowskie" nie obejmuje całkowicie terenu, ponieważ kolonie te znajdowały się także na lewym brzegu Wołgi w gubernii samarskiej.

Władze duchowne w koloniach.

Pod względem przynależności do administracji kościelnej ludność katolicka w koloniach saratowskich, stanowiąca ok. 25% przybyszów [3]), w pierwszym okresie istnienia kolonii była zupełnie w odosobnieniu. Pierwsi księża przyjeżdżający z kolonistami byli wysyłani przez biskupów z tych miejsc, z których pochodzili koloniści, więc należeli nominalnie do swoich diecezyj. Później, gdy w r. 1782 w Mohylewie została utworzona metropolia dla kościołów katolickich w Rosji, władza zwierzchnia nominalnie przysługiwała metropolicie mohylewskiemu. Znaczna odległość i trudne ówczesne warunki komunikacyjne nie ułatwiały metropolicie spełniania bezpośrednio czy też pośrednio rządów nad tymi tere-

[1]) Pugaczew Jemielian, Kozak doński, samozwaniec, który jako Piotr III w r. 1773 zajął część Powołża, rozbity w r. 1774, zginął poćwiartowany w Moskwie.

[2]) Minch A.: »Istoriko - geografi - czeskij słowar...« T. I.: Wypusk Lit. D-K. Saratow, 1900, str. 416 i nast.

[3]) Większe skupienia znajdowały się w gub. saratowskiej w pow. kamyszyńskim i w gub. samarskiej w pow. nowo-uzienkowskim i mikołajewskim.

nami. Rozwiązać tą sprawę mogło utworzenie nowych diecezyj dla tych terenów, których administratorzy mogliby łatwiej wypełniać obowiązek czuwania nad duszami powierzonych sobie wiernych. Ale sprawy tego rodzaju, jak utworzenie nowej diecezji katolickiej pod panowaniem rosyjskim, nie przychodziły tak łatwo. Wiele lat upłynęło i dopiero po wizycie cesarza Mikołaja I w Rzymie (w r. 1845), kiedy to się zdawało, że przez osobiste zetknięcie się najwyższego dostojnika Kościoła i władcy imperium rosyjskiego wyjaśniony zostanie cały szereg spraw spornych, rzecz ta stała się aktualną. Po powrocie cesarza do kraju został powołany komitet ministerialny, mający za zadanie rozpatrzenie kwestyj spornych rządu i Kościoła katolickiego [1]. Między innymi wypłynęła i sprawa rozgraniczania diecezyj katolickich na terenie cesarstwa. Jeden z członków komitetu, minister spraw wewnętrznych Pierowskij, chciał liczbę ich ograniczyć do czterech (było sześć), jednak inni członkowie [2] sprzeciwili się temu, uważając, że należy stworzyć siódmą dla południowych części Rosji, gdzie nad brzegami Wołgi i Dniestru zamieszkiwała w koloniach większa ilość katolików, głównie Niemców, których znaczniejsze skupiska znajdowały się w okolicach Saratowa, Tyraspola i Odessy. Należało dla tych terenów stworzyć odrębne biskupstwo, na czele którego stałby Niemiec z pochodzenia i sama diecezja nosiłaby charakter niemiecki, gdyż tenże język byłby wykładowym w seminarium, a wychowankowie rekrutowaliby się głównie z miejscowych kolonistów. W projekcie tym załatwiano równocześnie dwie sprawy: przed Stolicą Apostolską wykazywano troskę o interesy Kościoła katolickiego i zarazem przecinano wpływy polskie, których władcy rosyjscy obawiali się zawsze [3].

Jednak od chwili uznania potrzeby utworzenia nowej diecezji do zaistnienia stanu rzeczy faktycznego w biurokratycznych stosunkach rosyjskich było daleko. Nowa diecezja podług projektu rosyjskiego miała obejmować Besarabię, Chersoń, Jekatery-

---

[1] Boudou Ad. ks.: »Stolica Święta a Rosja«, Kraków 1928, str. 519.

[2] Przewodniczącym był Nesselrode, członkami oprócz Pierowskiego byli: Ign. Turkułł, hr. Orłow, hr. Błudow i hr. Uwarow — Boudou jak wyżej.

[3] Boudou jak wyżej str. 525-6.

nosław, Tarurydę, Saratów, Astrachań oraz wicekrólestwo kaukaskie[1]). A opiekować się miała nie tylko łacinnikami, ale i Ormiano-Gruzinami. Dla ułatwienia rządów miał być podług projektu rządowego biskup diecezjalny w Chersoniu i sufragan w Saratowie. Rzym żądał dwóch sufraganów (drugi z siedzibą w Tyflisie). Na tym tle rozpoczęły się targi, rząd nie ustępował[2]). Kompromisowo chciano utworzyć dla tych terenów biskupstwo jako sufraganię archidiecezji mohylewskiej, jednak wreszcie w r. 1850 nowa diecezja dla tych stron została erygowana pod nazwą tyraspolskiej (nazwa pochodzi od miasta, które jeszcze w XIV w. było stolicą biskupstwa chersoneskiego). Pierwszym biskupem został Niemiec, dominikanin, Ferdynand Helenius Kahn, któremu później, jako sufragana, dodano biskupa Wincentego Lipskiego. Pierwszy biskup nie długo jednak rządził diecezją, ustępując do zacisza życia prywatnego, a zastępstwo pełnił w latach 1865 — 1872 biskup Lipski.

Ramy artykułu nie pozwalają nam dłużej się zatrzymywać nad dziejami tej diecezji, która oficjalnie siedzibę miała w Tyraspolu, a życie wyznaczyło jej miejsce w Saratowie, punkcie centralnym największego skupienia katolików, tej najrozleglejszej diecezji w Europie. Wymienimy tylko biskupów tamtejszych w kolejności następstwa. Po śmierci biskupa Kahna w r. 1872 rządy diecezją objął Franciszek Ksawery Zottman, lecz i on nie dokończył życia tutaj na stolicy biskupiej, bo wrócił w roku 1890 do ojczystej Bawarii, a miejsce jego objął urodzony w koloniach Antoni Zerri wychowanek seminarium saratowskiego, od r. 1883 sufragan tutejszy. Po dziesięcioletnich, niezbyt udanych rządach diecezją i on z kolei wycofał się z biskupstwa, a czwartym biskupem został w r. 1902 Edward bar. Ropp, od r. 1904 przeniesiony na biskupstwo wileńskie. Ostatnim najwyższym zwierzchnikiem diecezji został biskup Józef Kessler, który był świadkiem upadku i zniszczenia biskupstwa przez bolszewików. Trochę w tych naszych rozpatrywaniach wybiegliśmy naprzód, musimy więc wrócić do początkowych dziejów kolonii.

---

[1]) Boudou jak wyżej str. 37.

[2]) Boudou jak wyżej str. 539.

Duszpasterstwo w koloniach.

W pierwszym okresie istnienia kolonii saratowskich obowiązki duszpasterzy pełnili duchowni, którzy przyjeżdżali razem z kolonistami z ich ojczyzny. Z czasem jednak kontakt z rodzinnymi stronami urywał się, przybyli stamtąd duchowni wymierali i wtedy dawał się odczuć brak duszpasterzy, zwłaszcza wśród katolików, których duchowni muszą posiadać specjalne przygotowanie. Na przełomie XVIII i XIX stulecia brak księży był tutaj bardzo dotkliwy, około 10 000 katolików zamieszkujących rozległe tereny, wespół z wyznawcami obcych religii, pozostawało w zaniedbaniu duchownym, szerzyło się więc pijaństwo, obniżał poziom moralny. Przez pewien okres czasu duszpasterzowali Kapucyni z Niemiec, lecz wskutek zatargu z metropolitą Siestrzeńcewiczem powrócili do domów macierzystych. Na ich miejsce metropolita przysłał zastępców znających język kolonistów, lecz niezbyt nadających się do pracy w miejscowych warunkach; księża ci nie zdołali się też tutaj zaaklimatyzować i nie wywarli większego wpływu na ludność.

Jezuici duszpasterzami.

Światlejsze spośród kolonistów jednostki, widząc ten upadek, za pośrednictwem władz państwowych rozpoczęły starania o oddanie rządów kolonii pod względem religijnym oo. Jezuitom, którzy tą propozycję przyjęli. Dnia 3 i 4 lutego 1803 r. dwiema grupami wyruszyło z Połocka 10 księży i 2 braci laików, by po przeszło miesięcznej drodze 5 i 6 marca stanąć u kresu swej podróży — w Saratowie. Ustalono, że na miejscu powstanie w większych skupiskach katolickich dziewięć parafij misyjnych, dziesiąty ksiądz, który będzie przełożonym misji, stale ma zamieszkiwać w Saratowie i stamtąd objeżdżać parafie w celu kontrolowania pracy podległych jego władzy proboszczów, którzy znowu z kolei powinni wizytować pomniejsze skupienia katolickie, łącząc w ten sposób katolicką ludność kolonii. Zaraz po przyjeździe do Saratowa nawiązano kontakt z ludnością i ustalono podział na parafie w składzie: (p. tablica na str. 161).

Razem misje, na czele których stanął X. Alojzy Landers, w dziewięciu parafiach, obejmujących 31 osad o większej ilości katolików, skupiały 10 052 wiernych. Niełatwa to była praca,

L. p.	Nazwa parafii	Proboszcz	Ilość miejscowości	Ilość dusz
1	Kamińsk	X. Antoni Postol	4	1 606
2	Graznowatka	X. Rafał Zubowicz	6	1 184
3	Semenowska	X. Jan Mayr	4	1 783
4	Tonkoszurowska (Marienthal)	X. Alojzy Moritz	2	1 000
5	Raskat	X. Ignacy Zacharewicz	3	660
6	Kosik (Brabant)	X. Tadeusz Hattowski	2	640
7	Krasnopole (Greiss)	X. Alojzy Löffler, później X. Gryvel	4	1 281
8	Paninskaja	X. Ferdynand Mestre	4	1 231
9	Katerinensztadt	X. Jan Richard	2	667

bo katolicy otoczeni różnowiercami zatracali coraz bardziej swe dodatnie cechy i ulegali wpływom nie zawsze najlepszym.

To też prosto z powozów, którymi przyjeżdżali do swych parafii, księża obejmowali „rząd dusz", udzielając sakramentów. Bliższe zapoznanie się z parafiami wykazywało jak największe zaniedbanie duchowe nie tylko wśród młodzi, która w koloniach się urodziła, ale i wśród starszych, którzy pozapominali najprostszych zasad wiary. Należało więc nauczać, wyjaśniać, umacniać. Walną pomocą były książki w języku niemieckim, które z sobą z Połocka zabrali Jezuici i teraz rozdawali wśród parafian. Rozpoczęto rekolekcje, zachęcano do spowiedzi. Należało zwalczać napół pogańskie obyczaje, które parafianie łączyli z uroczystościami kościelnymi, a które kończyły się pijaństwem, awanturami i innym zgorszeniem. Budowali się parafianie wysokim poziomem swych duszpasterzy, którzy nie tylko życiem, ale i uczonością imponowali nawet innowiercom, zwyciężając ich w dyskusjach religijnych. Nie brakowało jednak i rzeczy przykrych; nie zawsze ludność rozumiała dobre intencje księży, a walkę z nałogami uważano

za obelgi osobiste. Na ogół jednak znać było wyraźne zmiany na lepsze. I trwało to przez całych lat siedemnaście duszpasterstwa Jezuitów w tym kraju ku ogólnemu pożytkowi.

Lecz nadeszła chwila, kiedy rząd rosyjski zrozumiał, że Jezuici nie chcą pracować dla chwały cara i Rosji. Jezuitów, jako najbardziej czynnych, spotykał cios, który za lat dwadzieścia kilka miał dotknąć cały kler katolicki. Towarzystwo Jezusowe na terenach państwa rosyjskiego zostało skasowane. Dnia 20 września 1820 r. żegnani łzami żalu mieszkańców odjeżdżali Jezuici z kolonii saratowskich, by zgodnie z ukazem opuścić granice Rosji [1].

Dok. nast.

[1]) »O misjach Jezuitów« zob. Załęski St. X.: »Jezuici w Polsce«. Tom V. »Jezuici w Polsce porozbiorowej 1773—1905«. Kraków 1906, str. 393 i nast. Na terenie cesarstwa pozostali Jezuici tylko w gub. astrachańskiej, gdzie przebywali do roku 1827, w samym Astrachaniu prowadzili konwikt, w którym obok katolików kształcili się prawosławni. Załęski l. c. str. 406-7. Bliższe szczegóły o pierwszym okresie pobytu Jezuitów opisuje X. Adam Łabędzki w książce: »O powrocie Jezuitów książka druga, czyli dodatki do pierwszej książki należące, z różnych pism zebrane«. Warszawa 1805, po str. 242 pt.: »Opis dziewięciu misyj saratowskich...«, str. 1—40.

X. Edward Mott.

Ósmego czerwca 1845 roku urodził się w Paryżu w parafii św. Sulpicjusza z Adolfa Antoniego Nazarjusza Mott, nauczyciela w liceum Ludwika W., i z Ludwiki Andreieux, nasz konfrater Adolf Mott, który niedawno nas opuścił, przeżywszy 89 lat.

Adolf i Ludwika znali się długo przedtem, niż się pobrali. Adolf był bowiem za młodu uczniem i wychowankiem ojca Ludwiki. Jako młodzieniec zasmakował w życiu seminarzysty w wielkim seminarium Carcassonne, skąd jednak wystąpił dla innej kariery; został profesorem uniwersytetu. W listopadzie 1831 roku był już bakałarzem. Miał wtedy 21 lat, kiedy otrzymał posadę nauczyciela w liceum w Carcassonne.

Ludwika Andrieux miała 10 lat, kiedy umarł jej ojciec. Strata ojca była dużym nieszczęściem dla rodziny. „Moja babka, pisze Mott, dziedzicząc majątek po swym mężu, nie odziedziczyła po nim jego ducha, a sprawami domowymi rządziła niezbyt sprawnie. Mniej jeszcze umiała kierować sprawami duchowymi. Dobre i pobożne tradycje zaczęły znikać, a niedbalstwo matki doprowadziło wkrótce członków jej rodziny do wielkiego niedostatku, niemal nędzy“.

Ludwika i jej młodsza siostra zostały umieszczone w ochronce Sióstr Miłosierdzia. Przy matce pozostała jeszcze starsza jej córka, dość już duża i zgrabna, jako jej pomocnica.

W 14 roku życia Ludwika po raz pierwszy zbliżyła się do stołu Pańskiego. Zostać kiedyś Córką Miłosierdzia było marzeniem jej młodości. Marzenie to jednak szybko się rozwiało, kiedy znowu musiała zająć miejsce w ognisku domowym.

Adolf Mott mógł zawsze swobodnie przychodzić do jej rodziny, a czynił to tym chętniej, bo Ludwika podobała mu się. Kochano się. Miłość ich dwojga zakończyła się małżeństwem.

Urzędnik powinien być gotów nieść swój namiot wszędzie, gdziekolwiek poślą go wyżsi jego naczelnicy. Pan Mott nieraz był przenoszony z miejsca na miejsce. I tak:

W lutym 1833 r. otrzymał nominację na regenta 4-go i 5-go oddziału kolegium w Céret.

W marcu 1836 r. został obarczony urzędem głównego dozorcy w liceum w Tuluzie.

W listopadzie 1836 r. zostaje regentem 4-go oddziału i subdyrektorem kolegium w Foix.

We wrześniu 1839 r. otrzymuje posadę głównego dozorcy w liceum w Bordeaux.

W styczniu 1841 r. zostaje nauczycielem w liceum Ludwika W.

W lutym 1847 r. powierzono mu 5-ty oddział liceum Bastia.

We wrześniu 1858 r. opiekuje się 5-tym oddziałem liceum w Agen.

W czasie jego 7-mioletniego pobytu w Paryżu urodziło mu się troje dzieci: Antonina, później żona profesora uniwersytetu, Edward, który dla nabożeństwa do Matki Najświętszej nazwie się Marianem Edwardem, nawet na listach wyborczych, i druga córka Kamila Antonina, która później wstąpi do Sióstr Miłosierdzia, gdzie jeszcze przebywa.

Edward otrzymał bardzo gruntowne wykształcenie uniwersyteckie z literatury i filozofii. Uwieńczył je 3 sierpnia 1863 r. bakałarz z filozofii, który otrzymał na uniwersytecie w Bordeax z oceną dobrą.

Nie gardził i poezją, a niekiedy umiał ją zaprawiać ziarenkiem pokornej złośliwości.

Czy po studiach uniwersyteckich pan Mott pomyśli o politechnice, jak powszechnie mówiono? Być może, gdyż w dwa miesiące po swoim sukcesie w Bordeaux studiował w Paryżu na ulicy des Minimes, w prywatnym instytucie, przygotowującym do szkół wyższych. Stało się inaczej, niż ogólnie przypuszczano.

Dnia 6 sierpnia 1861 r. umarł jego ojciec w Agen, nie okazawszy żadnego znaku powrotu do Boga. Boleść syna była źródłem zbawiennych refleksyj. „Na mnie, pisze, miłosierdzie Boże zdaje się rzuciło swe pierwsze spojrzenie. Odtąd głębiej zacząłem rozważać tę myśl, że jednak ta nasza religia musi być prawdziwa i piękna,

ta religia, o której dotychczas nie myślałem, chyba tylko w sposób powątpiewający. Czując, że Bóg przemawia tylko do serc czystych, a z drugiej strony ożywiony bezgraniczną ufnością do Matki Najśw., modliłem się do Niej z zapałem w czasie niejednych pielgrzymek do Notre-Dame de Bon-Encontre, a otrzymawszy za Jej wstawiennictwem odnowienie mego życia, poczułem wkrótce pragnienie poświęcenia się Bogu w stanie duchownym".

Edward czekał wakacyj, aby uwiadomić matkę o swoich zamiarach. Przykre i bolesne były to sceny, do głębi rozrywające serce, sceny trwające prawie przez trzy miesiące. Edward postawił na swoim. W roku 1864 zamiast wrócić na ulicę des Minimes, wstąpił do seminarium św. Sulpicjusza.

Cnota jego wzruszyła serce matki. „Po większej części, oświadcza, dzięki jej miłości ku mnie, który byłem już nawrócony do Boga i ona także zwróciła się ku Niemu, a religia jej syna stała się odtąd jej religią. Dlatego wkrótce pokochała wiele pobożnych praktyk, czytała życiorysy świętych i inne książki religijne, zbliżała się częściej do sakramentów; jednym słowem prowadziła życie chrześcijańskie".

Na wakacjach 1886 Edward zbudował się bardzo postępami swej matki w pobożności. „Dom nasz, mówi, przekształcił się w prawdziwe maluczkie zgromadzenie, gdzie wspólnie odprawialiśmy wiele ćwiczeń, jak różaniec, Anioł Pański, modlitwy, niekiedy nawet rozmyślania, czytania duchowne głośne z życiorysu św. Fr. Salezego i św. Chantal. Trwało to niekiedy do dwóch i trzech godzin". Codziennie chodziła na msze św., a kilka razy w tygodniu przyjmowała Najśw. Sakrament. Edward uważał, że nadeszła stosowna chwila, aby jej donieść o zbliżaniu się wielkiej ofiary, o pożegnaniu Kamilii Antoniny, która pragnęła wstąpić do Sióstr Miłosierdzia. Brat i siostra drżeli na samą myśl, że zobaczą powtórzenie się bolesnych scen z roku 1864. Uczyniwszy heroiczną ofiarę z swych trojga dzieci, matka pomyślała o swej przyszłości. Myśl o Karmelu najpierw zajmowała jej ducha. Syn zaś chciał, by wstąpiła do klasztoru Wizytek. W tym celu, by obudzić w niej zainteresowanie do tego klasztoru, dał jej do rąk życiorysy św. Fr. Salezego i św. Chantal, w których to życiorysach mamy wzmianki o wdowach, przyjętych jako pensjonarki do Wizytek.

Matka poszła po myśli swego syna, lecz kiedy chodziło o wypowiedzenie się za określonym domem tego zakonu, nie było zgody. Matka pragnęła pozostać w Paryżu, by móc łatwiej odwiedzać swe dzieci. Syn jednak wolał, by jej powołanie było wolne od wszelakiej przymieszki uczucia ludzkiego. „Wiesz, mój Edwardzie, pisała do niego, że nie miasto Paryż pociągało mię, ale miłość ku drogim dzieciom, które tam będą przebywać. Myśl ta przyniosła mi tak wielkie szczęście, iż zdawało mi się, że to już nie ofiara, ale wielka radość opuścić wszystko, nie oglądając się za niczem. Rozumiem, że nie w ten sposób kupuje się niebo, ale wykonaniem prawdziwych ofiar. Tak mój synu, ofiarę ze wszystkich mych dzieci czynię całkiem dobrowolnie P. Bogu. Winnam Mu ją uczynić i czynię ją z całego serca. Jeżeli miałabym jeszcze coś drogiego, zdaje mi się, że z przyjemnością oddałabym Mu, byle mieć to szczęście, aby wstąpić do Jego domu".

Matka i syn zgodzili się na klasztor w Meaux. Nie był to Paryż, ale Paryż był niedaleko.

Kamila Antonina odprawiała wówczas postulat w schronisku Agen. Matka zaprowadziła ją na ulicę du Bac i z Paryża udała się wprost do Wizytek w Meaux, gdzie wstąpiła dnia 4 grudnia 1866 r. Raz jeszcze zrozumiała lepiej rozciągłość swej ofiary i poczuła się zbyt słabą do jej udźwignięcia. Smutek ogarnął jej duszę. Chwyciła za pióro 9 grudnia, aby wypowiedzieć swemu synowi strapienie duszy. „Nie mam już Kamilii, pisze. Jej obecność pocieszała mnie, a kiedy była w postulacie z łatwością mogłam ją widywać dwa lub trzy razy na tydzień. Ty, co prawda, byłeś daleko ode mnie, lecz nadzieja zobaczenia Cię w ciągu trzech miesięcy wakacyj, uspakajała mnie na cały rok... Obawiam się zaiste, że podjęłam się ofiary ponad me siły. Nie myśl jednak mój Edwardzie, że chcę opuścić klasztor i powracać natychmiast. Żywię jeszcze nadzieją, że P. Bóg udzieli mi tej łaski, że będę coraz szlachetniejszą dla Niego". Matka nie mogła łudzić się, co do przykrości, jaką ten list sprawiłby synowi. Odczytała go jeszcze raz i nie wysłała. Kryzys wewnętrzny opadł. „Dziękuję P. Bogu za to, że mię przyprowadził do tego domu". — pisze nazajutrz. A 6 stycznia 1867 r.: „W końcu, mój drogi Edwardzie, bądź szczęśliwy. Moje szczęście jest w mej duszy, niczego więcej nie pragnę. Ko-

cham tak bardzo ten drogi klasztor Wizytek, że z przyjemnością objęłabym wszystkie jego ściany. W podobny sposób opowiedziała o ceremonii, przez którą dopuszczono ją do nowicjatu po pierwszej próbie: „Jakże dobry jest Bóg! Sądzę, że nie mam powodu do powątpiewania, że to właśnie w zakonie Wizytek pragnął mnie P. Bóg. Gotowa jestem wzamian za tak wielką łaskę złożyć wszelką ofiarę, jakiej zażąda ode mnie“.

Styczeń jeszcze się nie skończył, kiedy dusza nowicjuszki dała się opanować wręcz przeciwnymi uczuciami. „Od czasu, kiedy zostałam przyjęta do nowicjatu, pisze, miałam możność przekonać się, że nigdy nie potrafię dostosować się do podobnego sposobu życia“.

Pokusa zwyciężyła. Wystąpiła i nie śmiejąc ukazać się z powrotem w Agen, gdzie wiedziano o jej wstąpieniu do Wizytek, udała się do jednej ze swych sióstr do Saint-Vivien. Edward spędził razem z nią swe wakacje w roku 1867. Widząc, że odnośnie do religii środowisko jej nie odpowiadało, postanowił wystarać się dla niej o miejsce w Paryżu lub na jego przedmieściu. Tyle udało mu się dokonać, że przyjęto ją do Sióstr Miłosierdzia z Arcueil. Upłynęło kilka dni. Nudy powróciły, a myśl o powrocie do do Saint-Vivien nie opuszczała jej.

Tymczasem Edward był w największym kłopocie. P. Bóg — myślał sobie — woła go do św. Łazarza, a on nie wie w jaki sposób donieść o tej nowinie swojej matce, która żywiła jeszcze nadzieję, że żyć będzie z nim, kiedy tenże ukończy swoje seminarium. „Początek tej tak bolesnej sceny nadszedł nareszcie, opowiada nam Edward. Pierwsze chwile, jak się tego spodziewałem, były bardzo przykre, lecz P. Bóg przyszedł nam z pomocą. Matka nie poddała się żadnemu z tych zwykłych objawów gwałtowności, jak to czyniła w podobnych okolicznościach. Uroniwszy wiele łez, zadowoliła się powiedzeniem, że jest jej bardzo przykro dać mi w tej chwili odpowiedź. Trzy dni potem przyszła mnie odwiedzić do św. Sulpicjusza i powtórzyła, jak to postanowienie było przykre dla jej biednego serca. Ale dodała, że mimo to zupełnie jest zdecydowaną nie opierać się pod żadnym względem Woli Bożej.

„Tamże postanowiliśmy, że po święceniach, w uroczystość Trójcy św., wstąpię do św. Łazarza, a zaznajomiwszy się z człon-

kami tej rodziny, towarzyszyć będę mamie do Agen, by jej dopomóc w instalowaniu się, pocieszać ją i nieco przyzwyczaić do nowej siedziby".

Młody kleryk został wyświęcony na subdiakona w r. 1868. Dnia 13 czerwca został przyjęty do św. Łazarza, i zaraz potem odjechał w towarzystwie swej matki, by tam powrócić dopiero 24 lipca. W Agen musiał wiele ścierpieć z powodu wymówek jego starszej siostry i szwagra, a zarazem z powodu wyrzutów matki, która chwilami obchodziła się z nim okrutnie i niewdzięcznie. Dzięki jego modlitwom, cierpliwości i delikatności w postępowaniu, wszystko układało się przynajmniej o tyle lepiej, że biedna, opuszczona niewiasta powzięła zamiar wstąpienia do Sióstr Miłosierdzia. Poradziła się w tej sprawie X. Houssin misjonarza, który właśnie przejeżdżał po wizytacji Sióstr. Zasięgnęła również rady u Matki Montcellet, przełożonej szpitala w Agen. Zadecydowano, że przed rozpoczęciem postulatu pani Mott zostanie w tym zakładzie, by się czegoś poduczyć. „Dzięki wielkiej łaskawości i miłosierdziu naszego Zbawiciela, pisze do swego syna 22 sierpnia, mam to szczęście, że mogę pracować nad tym samym dziełem, co moje drogie dzieci. Codziennie rano po śniadaniu około godziny 10 idę do przytuliska. Opuszczam je o 4 godzinie, aby powrócić na obiad. Później Matka Montcellet poczyni pewne zmiany w tym tymczasowym rozporządzeniu. Spodziewam się, że wkrótce zostanę pensjonarką".

Aby ją lepiej wypróbować, powierzono jej jeden z najwięcej odstręczających i najtrudniejszych urzędów, mianowicie instytut położniczy i publiczne prostytutki. „Te małe dziatki, mawiała z wielkim duchem wiary, przypominają mi Dzieciątko Jezus. Drugi urząd, co prawda, nie przypomina tej samej niewinności, ale widzę w tych biednych stworzeniach dusze odkupione Krwią naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, a myśl ta sprawia mi wielką radość i udziela siły do dobrego wykonywania mego urzędu dla miłości Chrystusa".

Siostry nie wierzyły w stałość tej 50-letniej niewiasty. Otwarcie mówiły jej, że osoby w podobnym wieku zwykle nie wytrwają; że w ich zgromadzeniu nie podobało im się i dlatego wystąpiły. „By ci prawdę powiedzieć, pisała do swojego syna, zdaje

mi się, że te dobre Siostry nie troszczą się o to, bym wstąpiła do ich Zgromadzenia". Matka Montcellet dodawała jej więcej odwagi. Na nieszczęście choroba sparaliżowała jej wpływ, a już w październiku zabrakło Matki Montcellet.

Wiele wahano się, nim drzwi Zgromadzenia otwarto dla pani Mott. Interwencja jej syna u X. Étienne zadecydowała. Siostra Narp, przełożona św. Józefa w Arcueil przyjęła ją do postulatu, opiekowała się nią w seminarium, a nawet po jego ukończeniu. Siostra Mott należała do tego domu przez 35 lat, od 1869 – 1904. Budowała swoje towarzyszki przeróżnymi cnotami chrześcijańskimi i zakonnymi.

Ale powróćmy do jej syna, którego zostawiliśmy u św. Łazarza. Po skończonym seminarium otrzymał 25/VIII diakonat, a 29 tegoż miesiąca 1869 kapłaństwo i wyruszył do seminarium w Oran, gdzie umieściło go posłuszeństwo. Następnego roku powraca do Paryża. W kaplicy na ulicy du Bac 26 lipca złożył śluby św. na ręce O. Generała Étienne. W kilka dni potem miał to szczęście, że mógł brać udział w uroczystościach jubileuszowych Generalnego Przełożonego. Po ogólnej radości nadeszły jednak czasy smutne. Wybuchła wojna. Wiadomości coraz to smutniejsze nadchodziły. X. Mott wyjechał do Afryki.

Po 4-letnim nauczaniu, 3 lata w Oran, jeden rok w Évreux, O. Generał Étienne powierzył mu 24 czerwca 1873 probostwo w Drancy z tytułem superiora. Nowy superior był młody. Miał zaledwie 28 lat. Bez wątpienia zbyt młody, gdyż kilka miesięcy później proboszcz z Drancy, nie przestając być proboszczem, dostał się pod władzę starszego kapłana, X. Frontigny. Między obydwoma konfratrami, czyli proboszczem i wikariuszem a zarazem superiorem, sytuacja stała się nadzwyczaj delikatna. Nie mogło to trwać długo. W r. 1875 znajdujemy X. Mott w wielkim seminarium La Rochelle, a rok potem na misji w Saintes.

O. Generał Fiat cenił bardzo jego pobożność i chciał go mieć przy sobie, jako prywatnego sekretarza. Dlatego wezwał go do siebie 23 stycznia 1879 r. X. Mott posiadał wiele inicjatywy, by dłużej pozostać na tej placówce. W roku szkolnym 1880/81 widzimy go w seminarium Cambri, gdzie pozostawał przez 6 lat.

Jesteśmy w 1886 roku. X. Mott miał wówczas 41 lat i doświadczenie z dużych seminariów. Ojciec Generał Fiat uważał go za odpowiedniego na superiora i dlatego dnia 7 lipca posłał mu patent na przełożonego do wielkiego seminarium w Meaux. Ta nowa próba okazała, że lepiej było go użyć do innych urzędów. X. Mott zdawał sobie doskonale z tego sprawę. W jednym ze swych pism rozwija z wzruszającą pokorą te dwie myśli: superiorstwo dla mnie nic nie znaczy, i nie posiadam wymaganych zdolności na superiorstwo.

1°. Superiorstwo dla mnie nic nie znaczy. Najpierw moja uboga pokora tak słaba, tak biedna, nie ma sił do udźwigania tego zaszczytu. Napróżno powtarzam sobie, że to nie do mojej zwracają się osoby, ale do mojej godności, jaką piastuję. Czuję, że schlebiają mi względy, jakie mają dla mnie gniewliwego, łatwo się irytującego i obraźliwego na to, czego mi odmawiają. Woń kadzidła upaja mnie, nawet wówczas, kiedy sobie jasno uświadamiam, że na to nie zasługuję. Moja biedna głowa tak słaba, z łatwością zawraca się, kiedy znajduje się na wysokości. Mój biedny, ciasny duch, daje się łatwo przekonać, że jednak coś znaczy, kiedy go darzą takimi honorami, kiedy słyszy, jak go chwalą, kiedy widzi, jak go szanują i ulegają jego woli. Wówczas duch mój przywiązuje się do swych poglądów, do swego zdania i z trudnością znieść potrafi jaki bądź sprzeciw. A następnie ta większa wolność, która jest koniecznym udziałem superiorstwa, powoduje, że jej nadużywam, już to lekkomyślnie, wylewając się na zbyt wiele spraw, przedsięwzięć, które często spełniam kosztem zabiegów i czasu, winnego mym obowiązkom stanu. Stąd to strata czasu, często tak znaczna, zaniedbanie czujności, jaką winienem mieć względem siebie, stopniowe osłabienie pobożności, ducha wewnętrznego i złączenia się z Bogiem.

2°. Nie posiadam wymaganych zdolności na superiorstwo. Fizycznie, nie mam dobrego wzroku. Szkodzi to bardzo czujności, jaką powinien mieć superior nad osobami i rzeczami powierzonymi jego pieczy. Intelektualnie, mam kiepską pamięć. Z trudem rozpoznaję osoby, których od pewnego czasu nie widziałem i bardzo szybko zapominam szczegółów. Lecz przede wszystkim brak mi decyzji. Widzę korzyści i niedogodności za i przeciw danemu

rozstrzygnięciu, a jednak nie wiem co wybrać. Albo przeciwnie, zbyt gwałtownie decyduję, nie zastanawiając się wiele nad daną rzeczą. Stąd rozczarowania na widok nieprzewidzianych konsekwencyj, które wynikły z podobnych zarządzeń. A już sądu praktycznego, prawie że nie posiadam. Stąd to słusznie zarzucają mi, że na wiele rzeczy patrzę się nierealnie. Moralnie, brak mi zarówno stałości, łagodności, cierpliwości, uprzejmej miłości, jako też energii do poprawiania błędów, lub wykorzeniania uchybień. A następnie jestem umysłu ciasnego, nie zawsze posiadam dość szerokie poglądy. Nie mam na tyle sprytu, aby sprawy jedną po drugiej załatwiać, ale bardzo łatwo porzucam już raz rozpoczęte. Muszą dopiero przypominać mi je.

I tak kończy X. Mott: „Powinienem więc cieszyć się, że jestem w pokornym położeniu zwykłego konfratra i starać się, by nigdy nie pozbawić się wskutek mej winy dobrodziejstwa tego życia tak miłego, tak łatwego i tak zbawiennego, oraz łask towarzyszących zawsze spełnianiu posłuszeństwa". C. d. n.

X. ST. KALLA.

Misje i rekolekcje Grupy Krakowskiej w r. 1936/7.

Po kilkuletniej intensywnej pracy misyjno-rekolekcyjnej nastąpiło w ostatnim dwuleciu pewne odprężenie, liczba misyj i rekolekcyj naszej grupy nieco się zmniejszyła. Złożyły się na to różne powody, między innymi i ten, że w tym czasie powstała trzecia grupa misyjna — w Łyskowie. Przy tym niektórzy superiorzy, chwalebnym dawnych ojców obyczajem, poza pracą związaną z urzędem raz po raz chwytają i za pług misyjny, dobrawszy sobie współpracowników. Byliśmy za tą pomoc szczerze wdzięczni, bo po kilkuletniej wytężonej pracy czuliśmy się wyczerpani. Zwłaszcza X. Kominek stanął w pewnym momencie niemal u kresu swych, zdawało się, niespożytych sił, uległszy ciężkiej chorobie, która przez kilka miesięcy uczyniła go niezdolnym do pracy.

Oto spis misyj i rekolekcyj z ostatnich 2 lat.

Misje: 1) Radocza, diec. krakowska; 2) Rzyki, diec. krakowska; 3) Wisła Mała, diec. śląska; 4) Buk, diec. poznańska; 5) Leszna Górna, diec. śląska; 6) Lwów; 7) Straszęcin, diec. tarnowska; 8) Kargów, diec. kielecka; 9) Czaple Wielkie, diec. kielecka; 10) Kończyce Wielkie, diec. śląska; 11) Rudawa, diec. krakowska; 12) Kalisz, diec. włocławska; 13) Tłusteńkie, diec. lwowska.

Renowacje misyjne: 1) Zielonki, diec. krakowska; 2) Kielce.

Rekolekcje parafialne: 1) Szewna, diec. sandomierska; 2) Chodów, diec. kielecka; 3) Biała, diec. krakowska, dwukrotnie, w r. 1936 i 1937; 4) Mieleszyn, diec. częstochowska; 5) Pabianice, diec. łódzka; 6) Grochowy, diec. włocławska; 7) Iwanowice, diec. kielecka, 8) Bydgoszcz.

Rekolekcje stanowe — X. Kominek: 1) Wisła, diec. śląska, dla inteligencji, osobno dla pań i panów, dwukrotnie, wiosną i jesienią; 2) Lwów, dla SS. Miłosierdzia; 3) Kraków, dla SS. Prezentek; 4) Katowice — Bogucice, dla SS. św. Jadwigi; 5) Rabka, dla Dzieci Marii i Pań Miłosierdzia, dwukrotnie, w r. 1936 i 37. X. Kalla: 1) Zielonki, dla młodzieży męskiej; 2) Lwów — Brygidki, dla więźniów; 3) Chełmno, dla SS. Miłosierdzia; 4) Lwów, dla SS. Miłosierdzia; 5) Lwów, dla Dzieci Marii, w r. 1936 i 37; 6) Katowice — Bogucice, dla SS. św. Jadwigi; 7) Katowice—Dąb, dla Pań Miłosierdzia; 8) Kraków—Płaszów, dla Małego Seminarium XX. Sercanów; 9) Rudawa, diec. krakowska, dla mężczyzn [1]).

Wśród odprawionych w ubiegłym 2-leciu misyj szczególniejsza wzmianka należy się misjom w Buku, Czaplach Wielkich, Kaliszu i Lwowie.

Buk, kilkotysięczne miasteczko na zachód od Poznania, był od XIII w. do rozbiorów własnością biskupów poznańskich. Niegdyś większy ośrodek handlowo-przemysłowy, posiadał pięć kościołów, z których dochowały się do czasów naszych dwa, kościół drewniany św. Krzyża i kościół parafialny, w dzisiejszej postaci, w stylu grecko-jońskim, zbudowany w r. 1846 na miejsce gotyckiego z XV w., zniszczonego częściowo w r. 1806 wskutek zawalenia się wyniosłej wieży, później z polecenia władz zupełnie rozebranego.

Prawdziwym klejnotem kościoła farnego jest cudowny obraz tzw. Matki Boskiej Literackiej. Skąd się wzięła ta nazwa?

Według prastarej legendy włoskiej św. Paweł apostoł w przejeździe ze Wschodu do Rzymu zatrzymał się w Mesynie, gdzie założył gminę chrześcijańską. Członkowie tej gminy, dowiedziawszy się od św. Pawła. że w Jerozolimie żyje jeszcze Matka Chrystusowa, wysłali do Niej posłów z wyrazami hołdu. Miało to być w r. 42. Matka Najśw., żegnając wysłanników, wręczyła im list do chrześcijan mesyńskich wraz z puklem włosów. List, pisany po aramejsku, przetłumaczył na język grecki przebywający jeszcze w Mesynie św. Paweł. Wdzięczni mesyńczycy wznieśli wspaniałą

---

[1]) X. Kominek pomagał także na trzech misjach Grupy Wileńskiej w Łyntupach, Prozorokach i Borunach.

świątynię, a w niej oddzielną kapliczkę Madonny „de la Lettera", w której złożyli list Najśw. Marii Panny oraz pukiel Jej włosów. Straż czuwająca w tej kaplicy nad drogocennymi relikwiami stała się zawiązkiem bractwa, które miało za główny cel szerzenie kultu Niepokalanej.

Na wzór arcybractwa mesyńskiego powstawały i w Polsce bractwa, nazwane bractwami Matki Boskiej Literackiej, których zadaniem było szerzyć cześć Matki Boskiej, opiekować się jej obrazami, wspierać sieroty i wdowy po członkach bractwa, ratować moralnie upadłych, urządzać pogrzeby, zbierać się na Mszę św. w niedzielę [1]).

W Buku powstało takie bractwo w r. 1576. Miało ono swoją kaplicę, a obraz w niej umieszczony, wobec licznych cudów, jakie się przy nim działy, uznały władze duchowne w r. 1698 za cudowny. Sława Cudownego Obrazu Matki Boskiej Bukowskiej rozeszła się szeroko po kraju, a nawet za granicą, co roku ściągały na odpusty, trwające od dwu do trzech tygodni, liczne rzesze pielgrzymów, szukających u stóp Marii pomocy i pociechy. Wskutek zawalenia się się kościoła na początku XIX w. i innych przyczyn, uległy one przerwie, a sława Cudownego Obrazu przyćmieniu.

Obecny proboszcz, X. Stanisław Kuliszak, objąwszy w r. 1932 parafię, zabrał się energicznie do odrodzenia kultu Matki Boskiej Bukowskiej. Dzięki jego staraniom poddano Cudowny Obraz gruntownej restauracji, dnia 8 września 1934 r. odbyło się uroczyste wprowadzenie odnowionego obrazu do fary bukowskiej. Teraz czyni przygotowania do uroczystej koronacji koronami rzymskimi. W tym też celu wydał w r. 1934 broszurę pod tytułem „Krótki zbiór wiadomości historycznych o Cudownym Obrazie Matki Bo-

---

[1]) Nazwa Matka Boska Literacka budziła nieraz fałszywe mniemanie, jakoby bractwo przeznaczone było tylko dla ludzi wykształconych. Tymczasem przyjmowano do bractwa bez względu na wykształcenie i dopiero od XVII w. wymagano, by przynajmniej 12 konsyliarzy umiało czytać i pisać. Później w XVIII w., przyjmowano w niektórych miejscowościach, jak np. w Warszawie do archikonfraterni przy katedrze św. Jana, tylko wykształconych, literatów, profesorów itd. Por.: dr M. Skrudlik, Królowa Korony Polskiej.

skiej Literackiej we farze Bukowskiej", w szesnastce, str. 21, z której właśnie zaczerpnięto powyższe wiadomości.

Podniesieniu kultu Matki Boskiej Bukowskiej miała też po części służyć Misja św. odprawiona od 8 — 16 marca 1936 roku. Jak wszystkie misje w poznańskim udała się dobrze. Oby spełniła związane z nią nadzieje, oby cześć Łaskawej Matki Boskiej Bukowskiej zajaśniała znów w całej pełni, oby znów tysiączne rzesze spieszyły do niej po siły, pociechę, błogosławieństwo na tak ciężką nieraz drogę życia.

W Buku pracują także SS. Miłosierdzia. Część stara domu Sióstr, to fundacja pochodzącego z Buku znakomitego uczonego i dyplomaty z XVI w., X. Stanisława Reszki, profesora filozofii akademii krakowskiej, sekretarza kardynała Hozjusza w czasie soboru trydenckiego, wielokrotnego posła Rzeczypospolitej do Stolicy Apostolskiej i do państw Europy Południowej za Batorego i Zygmunta III, kapłana wielce pobożnego. Zmarł w roku 1603 w Neapolu, gdzie bawił w sprawie sum neapolitańskich i gdzie z polecenia papieża Klemensa VIII wystawiono mu wspaniały nagrobek. W nowym budynku przeznaczonym na szpital, odbywają się na razie rekolekcje zamknięte.

Bardzo mile zapisała nam się w sercu i pamięci misja w Czaplach Wielkich pod Miechowem, miejscu urodzenia wielkiego księcia Kościoła, X. Arcybiskupa Wincentego Chościak Popiela. (ur. 1825, zm. 1912) Trwała od 7 — 13 lutego 1937 r. Proboszczem X. Stanisław Sokołowski, były oficer Wojsk Polskich, ciężko ranny w czasie najazdu bolszewickiego.

Przez kilka lat działał w parafii nauczyciel-komunista, a skutki jego zgubnej pracy po dziś dzień istnieją. Niestety, nie wszyscy obałamuceni przez niego mrzonkami komunistycznymi brali udział w ćwiczeniach misyjnych.

Misja doszła do skutku staraniem Państwa Popielów z Czapel Wielkich, którzy sami gorliwie uczestniczyli w nabożeństwach misyjnych, pociągając przykładem swoim innych do Boga i Kościoła. Na zawsze też zostaną nam w pamięci chwile spędzone w gościnnym domu Państwa Popielów po zakończeniu Misji św. [1])

---

[1]) W r. 1917 odprawili w Czaplach Wielkich Misję św. X. X. Tyczkowski i Witaszek. Por. ROZgrom., r. 1921, str. 47.

Przygotowaniem do jak najuroczystszego obchodu święta Chrystusa Króla w r. 1937 i do wielkiej z tej okazji manifestacji katolickiej miała być ogólno-miastowa Misja św. w Kaliszu. Nie spełniła jednak pokładanych w niej nadziei. Powodem niepowodzenia był między innymi i czas nieodpowiedni tak dla ludności miejskiej jak i wiejskiej, która jeszcze nie pokończyła prac rolnych. Błędem także było i to, że parafianie mogli uczestniczyć w ćwiczeniach misyjnych albo w swoich kościołach parafialnych, albo też w trzech innych kościołach, franciszkańskim, pobernardyńskim i poreformackim. Następstwem tego była niemożliwość kontroli, kto z Misji św. korzysta.

Prócz nas zaproszono do pracy misyjnej o. o. Franciszkanów, Kapucynów, Bernardynów, Jezuitów, Redemptorystów. Nam przeznaczono Kolegiatę.

Kalisz, położony nad spławną niegdyś Prosną, dopływem Warty, jest podobno najstarszym polskim miastem, znanym już pisarzom rzymskim z I w. po Chrystusie. W dziejach polskich wspomniany jest po raz pierwszy w roku 1108. Przy podziale Polski po śmierci Krzywoustego dostał się Mieszkowi Staremu. Wówczas to zaczyna się szybki rozwój miasta, powstają kościoły. Po zniszczeniu Kalisza przez krzyżaków w r. 1331 miasto odbudowuje się na prawym, suchszym brzegu Prosny. Tu także ufundował w r. 1350 Arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogorja ze Skotnik murowaną świątynię pod wezwaniem Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny i do niej przeniósł kolegiatę. Jest ona jednak powszechnie znana jako kolegiata św. Józefa z powodu znajdującego się w niej cudami słynącego obrazu św. Opiekuna Jezusowego. Jest to podobno jedyny obraz św. Józefa uroczyście koronowany z polecenia Stolicy Apostolskiej. Koronacja odbyła się w r. 1796. Do Cudownego Józefa Kaliskiego miał szczególniejsze nabożeństwo Pius X, a jako votum za odebrane łaski przysłał swój pierścień biskupi.

Zaraz na początku wojny światowej uległ Kalisz strasznemu zniszczeniu. Dziś rany prawie że zagojone. W Odrodzonej Polsce zajaśniała kolegiata kaliska nowym blaskiem, kapituła jej liczy czterech prałatów i siedmiu kanoników. Kościół kolegiacki poddano gruntownej restauracji za staraniem obecnego proboszcza

parafii kolegiackiej, X. prałata Mieczysława Janowskiego, zasłużonego działacza narodowego, a zwłaszcza świetnego organizatora szkolnictwa polskiego jeszcze za czasów zaborczych.

Ukończyliśmy Misję św. w uroczystość Chrystusa Króla na sumie. Po południu odbyła się na placu Wolności, obok kolegiaty, ogólno-miastowa manifestacja na cześć Chrystusa Króla z udziałem X. Biskupa Radońskiego, władz państwowych i miejskich, wieczorem zaś uroczysta akademia w Teatrze Miejskim.

Kalisz jest także terenem wszechstronnej pracy w duchu św. Wincentego a Paulo. SS. Miłosierdzia mają tu trzy domy: szpital św. Trójcy od roku 1865, przeniesiony niedawno do nowych wspaniałych zabudowań, przytułek św. Ducha dla starców od 1883 r. i ochronę Opatrzności Boskiej dla dzieci stałych i przychodnich od r. 1900. Przy domu tym istnieje kwitnące i wspaniale się rozwijające stowarzyszenie Dzieci Marii [1]).

Najbliższą sercu i najmilszą była w ostatnim dwuleciu Misja w naszej niedawno utworzonej parafii lwowskiej, od 24—31 maja 1936 roku.

Misjonarzy sprowadził do Lwowa w r. 1748 X. Arcybiskup Mikołaj Ignacy Wyżycki, wielki przyjaciel Zgromadzenia, którego portret zdobi refektarz stradomski. Zaczęli pracę od wielkiej Misji w parafii Matki Boskiej Śnieżnej, trwającej miesiąc przeszło, od uroczystości Nawiedzenia Matki Najśw. do uroczystości Matki Boskiej Śnieżnej. Pracowało na niej siedmiu misjonarzy, między nimi X. Beżebniewicz, superior pierwszego domu Misjonarskiego w archidiecezji lwowskiej, założonego pięć lat przed tym 20 sierpnia 1743 r. w Horodence. Powodzenie miała nadzwyczajne, jak o tym świadczy jej opis w księdze misyjnej domu lwowskiego. Misje i rekolekcje miały być głównym zadaniem domu lwowskiego — wychowywanie kleru dodano później [2]). Według wspomnianej księgi misyjnej odprawili konfratrzy lwowscy od r. 1748—1780 przeszło 180 misyj w diecezji lwowskiej, kamienieckiej, łuckiej i chełmskiej.

---

[1]) Por.: X. Józef Sowiński, Kronika S. S. Miłosierdzia Prowincji Warszawskiej, ROZ., r. 1927, str. 183.

[2]) Por.: Mémoires de la Congrégation, tom I, str, 350. Księga Pamiątkowa, str. 175.

Dom lwowski istniał ledwie 34 lat, w r. 1782 nastąpiła kasata [1]. Austriacy zamienili dom i kościół na więzienie wojskowe i siedzibę sądu wojskowego i tak jest po dziś dzień. Tylko ulica Misjonarska i plac Misjonarski przypominają, że to była własność Zgromadzenia.

Od kasaty przebywali misjonarze we Lwowie tylko jako kierownicy duchowni S. S. Miłosierdzia. Takim był przez 30 przeszło lat, od 1817—1848, po złożeniu urzędu wizytatora Zgromadzenia, ks. Jakób Basiński.

Dnia 27 listopada 1864 r. zniósł rząd rosyjski dawną prowincję Polską. Już jednak cztery miesiące później, 28 marca 1865 tworzy X. Generał Etienne prowincję nową z siedzibą władz centralnych w Krakowie. Składają się na tę nową prowincję trzy domy: Kraków-Kleparz, Kraków-Stradom i Chełmno. Niebawem powstaje czwarty, dnia 29 czerwca 1867 wracają misjonarze do Lwowa. Nie mając własnego domu zamieszkali w Zakładzie S. S. Miłosierdzia, św. Kazimierza, przy ulicy Klasztornej. Jeszcze tego samego roku rozpoczynają pierwsze dzieło Zgromadzenia, pracę misyjną, w Mogilnicy pod Trembowlą [2].

Z biegiem lat i w miarę przybywania nowych sił rozszerza się zakres zajęć. Od r. 1880—1904 jeden z konfratrów pełni obowiązki ojca duchownego Seminarium diecezjalnego, w roku 1895 obejmuje dom św. Kazimierza opiekę duchowną nad chorymi Szpitala Powszechnego [3]. Jeżeli do tego dodamy opiekę duchowną nad S. S. Miłosierdzia, pracę po szkołach i więzieniach, pracę rekolekcyjną, to będziemy mieli obraz bogatej działalności domu św. Kazimierza.

---

[1]) Por.: R. O. Z., 1929, str. 180.

[2]) Por. R. O. Z., r. 1900, str. 150-199, X. Józef Sokołowicz, Prace misyjne w Prowincji Krakowskiej od początku aż do bieżącego r. 1899.

[3]) Szpital ten mieści się w monumentalnym gmachu popijarskim, zbudowanym w r. 1748 przez biskupa Samuela Głowińskiego, a w r. 1783 na szpital zamienionym. W r. 1870 powierzono opiekę nad chorymi SS. Miłosierdzia. Od r. 1911—1917 był kapelanem szpitala X. Józef Sokołowicz († 7 I. 1918), jeden z najzasłużeńszych pracowników misyjnych nowej Prowincji Polskiej. Szczegóły te podał mi X. Andrzej Zabrzeziński, sprawujący najdłużej, bo piętnaście przeszło lat, obowiązki kapelana przy tymże szpitalu.

Dnia 3 lutego 1920 r., więc po 53-letnim prawie pobycie u św. Kazimierza, przenoszą się konfratrzy do własnego domu przy ul. Dwernickiego 48, zakupionego kontraktem z 20 czerwca 1919 r. Na przeniesienie się w tę część Lwowa wpłynął zamiar władz duchownych utworzenia w tych stronach parafii, której kierownictwo mieli objąć misjonarze. To też główną troską pierwszego superiora Domu na ul. Dwernickiego, X. Krzyszkowskiego, była budowa kościoła. Początek był bardzo obiecujący, kościół miał się stać pomnikiem wdzięczności za ocalenie Lwowa i Małopolski Wschodniej. Myśl ta znalazła żywy oddźwięk w sercach, budziła zapał. Powstał komitet budowy, miasto podarowało grunt pod kościół i dom, architekt Szyszko-Bohusz opracował plany [1]). Niestety na tym się skończyło. Jedną z przyczyn takiego obrotu rzeczy było miejsce przeznaczone pod budowę kościoła, położone na terenie nierównym i spadzistym, między ulicą Dwernickiego i Snopkowską, które nie wszystkim się podobało. Przez dwanaście następnych lat sprawa budowy stanęła na martwym punkcie, nic dla niej nie robiono. Aktualną stała się znowu z chwilą utworzenia parafii w r. 1932 i oddania jej pod zarząd Zgromadzenia. Kościółek św. Zofii bowiem, w którym tymczasowo odbywają się nabożeństwa parafialne, mogący pomieścić zaledwie jakie trzysta osób, dla siedmiotysięcznej parafii wystarczyć nie może. Według obserwacji obecnego proboszcza, X. Superiora Stanisława Kałężnego, wskutek braku miejsca ledwie piąta część parafian uczęszcza na nabożeństwa, pewien procent gorliwszych chodzi do innych kościołów, reszta zaś wcale nie chodzi uspakajając sumienie tym, że w kościele niema miejsca, a trudno słuchać Mszy św. na zimnie i de-

---

[1]) Por.: R O Z., rtr. 1921, s. 169. Kościołem wotywnym, pomnikiem wdzięczności, stała się bazylika Matki Boskiej Ostrobramskiej, zbudowana w ostatnich latach kosztem X. Arcybiskupa Twardowskiego i miasta Lwowa na Łyczakowie. Oddano go XX. Salezjanom, którzy przy nim otworzyć mają zakład wychowawczy. Nie ulega wątpliwości, że wdzięczni za ocalenie miasta lwowianie chętnie byliby pospieszyli przy budowie z pomocą. Jeszcze w r. 1929 pewna pani wręczyła X. kanonikowi Tomaszewskiemu osiem tysięcy złotych oświadczając, że były one przeznaczone jako votum na kościół XX. Misjonarzy. Ponieważ jednak misjonarze nie budują, a ona czuje bliską śmierć, więc przeznacza je na ubogich.

szczu. Sprawa budowy kościoła jest więc nagląca. Mimo to dopiero po czteroletnich debatach i dyskusjach, gdzie kościół budować, weszła na drogę realizacji. Postanowiono budować na miejscu pierwotnym, podarowanym przez miasto, ogłoszono konkurs. Z 22 nadesłanych projektów wybrano jako najdogodniejszy projekt inżyniera Todorowskiego. Dzięki pomocy Funduszu Pracy przystąpiono w maju 1937 r. do prac przygotowawczych pod budowę. Początek zrobiony. Pewno do końca wobec szczupłości funduszów daleko. Oby jednak obecnemu administratorowi parafii, X. Superiorowi Kałężnemu, który wreszcie pchnął sprawę budowy na realne tory, danym było mimo piętrzących się trudności szczęśliwie zaczęte dzieło, nowy warsztat pracy Bożej Zgromadzenia, jeżeli już nie doprowadzić do końca, to przynajmniej znacznie posunąć je naprzód.

Jak trudną jest praca przy braku odpowiedniego Domu Bożego, o tym mieliśmy sposobność przekonać się dowodnie na Misji św. Widząc jak cząstka ledwie uczestniczących może się pomieścić w kościółku, żyliśmy w ciągłej obawie przed niepogodą. Na szczęście P. Bóg był łaskaw na prośby nasze, poza jednym popołudniem, pogoda jako tako dopisywała. Ale to jedno popołudnie przekonało nas, że w razie niepogody Misja byłaby prawie że niemożliwą. W nabitym kościółku trudno było oddychać, a na ambonie po kilku słowach pot zalewał. Nauki i nabożeństwa odbywały się przed kościołem, położonym na najwyższym wzniesieniu ogrodu-parku. Rzesze zgromadzone na cmentarzu kościelnym i na pokrytych trawą zboczach przypominały żywe sceny z nauczania P. Jezusa, skreślone ręką Ewangelistów: A widząc Jezus rzesze, wstąpił na górę... (Mat. 5, I).

Misja lwowska zrobiła wiele dobrego. Wprawdzie odsetek uczęszczających na nią był stosunkowo nieduży, co łatwo da się wytłumaczyć, dla wielu jednak była ona prawdziwie miłościwym nawiedzeniem Pana, sposobnością do pojednania się z Bogiem po długim od Niego oddaleniu, do uporządkowania i uspokojenia sumienia, stała się krokiem naprzód do skonsolidowania i zcementowania parafii. Urządzenie jej było spełnieniem ważnego obowiązku wobec parafii i dusz sobie powierzonych.

W misji lwowskiej pomagał nam X. Kazimierz Musiał, na zakończenie był obecny X. Wizytator. Na innych misjach pracowaliśmy w dwóch lub w pojedynkę. Tylko w Buku pospieszył z pomocą X. Superior Jan Wagner, a w misjach w Kaliszu i Tłusteńskim brał udział X. Witold Ornaf, przydzielony po ukończeniu studiów do naszej Grupy.

X. Ł. JANCZAK.

Wspomnienie ostatnich chwil istnienia w Polsce Zgromadzenia XX. Misjonarzy w Domu Głównym przy kościele św. Krzyża w Warszawie [1].

Zgromadzenie XX. Misjonarzy, założone przez św. Wincentego a Paulo w r. 1625, sprowadziła do Polski Maria Ludwika Gonzaga, żona króla Jana Kazimierza Wazy, w r. 1651. Przetrwało ono do roku 1864.

Historia tego Zgromadzenia podana jest w „Encyklopedii kościelnej“ w tomie XIV, str. 432 – 450. W r. 1857, w którym do tego Zgromadzenia wstąpił podający to wspomnienie, wizytatorem prowincji warszawskiej i przełożonym XX. Misjonarzy i SS. Miłosierdzia był podówczas X. Andrzej Dorobis, kapłan światły, miłujący naukę i innych członków do niej zachęcający [2]. Czytaliśmy jego konferencje, pisane po polsku, gruntownie opra-

---

[1]) »Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie« 1918, nry 5—6, zeszyt jubileuszowy, str. 253—258. Artykuł ten podał do przedruku w R. o. Z. i zaopatrzył adnotacjami X. Fr. Śmidoda. (Redakcja).

[2]) X. Łukasz Janczak, ur. w Jakubowicach pod Sieradzem 17. X. 1835, wstąpił w r. 1857 do Zgromadzenia u św. Krzyża i otrzymał tamże 1862 r. święcenia kapłańskie. Od r. 1864 był przez 3 lata profesorem filozofii i łaciny w Seminarium Świętoskrzykim, a potem u św. Jana w Warszawie. Mianowany w r. 1867 katechetą instytutu Pedagogicznego w Siennicy, k/Mińska Mazowieckiego, był nim do r. 1904. Przeszedłszy na emeryturę, pozostał tam nadal do śmierci swej, dnia 14. IV. 1918. X. Janczak był zamiłowanym badaczem dziejów polskiej prowincji naszego Zgromadzenia. Napisał sporo artykułów do »Wiadomości Archidiecezjalnych Warszawskich«, szeregu czasopism stołecznych, oraz obydwóch encyklopedyj kościelnych.

cowane, dziś zatracone; także sprawozdanie do generalnego przełożonego w Paryżu o stanie Zgromadzenia, napisane pięknym językiem łacińskim, którego rękopis był w rękach zmarłego w r. 1857 ś. p. X. Jakuba Rutkowskiego. Asystentem domu był X. Franciszek Zakrzewski, teolog wytrawny i płynnie mówiący konferencje duchowne. Superiorem domu był X. Antoni Dąbrowicz, wielkiej łagodności i sympatii kapłan. Konsultorem był X. Wojciech Malinowski, znakomity teolog i rubrycysta, prawdziwy asceta, wielkiej pobożności i obserwacji kapłan. Dyrektorem i spowiednikiem SS. Miłosierdzia był X. Marcin Łaszcz, oddany z zupełnym poświęceniem temu Zgromadzeniu. Dyrektorem *Seminarii Interni* był X. Kalikst Kuszewski, kapłan zacny, ale bez przymiotów na dyrektora, nieco szorstki i mało wykształcony ascetycznie. Prokuratorem ekonomii, tj. zarządu dóbr ziemskich, jakimi były dobra: Skuły, Dawidy, Pogorzel — był X. Franciszek Jabłoński. Prokuratorem zarządu kamienicami, odbioru czynszów, wydatków na utrzymanie domu — był X. Stanisław Wojno, bardzo do tego urzędu odpowiedni. Prefektami byli: kościoła — X. Kalikst Łuniewski: przychodu i rozchodu z akcydensów parafii i drukarni — X. Jakub Rutkowski, za którego liczba książek drukowanych zdwoiła się. Przy kościele św. Krzyża było także seminarium externów, czyli diecezjalne; alumnów miało około 30; żyje jeszcze z dziesięciu kapłanów tego seminarium. Prefektem ich i dyrektorem był X. Popławski. Profesorami byli XX. Misjonarze: X. Jan Głogowski, który wykładał historię kościelną i *Rubrum* i X. dyrektor, kapłan świątobliwy, miłośnik nauki, kochający pilnych alumnów, wykładał teologię dogmatyczną; profesorem teologii moralnej, astronomii i katechetyki był X. Antoni Putiatycki, autor teologii moralnej, hermeneutyki, katechizmu parafialnego itd., w wykładzie jasny; profesorem filozofii wymownej, historii powszechnej, geografii i ceremonii kościelnej — X. Antoni Olszewski; profesorem matematyki, historii naturalnej, fizyki — pracowity i jasny w wykładzie X. Józef Sobolewski, dziś jeszcze żyjący; magistrem śpiewów i po śmierci X. Olszewskiego profesorem historii powszechnej i geografii był X. Maksymilian Brzezikowski.

Zwyczaje domu były takie: na głos dzwonka wstawaliśmy o godz. 4 rano, od godz. 4·30 do 5·30 odprawialiśmy medytację

z Abellego [1]), przed nią modlitwy poranne z książki *Manuale devotionis* [2]), potem *Angelus Domini* i litanię do Pana Jezusa. O godz. 7 msza św. dla alumnów, tak internów jak i externów. Klerycy externi czyli seminarium diecezjalnego wstawali o godz. 5, a medytację poranną i modlitwy odprawiali tylko pół godziny. O godz. 7½ śniadanie, alumni interni dostawali piwo grzane z chlebem, a diecezjalni spożywali śniadania swoje, zwykle grzane mleko z bułką. Od godz. 8 — 9 lekcja: dla kursu teologicznego teologia moralna, a dla filozoficznego filozofia. Od godz. 9 — 10 czas wolny na przygotowanie lekcyj następnych. Od godz. 10—11 na kursie teologicznym dogmatyka, a na filozoficznym arytmetyka lub historia naturalna. O godz. 12 obiad, w czasie którego czytano kilka wierszy z Pisma św., potem czytano historię kościoła lub powszechną, jak np. Cezara Cantu [3]), a przy końcu Martyrologium. Do stołu zasiadali wspólnie kapłani, klerycy externi i interni, czyli diecezjalni. Obiad składał się zwykle: z rosołu lub zupy jakiej, sztuki mięsa, jarzyny z kawałkiem mięsa, dobrego kawałka chleba i kufelka smacznego piwa. Braciszkowie, klerycy posługujący do stołu i służba potem spożywali obiad. Na kolację zwykle bywała pieczeń wołowa z kaszą lub ziemniakami; do tego także poddostatkiem chleba i kufelek piwa. W dni postne zupa i dwie potrawy; na kolację także coś gotowanego, po części pierogi z sera z porcją chleba i kufelkiem piwa. Słowem, pokarmy były zdrowe i poddostatkiem, na co nigdy, nawet alumni diecezjalni, nie skarżyli się. Po obiedzie rekreacja do godz. 2, a od 3 — 4 na kursie teologicznym Pismo św. lub prawo kanoniczne (naprzemian). Od god. 5—5¾ historia kościelna, a na kursie filozoficznym w tych samych godzinach historia powszechna lub geografia. Od godz. 6—7 mieli seminarzyści czytanie duchowne, a studenci od 6·30—7. Kolacja bywała o godz. 7, po kolacji re-

---

[1]) Abelli L. X. biskup, »Korona całego roku chrześcijańskiego, albo medytacje o najprzedniejszych prawdach Ewangelii Chrystusowej na wszystkie dni roku według porządku kościelnego Officjum«, wyd. II, Kraków 1765.

[2]) »Manuale devotionis ad usum ecclesiasticorum editum, typis et sumptibus Congregationis Missionis«, Varsaviae 1859.

[3]) Cantu C., »Historia powszechna«, przeł. L. Rogalski, tom 11, Warszawa 1853—1857.

kreacja do godz. 8. Potem rachunek sumienia dzienny, modlitwy wieczorne, litania do N. M. P. i *Angelus Domini*. W każdy piątek po medytacji rannej *humiliatio* dla misjonarzy, a w sobotę, niedzielę i święta konferencje, które miewali XX.: wizytator, asystent i superior domu. Dla alumnów świeckich miewał X. dyrektor także co niedzielę i święto.

Dla ludu wiernego odprawiano msze św. od godz. 5 — 10. W niedzielę i święta suma z kazaniem i całą asystą, a po godzinie 12 jeszcze msza św. dla wyższego świata.

Duch kapłański u XX. Misjonarzy był wzorowy; obyczaje czyste; pobożnością, gorliwością o chwałę Bożą odznaczali się. Przy końcu było nieco zaniedbania reguły i mało pilności do studiów, choć XX. Misjonarze zarządzali kilkoma seminariami diecezjalnymi w Królestwie. Nabożeństwa niedzielne i świąteczne odprawiano uroczyście, wzorowo. W niedzielę i święta wszyscy kapłani słuchali spowiedzi, a w dnie powszednie po dwóch. Hebdomadariusz chrzcił, odbywał wywody, komunię św. dawał, krzyżyki i obrazki święcił, a do chorych naznaczony bywał jeden kapłan na tydzień. Tak więc, XX. Misjonarze, obsługując przy św. Krzyżu parafię, prawie 40 000 liczącą, obowiązki parafialne spełniali akuratnie i nie słyszano na nich skargi; owszem, starzy, co ich pamiętają, wspominają o nich z chlubą i uwielbieniem.

W r. 1860 wybrano na wizytatora X. Walentego Dmochowskiego († 1881 w Paryżu), przedtem dyrektora seminarium lubelskiego. Był to kapłan wzorowy, dobry teolog, na wizytatorstwie nie mógł sobie zjednać zaufania konfratrów. Pousuwał z urzędów kapłanów zasłużonych, wiekowych, jak: X. Zakrzewskiego — asystenta, X. Dąbrowicza — superiora domu, a zrobił tylko swym monitorem i asystentem X. Malinowsktego, który wkrótce umarł.

Od r. 1861, od czasu nieszczęśliwych manifestacyj i powstania w r. 1863, starsi kapłani (a byli tacy, którzy pamiętali kasację klasztorów w r. 1818), a także X. wizytator, nie pamiętał o tym, że może nastąpić kasacja; na uwagi robione wizytatorowi odpowiadał, że on się do ruchów nie mieszał, więc kasacja XX. Misjonarzy przyjść nie może (mówiono nam, że najwięcej przysłużył się do kasacji XX. Misjonarzy X. Budkiewicz, b. rektor Akademii Duchownej w Warszawie, prałat sejneński, śmiertelny wróg Zgro-

madzenia, bo uważał, że przez misjonarzy nie otrzymał prekonizacji w Rzymie na biskupa sejneńskiego. Czytaliśmy list tego prałata do ś. p. X. Rutkowskiego, już w parę lat po kasacji, w którym wyrzuty czynił X. Popławskiemu za przeszkodzenie w prekonizacji).

Piszący ten artykuł po wyświęceniu na kapłana dnia 13 lipca w 1862 r., we wrześniu tegoż roku wysłany był do Paryża do domu głównego przy ulicy de Sèvres dla poznania zwyczajów i zachowania reguły w domu macierzyńskim. Stanąłem w Paryżu dnia 15 października, a przedstawiwszy się X. Etienne, oddany zostałem pod dyrekcję X. Juliusza Chinchon, wielce świątobliwego kapłana, dyrektora seminarium. Tam przebywałem rok cały. W r. 1863 w ostatnim dniu miesiąca stycznia przyszły telegramy do Paryża, że w Polsce powstanie ogólne. Zdrętwieliśmy na tę wiadomość, my, Polacy, w domu centralnym XX. Misjonarzy zamieszkali; jakto: X. Kamocki, b. oficer z r. 1831 i inni, a także podobno i dawniejsi emigranci we Francji zamieszkali, którzy się tego nie spodziewali. W parę dni potem z X. Devin, sekretarzem X. generała, pojechaliśmy do szkoły batygnolskiej, tam zapytałem zacnego dyrektora p. Malinowskiego: „co się dzieje w kraju?“. Odpowiedział: „nie wiemy“. Z tego się pokazuje, jak nieprzewidzianie powstanie wybuchło.

Po wybuchu powstania, po dziennikach francuskich było dużo artykułów sympatycznych dla Polaków i powstania; młodzież francuska w uniesieniu ku sprawie polskiej wykrzykiwała: „Vive la Pologne“, „Niech żyje Polska“, były nawet listy pasterskie biskupów francuskich, zachęcające do modłów i do składek na powstanie. Kto ciekawy, niechby przeczytał te listy i dzienniki, a przekonałby się o sympatii Francuzów, jakie dla nas w owym czasie mieli. Były potem i noty znane dworów: francuskiego, austriackiego i angielskiego, do rządu pruskiego; więc nabrano otuchy, że coś się zrobi dla naszej Ojczyzny. Trwała ta ułuda do połowy sierpnia. Potem, gdy Rosja przeczuła, że koalicja nie dojdzie do skutku, wzięła się na dobre do stłumienia powstania, niszczenia kraju, wieszania nawet niewinnych i wywożenia z kraju tysiącami na Sybir; tak, że nie było rodziny, którejby członka tam nie wywieziono.

W r. 1863 w połowie października wracałem do kraju na Poznań pod smutnym wrażeniem, że tam nic nie zastanę, i nie omyliłem się. Z Poznania jechałem na Kalisz: zrewidowano mnie ściśle na granicy, a w biurze wojennym w Kaliszu, dokąd udać się musiałem po paszport, zabrany mi na granicy, naczelnik wojenny pijany nawymyślał mi brutalnie.

Z Kalisza przybyłem szczęśliwie w okolice Sieradza w strony rodzinne; jadąc ku Warszawie najętą furmanką, około Zduńskiej Woli spotkałem partię powstańców umundurowanych i dobrze uzbrojonych około 200; smutek opanował me serce, przewidujące, że czeka tych biedaków lada chwila rzeź.

Dowodził nimi Rybiński, podobno były oficer pruski. Na jego polecenie, jako niepodejrzanego, puszczono mnie dalej w drogę. W mieście Łasku siadłem na kurierkę, a od Rokicin do Warszawy koleją żelazną przyjechałem. Na godzinę 6-tą wieczorem przybyłem do Warszawy. Zatrzymano mnie na stacji, odebrano paszport, zrewidowano najściślej walizkę, wszystkie kieszenie, zdjęto obuwie, w celu znalezienia jakiego pisma, odnoszącego się do powstania; nie znaleziono nic. Z dworca wiedeńskiego pojechałem dorożką do domu świętokrzyskiego około godziny 7-mej. Jadąc ulicą Jerozolimską i Nowym Światem, zdaje mi się, że jadę ulicami po srogiej wojnie, lub morowym powietrzu; tak miasto było wyludnione; tylko gdzieniegdzie ktoś przesunął się z latarką. Przybywszy do Św. Krzyża powitałem starszych i młodszych konfratrów, opowiedziałem pokrótce przygody mej podróży. Po przybyciu X. Wizytator przeznaczył mnie na wikariusza parafii św. Krzyża. W r. 1864 dnia 10 września naznaczył mnie na profesora filozofii i języka łacińskiego.

Rok 1864 przebyliśmy w przeczuciu bliskiego nieszczęścia; bo pomimo przytłumienia powstania stan wojenny trwał i każde większe miasto miało naczelnika wojennego, na którego skinienie przybiegała policja, żandarmeria, wojsko i nie tylko winnych, ale i najspokojniejszych mieszkańców kraju, księży, obywateli, rzemieślników itd., nawet niewiasty od drobnych dzieci chwytano i tysiącami wywożono w głąb Syberii. Nie było rodziny w kraju, którejby ojciec, syn lub brat nie był wywieziony, słowem był to czas okropny; zemsta nienasyconej czeredy urzędników na biedny

kraj zagniewanego cesarza Aleksandra II. Po pacierzach wieczornych[1]) dowiedzieliśmy się, że wojsku, które od roku zajmowało zabudowania misjonarskie, kazano być w pogotowiu z nabitą bronią. (Powiedział nam to żołnierz-katolik). Przestrach nas ogarnął i niektórzy nie kładli się spać. Aż tu około 10-tej w nocy zjeżdża komisja: pułkownik Annenkow, urzędnik z biura księcia Czerkawskiego Leontiew i drugi urzędnik Polak Radosiewski. Annenkow: tyran, okrutnik, wymyślał starym kapłanom od najgorszych wyrazów. Zbudził wszystkich, jako to: księży, alumnów misjonarskich i externów, braciszków i kazał im się zebrać w refektarzu. Tam głośno odczytano im ukaz kasacyjny. Zdrętwieliśmy wszyscy, a niektórzy ze starszych kapłanów rozchorowali się, jak np. X. Popławski i inni.

Potem zaczęto nas segregować; alumnów wszystkich pozostawiono na miejscu do czasu i 8 profesorów, oraz 3 księży do posługi parafialnej; jeden z nich blisko 80-letni też pozostawiony do posługi parafialnej, by służba Boża w niczym nie cierpiała, jak się wyrażali komisarze. Trzech kapłanów do obsługi parafii 40-tysięcznej. Innym kapłanom i braciszkom polecono w godzinę się namyśleć: czy wyjechać za granicę z pensją 150 rb., czy do Łowicza z pensją 40 rb. rocznie. Podali się za granicę: X. wizytator, ale prośby nie przyjęto, jako odpowiedzialnego za całość majątku XX. Misjonarzy; X. Rakowski, którego zaraz wywieziono, a X. Gawroński wyjechał później, gdyż jego chcieli zatrzymać, i ofiarowano mu regensostwo w seminarium św. Jana, ale tej ofiary nie przyjął. Przeznaczonym do Łowicza kazano być gotowymi na godzinę 4 rano, a gdy niektórzy z nich nie mogli się wybrać (byli niektórzy 70-letni starcy), wywłóczono ich lekko ubranych z celek wśród wymyślań, łajań, krzyków dzikich, a tym odznaczał się najwięcej pułkownik Annenkow, główny komisarz do owej szatańskiej kasacji. Na koniec jak zbrodniarzy popakowano na omnibus i zawieziono na kolej warszawsko-wiedeńską, którą zawieziono ich do Łowicza. Tam zmarzniętym w domu XX. emerytów porzucono trochę słomy na korytarzach dla wypoczynku. Ale jaki to był wypoczynek, wszystkim wiadomo. Już na godzinę przed wywie-

[1]) W niedzielę, pierwszą adwentu, dnia 27 listopada 1864 r.

zieniem XX. misjonarzy pobożny lud warszawski przeczuł tę piekielną kasację, czuwał przed głównymi drzwiami kościoła, i gdy dziadek otworzył kościół o godzinie 5 rano, gromadnie wtłoczono się do kościoła i wszyscy padli krzyżem; jedni modlili się wśród płaczu i jęku za prześladujących, inni im złorzeczyli.

Był to tak smutny widok, że człowiek kamiennego serca nie mógłby się utrzymać od płaczu. To też wszyscy kapłani pozostali i alumni płakali serdecznie i więcej jak tydzień byli jak w obłędzie. W miesiąc potem alumnów przyłączono do seminarium św. Jana; jednego z XX. misjonarzy X. biskup Rzewuski wezwał do pomocy; inni pozostali przy parafii św. Krzyża, aż do podziału Warszawy na 12 parafii.

Potem niektórym misjonarzom dano probostwa; tak samo i tym, których do Łowicza wywieziono. X. wizytatora Dmochowskiego po odebraniu od niego kapitału XX. Misjonarzy wywieziono do Paryża, gdzie umarł w r. 1881.

Kapłanów z dawnej prowincji polskiej XX. Misjonarzy żyje już tylko kilku; za parę lat nie będzie ani jednego, dlatego ten szkic niech będzie pamiątką dla potomności.

Jak błahe były powody kasacji, można czytać w „Dzienniku Warszawskim" z grudnia 1864 r. i w dalszych numerach, których pod ręką nie mamy [1]).

[1]) Por. »Dziennik Warszawski«, 1864, nry 273 — 295.

X. ŁUKASZ SITKO (Wenchow).

W towarzystwie pogan.

Pięciu idzie nas do wsi mi nieznanej: Baso (w dystrykcie Wenchow, Chiny). Pierwszy idzie młody chrześcijanin z ciężką lampą gazową, która ma ściągać pogan wieczorem na kazanie — na wielką skalę. Za gazo-technikiem kroczy drugi tragarz: niesie skrzynkę z przyborami do mszy św. i pościel dla misjonarzy. Cały bagaż zwisa mu na końcach bambusowego pręta; środek spoczywa na ramionach młodego poganina; ma się wrażenie, że to żywa waga sunie po drodze! W trzeciej linii pochodu misyjnego figuruje ministrant, taki chudy, że gdyby mi padł na drodze, gotowy byłby z niego strach na wróble; ale zdrowy. Obok niego stąpa katechista, dalej X. Sawicki i wyżej podpisany. Wszyscy liczymy razem tyle lat, że byłby z nich dojrzały starzec. Oczywiście nie mamy bród. Ten moment wprowadza w błąd spotykanych pogan. Oto pasterz przydrożny woła na swego towarzysza: „Złoty Rogu", chodź-no tu prędzej — jakieś obce panie idą". „Złoty Róg", ciemny jak tabaka w rogu, przyskakuje i patrzy. Ze zdziwienia wąskie jego oczy w mig się rozszerzają i obaj patrzą na nas nieruchomi, jak pomniki... Inni ludzie swoje powątpiewanie głośno między sobą okazują: „czy to kobiety czy mężczyźni"...

Mijamy wszystkich, zamyśleni, bo nie wiemy jeszcze u kogo zanocujemy w tej pogańskiej wsi Baso (biały piasek). Kaplicy tam niema. Zeszłego roku był w tej wsi X. Kurtyka, ale nikt nie nastawił czoła pod wodę chrzcielną. Kilka zaledwie rodzin pogańskich obiecało czcić „Pana Nieba".

Zbliżamy się do wsi. Dookoła wysokie góry. Domy niskie, bardzo liczne i gęsto rozbudowane. Dachy ich kopcą (tu niema kominów), znać, że wieczerza bliska...

Jeszcze jesteśmy w szczerym polu, a już zabiega nam drogę stary jakiś Chińczyk, ubrany jak polski rolnik, koszący wczas rano trawę, cały w bieli. Ukłonił nam się głęboko i tak zamaszyście, że bałem się, by nie stracił równowagi i runął na całą długość. Nie podał mi wizytówki, więc katechista mnie informuje, że to katechumen świeży i on to zaprasza nas do siebie na noc. A, to ładnie: zatem dach nad głową zapewniony! Idziemy żwawo. Wieśniacy w domach, naoścież otwartych, spostrzegają nas z daleka, wybiegają na drogę i głośno myślą: „jacy oni biali", „czy rozmawiają po chińsku„, „nie mają brody, więc i lat nie wiele". Przy tej defiladzie wprowadza nas katechumen w jakieś podwórze, nie ogrodzone. Stajemy przed domem, który właśnie należy do katechumena. Na pierwszy rzut oka robi to domostwo wrażenie stodoły polskiej. Gospodarz sadowi nas przed sienią, która tak jest obszerna, jak gumno w stodole. Siadamy na przyzbie. Widok przed sobą mamy zasłonięty, bo w tej chwili otacza nas gromada pogan. Gospodarz przynosi miskę z parującą wodą, macza w niej ręcznik i podaje nam do otarcia kurzu i potu z czoła. Ręcznik duży jak chusteczka do nosa. Podaje nam to maleństwo w dwóch rękach, bo tak nakazuje grzeczność chińska, mniejsza o to czy rzecz jest nawet tak mała jak szpilka... Nie mogę tej łatki w ręku utrzymać, bo parzy jak ukrop, ale za to skuteczna na brud kilkuwarstwowy, tak, że nawet nie trzeba mydła... Ludzie nas obserwują jak ruchliwego pajaca za oknem wystawowym. Toaleta skończona. Następuje wizyta domu, który ma nam służyć przez jedną dobę za kaplicę, sypialnię, jadalnię, salon gościnny itd. Po bokach sieni-gumna: mieszkania, niektóre podobne raczej do rupieciarni. Za domem na podwórzu, nieco mniejszym od frontowego, widać sadzawkę, a w niej wspaniałe ryby, złote, chociaż się nie świecą. Woda brudna, ale może w takiej tylko utrzymują się chińskie ryby! Oględzinom towarzyszą poganie. Odważniejsi wszczynają z nami rozmowę. X. Sawicki, który dopiero przed kilku miesiącami dostał się do Chin, zaczyna praktyczną lekcję chińskiego z otoczeniem: młodzi i starzy Chińczycy o coś go wypytują. On marszczy brwi, dłonią głaska czoło, a myślą sięga po odpowiedź, którą zostawił w brulionie na półce w Wenchow. Ochładzam maturyczny zapał pytających Chińczyków, tłu-

macząc, że ten ksiądz niedawno zaczął sobie przyswajać ryż i język chiński. A oni z podziwem: „i już tyle się nauczył!“.

Tymczasem na przedzie domu ruch. Nad progiem u wejścia do sieni świeci ostro gazowa lampa. Ona to przyciąga do nas pogan i wszyscy powiadają, że się „uroczyście u nas robi“. Ludzie napływają do sieni. Cieszę się, że kazanie obmyślane dojdzie do skutku. Gospodarz zaprasza na kolację. Tuż przed tym przychodzi jakiś Chińczyk do nas, elegancko ubrany: w kwiecistą togę o zielonkawym odcieniu. Przedstawia nam się. Pochodzi z Wenchow. Jakiś przyjaciel naszego gospodarza.

Zasiadamy do kwadratowego stołu razem z nim. Pokazuje się, że świetnie mówi po angielsku. My w sutanny ubrani zajmujemy wskazane nam miejsca — z prostotą. Ale przy usadowieniu swoich ziomków — ile to ceremonii miał gospodarz do spełnienia! Słówka grzeczne i utarte zwroty, świadczące o zdumiewającej pokorze, sypią się jak z rogu obfitości! Goście jeden z drugim wzbraniają się przyjąć wyższe jakie miejsce, na wyścigi się uniżają, wszyscy pędzą na ostatnie, tak, że stoją jak „w ogonku“. Jeden drugiego za rękaw ciągnie i każdemu z warg spływa miód grzeczności, a wszystkim „ślinka“ idzie, duża jak bałwan morski! I ta „ślinka“ a raczej ślina zwycięża ich, bo wreszcie każdy siedzi przy starym, gołym stole kwadratowym, którego twórca napewno już się w proch obrócił! Uzbrajamy się w patyczki, na których nie jedna prababcia zęby skruszyła a one jeszcze służą i służyć będą dla niejednego pokolenia i misjonarza polskiego... Elegancki chińczyk korzysta ze sposobności i z zapałem rozmawia po angielsku. Widzowie gęstym pierścieniem nas otaczają, ale nie rozumieją naszej rozmowy ani w ząb, więc uczony ziomek rósł w ich w oczach jak wieża Babel! Od czasu do czasu zwraca się do ciżby i odsuwa ją szlachetnym gestem. Chwali nas wobec swych rodaków i wyposaża nas coś 7-mioma darami i z podziwem wyraża się o naszej religii, która dobrymi czyni tylko ludzi!

Wieczerza skończona. Elegant zwraca się do tłumu: „Słuchajcie dzisiaj pilnie kazania, ja też będę czcił Pana Nieba, tylko się najpierw muszę oduczyć od papierosów i wina“! Przerywam mu i dodaję otuchy: papieros i wino — to nie żadna przeszkoda. My misjonarze, nietylko papierosy palimy, ale i z fajek kopcimy,

a wino też na równi z chińczykami pijemy, bo czasem nawet czystej wody trudno dostać do zgaszenia pragnienia! Po tej dyspenzie zwracam się do obrazów katechizmowych, zawieszonych na ścianie i odmawiamy z katechistą modlitwę: „przyjdź Duchu św.“! Poganie sami się uspokajają. Wchodzę na ławkę. Widzę przed sobą masę pogan: przeważają mężczyźni. Oczy wszystkich wlepiają się we mnie jak muszle w brzeg morski. Ktoś głośno myśli: „tać ten obcokrajowiec widocznie po chińsku rozmawia, skoro sobie tak wysoko stanął“! Pierwsze moje słowa powtarza sobie szeptem jeden z drugim: „to księża“, „oni czczą Pana nieba“ — „to nie przemysłowcy ani nie turyści“ — „tać on nieźle mówi po chińsku“! Otwarte ich gęby świadczą, że z zajęciem słuchają. Czasem się uśmiechną, głową przytakują! Kończę po dwudziestu minutach! Elegant klaszcze w ręce ale „solo“. Publiczność podziela moje zdanie, że należy czcić Pana nieba, to jest świetna rzecz! Nie rozchodzą się jednak. Zabiera głos i katechista. Mówi z zapałem! Kończy również przy solowych oklaskach uczonego chińczyka. Zainteresowanie wzrasta tak, że nie myślą o spoczynku nocnym, chociaż to już późna pora. Zatem drugi raz odzywam się do nich, a po tym i katechista jeszcze coś dodaje. Nie myślę już więcej mówić, bo to zadużo na jeden raz. Zaczynają się rozchodzić, ale powoli. Dużo ciekawych przygląda się jeszcze obrazom katechizmowym, a najwięcej interesuje ich sąd szczegółowy po śmierci. Diabeł, ściągający dusze do piekła jest przez nich oblegany, jak Madryt przez wojsko. Ubiór szatana: rogi i ogon straszne na nich robi wrażenie, bo oni są przyzwyczajeni patrzeć na smoka lub bożka z brodą dużą i gęstą, jak nowa miotła oraz z wypiętym brzuchem, niczem pochłaniacz piwa. Dziwna dla nich nasza nauka...

Zapyta kto: ile też wody chrzcielnej użyłem po takim kazaniu... Ani kropelki. „Ręce mi wcale nie opadały“, co najwyżej z tego, że mi się nikt ze słuchaczy nie zgłosił na listę katechumenów. Trzeba znać duszę chińczyka, który do wszystkiego zabiera się „ma-ma-z“, tzn. powoli. Grunt, że przyjęli dobrą nowinę z należnym szacunkiem. Zwrost — to już Pan Bóg uskuteczni — byleby tylko było jak najwięcej siewców słowa Bożego!

Gospodarz lituje się nade mną i zaprasza na spoczynek.

Moich towarzyszy prowadzi jego syn gdzieś na tyły a mnie widocznie honoruje, bo wskazuje mi na froncie domu łóżko, duże, malowane, rzeźbione, jednym słowem loża teatralna! Zwisa z niego siatka przeciw komarom. Odsuwam siatkę, bo chcę się kłaść, a tu za mną wchodzą do pokoju Chińczycy i zaczynają rozmowę. Myślę sobie: czy język mają świeżbem obłożony! Ale ksiądz tu rzadki. Więc trudno ich miotłą wyrzucać. Opowiadają żywo a kopcą z fajek jeszcze żywiej. Co za ostry dym! Tać komar polski zarazby skonał w takiej atmosferze, ale nie moskit chiński! M. in. dowiaduję się, że zeszłej nocy wilk z pobliskiej góry przyszedł tu zwizytować chlewiki i przeszmuglował jedno prosie w góry... Ale dosyć tych komunikatów. Nie pozwalam już im wywoływać innych wilków z lasu. Delikatnie daję znak na „dobra noc". Oglądam się po kątach czy tam nie stoi jaki karabin, chociaż by nawet bez naboju, byleby tylko tylko stał, bo nuż wilk... W poprzedniej kaplicy oparty był karabin o łóżko misjonarza; gdzieindziej w zakrystii a zarazem i sypialni misjonarza (to są misje!!) błyszczała w kącie szabla! Tu nic! „Aniele Boży, Stróżu mój" — i mig pod siatkę! Cichną w oddali kroki moich rozmownych towarzyszy-pogan. Zaczynają zaś brzęc eć moskity i atakują moją siatkę i kołyszą mnie do snu: oby tylko tak twardego przynajmniej jak te deski pode mną! Zasnąłem. Budzę się jednak, i to nie tylko raz. Pokazało się, że nie „flinta" (karabin), ale flit byłby mi tej nocy bardzo potrzebny! Myślę sobie: ta loża nie dla mnie! Wychodzę z niej czem prędzej i to o takiej porze, w której kogut nie myślał jeszcze i o pianiu! Dostaję się na podwórze, w ręku trzymam lampę kieszonkową. Słyszę, że przed domem coś się rusza: wilk?!! Rzucam szybko snop światła w dal i widzę nie wilka, ale dwoje staruszków: kręcą powrósła ze słomy! Już się domyślili co mnie tak wczas postawiło na nogi. Składają mi kondolencje! Oni też nie śpią, bo na gwałt się spieszą z nakryciem chlewika, w którym owo prosię zniknęło!

Z rana napływają do sieni znów ciekawi, ale przeważają kobiety. Ministrant z gospodarzem zabierają się do ustawienia ołtarza. Jak to robią! Biorą stół, na ktύsym spożywałem wczorajszą kolację, przysuwają do ściany, na której wisi jakiś jakby tron! To dawniej bożki tam siedziały! Na stół kładą drzwi. Na nich ministrant

rozkłada bieliznę kościelną. Ale gdzie tu i jak postawić krzyżyk mszalny, bo jest bez podstawki! Gospodarz wie o co chodzi, więc wpada na pomysł a równocześnie do kuchni i przynosi z niej przepołowiony ziemniak chiński, wbija doń krzyż i trudność liturgiczna już rozwiązana! W takich warunkach odprawia mszę św. X. Sawicki a potem ja. A poganie stoją i patrzą; cicho się zachowują. Podczas komunii św. dla katechisty ktoś w tłumie dość głośno myśli: „to ksiądz ciastko mu daje"! Po mszy św. katechista tłumaczy jej znaczenie i wtedy się dowiadują, że na ołtarzu było nie ciastko, ale prawdziwe Ciało Boga-Człowieka, który i do ich dusz prostych chce się dostać!

I na tym się skończyła nasza misja do pogan. Nasi słuchacze, jacy przyszli, takimi odeszli: poganami. Nie można jednak pozwolić, by w takim zaniedbaniu dalej pozostawały ich dusze. Koniecznie zaglądać trzeba do nich częściej, bo wcale nie są źle usposobieni dla naszej religii. Ale misjonarz wciąż tam nie może chodzić, bo front misyjny zbyt jest rozległy, by się tylko do jednego miejsca przywiązywać. Na razie jedyne jest wyjście: posłać jakiego katechistę tymczasowego, któryby co niedzielę głosił poganom i katechumenom odpowiednie nauki. Jedna taka wycieczka niedzielna też kosztuje (mniejwięcej 2 zł). Kto ją zafunduje? Gdy się znajdzie taki dobrodziej, zaraz w najbliższą niedzielę pójdzie goniec Boży z dobrą nowiną do pogan, wyjdzie nawet w sobotę po południu i pieszo tam pójdzie. Czekamy...

Rozporządzenia Stolicy Apostolskiej.

(Wybrał i objaśnił X. W. Stawinoga).

Sacra Congregatio Rituum.

Responsa de Missa votiva D. N. Iesu Christi, Summi et Aeterni Sacerdotis (AAS, 1937, 35).

Edito Decreto Urbis et Orbis diei 11 martii 1936, quo unica Missa votiva de Christo, Summo et Aeterno Sacerdote, singulis primis feriis V cuiusque mensis celebranda concedebatur quibusdam sub conditionibus, R. P. Pancratius Pfeiffer, Superior Generalis Societatis Divini Salvatoris, Sacrae Congregationi haec humillime subiecit dubia, pro opportuna declaratione:

I. An in Missa hac votiva de Christo, Summo et Aeterno Sacerdote, concessa pro primis feriis quintis cuiusque mensis, dicendum sit Gloria et Credo?

II. An quando haec Missa impediatur a festo superioris ritus, duplicis nempe primae vel secundae classis, loco Missae impeditae dici possit eiusdem commemoratio sub unica conclusione cum prima oratione festi?

III. Quo colore Missa votiva de Iesu Christo, Summo et Aeterno Sacerdote, sit celebranda?

Sacra Rituum Congregatio, mature consideratis expositis, audito quoque Commissionis specialis suffragio, his precibus praelaudati Superioris Generalis respondendum censuit:

Ad I: Affirmative ex gratia;

Ad II: Affirmative, dummodo non occurrat festum D. N. Iesu Christi, aut eius Octava;

Ad III: Adhibeatur color albus.

Facta postmodum de his omnibus Sanctissimo Domino Nostro Pio Papae XI relatione per infrascriptum Cardinalem Sacrae Rituum Congregationi Praefectum, Sanctitas Sua sententiam ipsius Sacrae Congregationis ratam habuit et confirmavit. Contrariis non obstantibus quibuscumque.

Die 25 novembris 1936. *C. Card. Laurenti*

Praefectus.

A. Carinci

Secretarius.

Sacra Paenitentiaria Apostolica.

1. Dekret w sprawie władzy ubogacania odpustami dobrych uczynków i dewocjonaliów.

Dnia 20 marca 1933 r. ukazał się dekret św. Penitencjarii „O władzy ubogacania odpustami dobrych uczynków i dewocjonaliów, oraz o pewnych analogicznych przywilejach, które na przyszłość mogą być udzielane tylko przez św. Penitencjarię" (AAS, 1933, 170). Dekretem tym zostały odwołane wszelkie przywileje dane stowarzyszeniom kościelnym, zakonom lub zgromadzeniom zakonnym, a pozwalające na przekazywanie tych władz innym kapłanom; nie zostały jednak odwołane władze już nabyte przez poszczególnych kapłanów przez fakt przynależności do jakiegoś stowarzyszenia kościelnego lub w drodze delegacji przez przełożonych zakonnych.

Z dniem ogłoszenia powyższego dekretu nie można zyskać przez przynależność do stowarzyszenia kościelnego: a) władzy poświęcania i ubogacania odpustami apostolskimi lub św. Brygidy dewocjonaliów, jak krzyżyków, obrazków itp.; b) władzy poświęcania koronek i nakładania na nie, stosownie do ich rodzaju, odpowiednich odpustów, np. krzyżackich, św. Brygidy itp.: c) władzy poświęcania krzyżyków i nakładania na nie odpustów drogi krzyżowej lub odpustu zupełnego na godzinę śmierci; d) władzy udzielania błogosławieństwa papieskiego pod koniec kazań, do którego to błogosławieństwa jest przywiązany odpust zupełny; e) przywileju tzw. ołtarza uprzywilejowanego.

Korzystanie z powyższych władz i przywilejów wymaga charakteru kapłańskiego; do korzystania zaś z władzy ubogacania dewocjonaliów odpustami apostolskimi lub odpustami zupełnymi na

godzinę śmierci konieczną jest nadto władza do słuchania spowiedzi. W związku z tym powstała wątpliwość, czy ten, kto, nie posiadając święceń kapłańskich względnie władzy do słuchania spowiedzi, zapisał się do jakiegoś stowarzyszenia kościelnego (np. Związku Misyjnego Kleru) przed ogłoszeniem powyższego dekretu, z chwilą otrzymania święceń lub uzyskania władzy spowiadania zyskuje władze i przywileje. Na powyższe wątpliwości znajdujemy odpowiedź w dekrecie św. Penitencjarii z dnia 2 marca 1937 roku (AAS, 1937, 58). Mianowicie przedstawiono wątpliwoćci:

I. An Clericus, qui nomen dederit piis fidelium associationibus ante memorati Decreti evulgationem, frui possit facultatibus in eodem Decreto recensitis vixdum sacrum Presbyteratus Ordinem susceperit.

II. An Sacerdos, ad Confessiones non approbatus, qui, uti supra, suum nomen dederit ante Decreti evulgationem, frui valeat praedictis facultatibus.

Et Sacra Paenitentiaria Apostolica die 23 februari 1937 respondendum censuit:

Ad I: Negative.

Ad II: Affirmative, exceptis tamen facultatibus adnectendi Indulgentias Apostolicas et Plenariam »in articulo mortis«, quae exerceri nequeunt nisi post obtentam approbationem ad excipiendas sacramentales Confessiones.

Kapłanowi zatem, który jako kleryk zapisał się do któregoś ze stowarzyszeń kościelnych a święcenia kapłańskie otrzymał po odgłoszeniu dekretu św. Penitencjarii, nie przysługują władze i przywileje wyliczone w dekrecie z dnia 20 marca 1933 r.; jeżeli natomiast święcenia kapłańskie otrzymał przed ogłoszeniem dekretu, władzę zaś do spowiadania po ogłoszeniu, nie przysługuje mu władza nadawania na dewocjonalia odpustów apostolskich i odpustu zupełnego na godzinę śmierci. W dekrecie bowiem zostały zachowane władze i przywileje nabyte; kapłan zaś, któremu w chwili ogłoszenia dekretu brakowało któregoś z istotnych warunków, formalnie tych władz i przywilejów nie nabył.

2. Dekrety w sprawie rozgrzeszania kapłanów z ekskomuniki, zaciągniętej za zawarcie związku małżeńskiego. (AAS, 1936, 242; 1937, 283).

Lex sacri coelibatus inter Latinos adeo Sanctae Ecclesiae curae semper fuit atque est ut, si agatur de sacerdotibus, fere numquam super ea retroactis temporibus dinspensatum fuerit, numquam prorsus, ne in mortis quidem periculo, in praesenti disciplina dispensetur.

Cum tamen, nequitia temporum, contingere aliquando soleat ut infelix aliquis sacerdos, suae vocationis oblitus in sacrilegum concubinatum lapsus, ob matrimonium etiam civiliter tantum attentatum aliasque gravissimas rationes, a cohabitatione sub eodem tecto cum suae desertionis complice, etsi forte tandem ad cor reversus, cessare impediatur, ideoque ad suae eiusdemque suae complicis conscientiae consulendum, data fide de absoluta perfectaque in posterum continentia perpetuo servanda, ad participationem sacramentorum more laicorum petat admitti, Sancta eadem Ecclesia, pro sua erga devios etiam filios materna sollicitudine, ei, quantum in se est, si et quando peculiaria id suadent rerum adiuncta, subvenire non renuit. Quod quidem cum conscientiam praesertim respiciat, Sacrae Paenitentiariae Apostolicae exclusive reservari congruum visum est.

Re igitur collata per infrascriptum Cardinalem Maiorem Paenitentiarium cum Ssmo D. N. Pio divina providentia Pp. XI, eadem Sanctitas Sua, in audientia diei 14 mensis Martii vertentis anni, eidem Cardinali Maiori Paenitentiario impertita, suprema suo auctoritate decernere ac statuere dignata est ut, firma excommunicatione, de qua in canone 2388, § 1, absolutio ab ea in casu supra exposito et consequens supplicantis admissio ad sacramenta more laicorum suscipienda, ab ipsa tantum Sacra Paenitentiaria Apostolica, servata speciali procedendi forma et sub peculiaribus quibusdam cautelis et conditionibus ab eadem Sanctitate Sua patefactis ac praescriptis, concedi possint; et si forte concedantur ab aliquo sacerdote in periculo mortis, maneat obligatio ad ipsam Sacram Paenitentiariam recurrendi, ut praescribitur canone 2252 pro censuris a iure Sanctae Sedi specialissimo modo reservatis.

Hoc autem Decretum Sibi relatum in alia audientia diei 28 eiusdem mensis idem Ssmus Dominus Noster in omnibus adprobare et confirmare dignatus est, mandans ut, quo solet modo, publici iuris fiat. Contrariis quibuscumque etiam speciali mentione dignis non obstantibus.

Datum Romae, ex Aedibus Sacrae Paenitentiariae Apostolicae, die 18 aprilis 1936.

L. Card. Lauri — Paenitentiarius Maior.

S. Luzio — Regens.

Evulgato per Commentarium Officiale Apostolicae Sedis (vol. XXVIII, pag. 242) Decreto, quod incipit „Lex sacri coelibatus" diei 18 aprilis 1936, quo absolutio ab excommunicatione de qua in can. 2388, § 1, quando agatur de sacerdote qui, matrimonio civiliter attentato, ad cor dein reversus, ad participationem sacramentorum more laicorum petat admitti, data quidem fide de absoluta perfectaque in posterum continentia perpetuo servanda, quamvis tamen ob gravissimas rationes cessare non valeat a cohabitatione sub eodem tecto cum suae disertionis complice, Sacrae Paenitentiariae Apostolicae, excepto casu periculi mortis, reservatur, non defuerunt nec desunt Canonistae et Moralistae qui docuerint ac doceant casum hunc nihil differre a casu aliarum censurarum, quae in casibus urgentioribus remitti possunt sub quibusdam conditionibus et clausulis a quocumque confessario vi can. 2254.

Haec interpretatio, a praefati Decreti nedum sensu sed et littera prorsus absona, nullo modo defendi potest, eo praesertim quia expresse edicitur absolutionem de qua agitur „ab ipsa tantum Sacra Paenitentiaria Apostolica, servata speciali procedendi forma et sub peculiaribus quibusdam cautelis et conditionibus ab eadem Sanctitate Sua patefactis ac praescriptis" concedi posse.

Nihilominus, ad omnem, si quae adhuc forte superesset, dubitationem penitus auferendam, Ssmus Dominus Noster, in audienta infrascripto Card. Paenitentiario Maiori die 10 aprilis anni currentis impertita ad rem opportune interrogatus, suprema Sua auctoritate declarandum et, quo solet modo, publici iuris faciendum

mandavit, hanc esse mentem Legislatoris, scilicet: Absolutionem a censura, de qua supra, ita esse Sacrae Paenitentiariae reservatam ut nemo unquam, excepto casu periculi mortis, ab ea absolvere possit, non obstante qualibet facultate, sive per can. 2254, § 1, sive per privilegium, sive denique per aliud quodcumque ius ceteroquin concessa.

Datum Romae, e Sacra Paenitentiaria, die 4 maii 1937.

L. Card. Lauri — *S. Luzio*
Paenitentiarius Maior. — Regens.

I. Według przepisu kan. 2388, § 1, duchowny z wyższymi święceniami, który ośmiela się zawrzeć małżeństwo, choćby tylko cywilne, oprócz innych kar zaciąga ekskomunikę zastrzeżoną Stolicy Apostolskiej w zwykły sposób (simpliciter). Od powyższej ekskomuniki, oprócz Stolicy Apostolskiej, rozgrzeszać mogą zgodnie z przepisami Kodeksu Prawa Kanoniczego: a) ordynariusz w wypadkach tajnych (kan. 2237, § 2); b) w niebezpieczeństwie śmierci każdy kapłan (bez obowiązku rekursu do Stolicy Apostolskiej; kan. 2252); c) w wypadkach naglących każdy spowiednik, z obowiązkiem rekursu do Stolicy Apostolskiej (kan. 2 254); d) w innych wypadkach spowiednik posiadający specjalną w tym względzie władzę.

Dekret św. Penitencjarii z dnia 18 kwietnia 1936 roku w sprawie rozgrzeszania z tej ekskomuniki wprowadza pewne zmiany. Rozróżnić mianowicie należy: duchownego posiadającego święcenia kapłańskie od innych duchownych z wyższymi święceniami; wziąć dalej należy pod uwagę, czy duchowny z wyższymi święceniami chcący otrzymać rozgrzeszenie z ekskomuniki zrywa całkowicie z kobietą, z którą zawarł nieważne małżeństwo, czy też wskutek okoliczności nie może tego uczynić, zobowiązując się jednak zachować zawsze całkowitą wstrzemięźliwość.

1. Jeżeli chodzi o duchownych nie posiadających święceń kapłańskich, mogą oni otrzymać rozgrzeszenie z ekskomuniki jużto od ordynariusza (w wypadkach tajnych) już też od upoważnionego spowiednika; skoro tylko żałują swego czynu i pragną się poprawić; w niebezpieczeństwie śmierci oraz w wypadkach naglących mają zastosowanie przepisy kan. 2252 i 2254. Duchowni ci

mogą być rozgrzeszeni z ekskomuniki bez względu na to czy zrywają zupełnie z kobietą, z którą zawarli nieważne małżeństwo, czy też nie mogąc tego wskutek okoliczności uczynić przyrzekają tylko szczerze zupełną i na zawsze wstrzemięźliwość. Rozgrzeszenie to jednak ma tylko ten skutek, że mogą oni przystępować do sakramentów św. na wzór zwykłych wiernych; władzy zaś świętej, bez uprzedniej dyspenzy od zaciągniętej nieprawidłowości do święceń (kan. 985, n. 3), nie mogą wykonywać.

2. Jeżeli natomiast chodzi o kapłana, ogólne przepisy Kodeksu odnośnie do rozgrzeszania z ekskomuniki mogą mieć zastosowanie tylko w tym wypadku, gdy kapłan całkowicie zrywa z kobietą, z którą zawarł nieważne małżeństwo. Rozgrzeszenie z ekskomuniki nie zawiera w sobie jednak dyspenzy od zaciągniętej nieprawidłowości.

Jeżeli zaś wskutek okoliczności zerwanie całkowite jest niemożliwe, kapłan jednak przyrzeka szczerze zachowywać zawsze zupełną wstrzemięźliwość, — w wypadku tym rozgrzeszenie z ekskomuniki zastrzeżone jest św. Penitencjarii; wyjątek stanowi jedynie niebezpieczeństwo śmierci. Wszelkie władze, przysługujące czyto z prawa powszechnego czy też na podstawie przywileju, zostały powyższym dekretem odwołane. Jedynie w niebezpieczeństwie śmierci można korzystać z uprawnień przyznanych kan. 2252; istnieje jednak wtedy obowiązek rekursu do św. Penitencjarii, podobnie jak przy rozgrzeszaniu z cenzur zastrzeżonych Stolicy Apostolskiej w najspecjalniejszy sposób.

II. Zaznaczyć należy, że dekret św. Penitencjarii nie ogranicza władzy rozgrzeszania z ekskomuniki zastrzeżonej Stolicy Apostolskiej w zwykły sposób, jaką zaciągają kobiety zawierające nieważne małżeństwo z duchownymi wyższych święceń; upoważnienia wynikające z Kodeksu względnie z uzyskanych przywilejów mają swe całkowite zastosowanie.

3. Dekret w sprawie odpustów, przyznanych za odmawianie brewiarza przed Najświętszym Sakramentem

Dekretem św. Penitencjarii z dnia 31 marca 1937 r. (AAS, 1937, 284) odpusty, jakie mogą zyskiwać duchowni wyższych święc-

ceń za odmawianie brewiarza przed Najśw. Sakramentem, zostały rozszerzone na wszystkich duchownych. W dekrecie tym czytamy: „Sanctitas Sua.... Indulgentias omnes et singulas pro recitatione divini officii coram Ssmo Sacramento, ut supra dictum est, clericis in maioribus antea elargitas, ad clericos omnes, inde a prima tonsura, nec non ad novitios et studentes quorumcumque Institutorum Religiosorum, sive qui forte ex proprii Instituti constitutionibus, sive etiam qui nullo adhuc titulo ad eam recitationem adstringantur, benevolentissime, sub iisdem clausulis et conditionibus, suprema Sua auctoritate, extendere dignata est".

Odpusty i warunki podane są w dekrecie św. Penitencjarii z dnia 23 października 1930 r. (AAS, 1930, 439) i z dnia 18 maja 1934 r. (AAS, 1933 321). Mianowicie: 1) odpust zupełny można zyskać pod zwykłymi warunkami za odmówienie całego oficjum przed Najśw. Sakramentem, czyto wystawionym czy też przechowywanym w tabernakulum; 2) odpust cząstkowy 50 dni za odmówienie poszczególnej horki (pro unaquaque Hora canonica) przed Najśw. Sakramentem, jeżeli dla jakiejkolwiek przyczyny nie można było odmówić całego oficjum przed Najśw. Sakramentem.

Powyższe odpusty zostały przyznane również mniszkom oraz niewiastom prowadzącym życie wspólne, a zobowiązanym na podstawie konstytucyj do odmawiania codziennego oficjum (Dekret św. Penitencjarii z dnia 5 grudnia 1930 roku; AAS, 1931, 23).

4. Pium exercitium, quod diem sacerdotalem vocant, indulgentiis ditatur (AAS, 1937 285)

Pium exercitium offerendi Deo, stato die singulis mensibus, sanctam Missam et Communionem necnon omnes eiusdem diei orationes et quaecumque bona opera fiant pro Ecclesiae sacerdotibus et levitis, ut D. N. Iesus Christus, summus et aeternus sacerdos, eos sanctificet faciatque sacerdotes secundum cor suum, postquam a Sancta sede specialibus privilegiis auctum est, ita celeriter per orbem catholicum sese extendit, ut quamplurimi Sacrorum Antistites omnium fere nationum illud libentissime exceperint, tamquam menti Ecclesiae et pietati fidelium admodum consentaneum commendaverint, eorumque non pauci in propriae dioecesis ecclesiis publice peragi voluerint.

Tam felici permotus successu, infrascriptus Cardinalis Paenitentiarius Maior, vigore peculiarium facultatum a Ssmo D. N. Pio div. Providentia Pp. XI sibi tributarum, die 15 mensis decembris 1936, ad uberiores fructus spirituales ex praedicto pio exercitio assequendos, in favorem christifidelium eidem sive publice sive privatim operam dantium in aliqua ecclesia aut in publico vel (pro legitime utentibus) semipublico oratorio, Indulgentias quae sequuntur benigne concessit: 1) plenariam, prima feria quinta vel primo sabbato cuiuslibet mensis, feria quinta in Coena Domini, Die festo Virginis Mariae Reginae Apostolorum et diebus natalibus SS. Apostolorum, si praeterea peccata sua sacramentali paenitentia rite expiaverint et ad mentem Summi Pontificis preces fuderint; 2) partialem septem annorum, aliis anni diebus quibus idem pium exercitium saltem contriti ac devote peregerint; atque insuper, 3) partialem trecentorum dierum pro iis qui invocationem: „Iesu Salvator mundi, sanctifica sacerdotes et levitas tuos" saltem corde contrito ac pia mente recitaverint. Presenti in perpetuum valituro, absque ulla Apostolicarum Litterarum in forma brevi expeditione, et contrariis quibuslibet minime obstantibus.

Quam quidem concessionem Sibi relatam eadem Sanctitas Sua, in audientia infrascripto Cardinali Paenitentiario Maiori die 10 vertentis mensis concessa, benigne approbare et confirmare dignata est ac, quo solet modo, publicandam mandavit.

Datum Romae, ex Sacra Paenitentiara die 12 aprilis 1937.

L. Card. Lauri — Paenitentiarius Maior

S. Luzio — Regens

Suprema Sacra Congregatio S. Offici

Decretum circa can. 1127 Codicis Iuris Canonici
(AAS, 1937, 305)

In plenario conventu huius Supremae Sacrae Congregationis Sancti Officii, habito feria IV, die 5 maii 1937, propositis dubiis:

1. Utrum in matrimonio contracto a duobus acatholicis dubie baptizatis, in casu dubii insolubilis circa Baptismum, possit permitti alterutri parti ad Fidem conversae usus Privilegii Paulini vi can. 1127 Codicis Iuris Canonici?

2. Utrum in matrimonio contracto inter partem non baptizatam et partem acatholicam dubie baptizatam, in casu dubii insolubilis de Baptismo, possint Orpinarii alterutri parti ad Fidem Catholicam conversae permittere usum Privilegii Paulini vi can. 1127 ?

Emi ac Revmi Patres Dni Cardinales Fidei morumque integritati tutandae praepositi, omnibus mature perpensis, respondendum decreverunt:

Ad 1. Negative.

Ad 2. Recurrendum ad S. Officium in singulis casibus.

Hanc vero Emorum Patrum resolutionem, in audientia E. P. D. Adsessori S. Officii die 13 eiusdem mensis et anni impertita, Ssmus D. N. Pius Divina Providentia Papa XI adprobare et Suprema Sua Auctoritate confirmare dignatus est, ac publici iuris fieri iussit.

Datum Romae, ex Aedibus S. Officii, die 10 iunii 1937.

I. Venturi
Supremae S. Congr. S. Officii Notarius

KRONIKA.

Kraków, Stradom.

Ostatnim razem wspomniano na tym miejscu o święceniach subdiakonatu w dniu 23 maja. W miesiąc potem zakończone II. półrocze studiów teologicznych egzaminami w dniach od 17 do 23 czerwca. Ponieważ w uroczystość św. Jana Chrzciciela miały się odbyć generalne święcenia w bazylice o. o. franciszkanów — skorzystać mogli z tej okazji również nasi subdiakoni. Obok kilkunastu alumnów seminarium krakowskiego, przypuszczonych do subdiakonatu, oraz licznych członków różnych zakonów i zgromadzeń, przystępujących do niższych lub wyższych święceń, otrzymali diakonat: Józef Chachuła, Franciszek Cholewa, Czesław Dukiel, Jan Godziek, Ryszard Gogol, Jan Iwuć, Marian Karpiński, Jan Kowalski, Franciszek Maszner, Stanisław Nowicki, Wojciech Sojka, Jan Starzec, Jan Trela i Edmund Włodarz. Zaraz nazajutrz 25 czerwca, opustoszał Stradom, gdyż młodzież duchowna wyjechała do Krzeszowic na letnie wywczasy.

W ciągu dwu miesięcy wakacyjnych odnowiono na Stradomiu mały dziedziniec przy furcie, refektarz i kuchnię. Wszystko było przygotowane na powrót kleryków, którzy w dniu 30 sierpnia przybyli z Krzeszowic oraz nowi, w liczbie 28 z Kleparza. W następnym dniu wieczorem zaczęły się rekolekcje roczne, w których prócz naszych księży, kleryków i braci wzięli również udział trzej konfratrzy, X. Krzyszkowski z Chełmna, X. Obtułowicz z Uszni i X. Stark ze Lwowa. W ostatnim dniu rekolekcyj, 8 września, upływało 50 lat powołania X. wizytatora. Przez wzgląd na skupienie rekolekcyjne odprawiono w sam dzień tylko uroczystą Mszę św., a mały obchód jubileuszowy urządzono w niedzielę, 12 września. Tak się szczęśliwie złożyło, że w tym samym dniu mieli otrzymać święcenia kapłańskie XX.: Dukiel, Iwuć, Sojka

i Starzec. Zarówno X. arcybiskup Sapieha, jak i X. biskup Rospond wyjechali na kurację. Poproszono więc o te święcenia X. biskupa Lorka, który jak najchętniej przyjechał w tym celu w niedzielę rano, a po udzieleniu święceń uczestniczył także w naszej uroczystości jubileuszowej.

Neopresbyterzy mieli najpóźniej w listopadzie wyjechać do Chin. Przeszkodziły im jednak w tym zamieszki wojenne na Dalekim Wschodzie. Czekając przeto na wezwanie X. superiora Kurtyki z Wenchow, XX. Dukiel, Iwuć i Sojka pomagają XX. konfratrom w kraju, a X. Starzec wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

Równocześnie nasza młodzież duchowna zaczęła nowy rok studiów 1937/8. W dniu 11 września odbyła się uroczysta inauguracja, a po niedzieli wykłady. Wszystkich słuchaczów Instytutu Teologicznego było z początkiem I półrocza 145, naszych 105 (z tego 27 na Kleparzu), eksternistów 40, w tym 10 paulinów, 1 cysters, 6 augustianów, 20 pijarów i 3 michalitów. Dwu z naszych, Józef Wiorek i Gerard Domogała otrzymali w dniu 17 października subdiakonat, a 24 października diakonat i wyjechali na studia do Rzymu. Czterech naszych z I kursu odeszło, a prócz tego ubyło w ciągu półrocza 3 eksternistów. Do egzaminów więc w dniach od 7 do 13 stycznia 1938 r. stanęło tylko 136 słuchaczy, mianowicie 99 naszych i 37 obcych.

XX. profesorowie wykładali następujące przedmioty: X. Jan Weissman homiletykę w I półroczu i ascetykę w II; X. Hieronim Feicht historię kościelną, patrologię i katechetykę oraz naukę harmonii dla ochotników; X. Franciszek Willim egzegezę i język hebrajski; X. Józef Wiejaczka introdukcję ogólną i szczegółową do Pisma św.; X. Franciszek Śleziona część filozofii i historię filozofii; X. Władysław Stawinoga prawo kanoniczne, teologię moralną ogólną (principia) i liturgikę; X. Norbert Kompalla prawo kanoniczne i teologię moralną szczegółową; X. Józef Rzychoń apologetykę; X. Franciszek Bracha teologię dogmatyczną oraz teologię wschodnią w II półroczu; X. Aleksander Usowicz filozofię. Potrzeba większej liczby XX. profesorów wynikła z rozszerzenia studiów teologicznych jak również stąd, że I kurs z powodu braku pomieszczenia na Stradomiu musi mieszkać i naukę pobierać na Kleparzu, a to pochłania XX. profesorom wiele czasu.

W ciągu I półrocza, prócz wspomnianych już święceń, otrzymali w dniu 28 października egzorcystat i akolitat z rąk X. biskupa Rosponda klerycy z III kursu: Bronisław Bauer, Bolesław Bielski, Teodor Czajka, Alfons Derebecki, Józef Florko, Jan Jonaczyk, Marian Kaczmarek, Joachim Kowalski, Ludgard Łotach, Wiktor Marcinajtis, Franciszek Myszka, Edmund Nowak, Paweł Podejko, Karol Powroźnik, Józef Szczerbiński, Konrad Edmund Trzeciak, Paweł Widuch, Józef Wójcik i Izydor Ździebło. Następnie zaś w dniu 6 listopada otrzymali tonsurę w kaplicy o. o. franciszkanów klerycy z drugiego kursu: Władysław Adamczyk, Andrzej Balicki, Julian Bałos, Alfred Delkowski, Gerard Dogiel, Jan Kamel, Józef Kapusta, Wilhelm Kowalik, Albin Małysiak, Rafał Markiton, Franciszek Pałka, Benedykt Pinocy, Wiktor Prądzyński, Ludwik Sieńko, Antoni Smoluk, Leon Więckiewicz, Piotr Wilniewczyc, Władysław Wiśniowski, Mieczysław Krzemiński i Ignacy Zakrzewski, a nadto Adam Fabianowski III kursu. Śluby św. składali w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny: Wojciech Antosz, Franciszek Bogacz, Edward Kopacz, Jan Stuczyński i Władysław Wolny; w Nowy Rok zaś Stefan Reczkowicz i Kazimierz Ziemiński.

Księża naszego domu, zarówno profesorowie jak i inni, mają obok zajęć obowiązkowych jeszcze inne dodatkowe. Kapelanię w Zakładzie dla dzieci chorych na oczy w Witkowicach obsługuje od kiku lat X. Śleziona, u braci albertynów na Kazimierzu X. Kompalla, w domu pracy SS. Miłosierdzia przy ulicy Piekarskiej X. Usowicz, w Dobroczynności X. Bracha. Do tego dodać należy spowiedzi tygodniowe i kwartalne u S. S. Miłosierdzia; rekolekcje dla kapłanów, dla SS. Miłosierdzia, dla różnych stowarzyszeń oraz dla ubogich, a nadto pracę w stowarzyszeniach bądź Pań Miłosierdzia, bądź Dzieci Marii. Na życzenie X. arcybiskupa objął X. superior opieką nad klasztorem SS. Wizytek w Krakowie, pracuje razem z X. Stawinogą w sądzie duchownym.

Wspomnieć wypada także, że z racji 200-lecia kanonizacji św. Wincentego urządziliśmy w naszym kościele uroczyste triduum w dniach 25, 26 i 27 września. Główna uroczystość była w niedzielę, 26 września. O godzinie 8 była wotywa, na której zgromadzili się panowie z konferencyj św. Wincentego oraz Panie

Miłosierdzia. Uroczystą sumę celebrował X. biskup Rospond, inne nabożeństwa odprawiali jak i kazania głosili w tych trzech dniach księża domowi.

Śląskie Seminarium Duchowne. — Książka o arcybiskupie Bilczewskim. Może nie jest rzeczą powszechnie wiadomą, że J. E. X. arcybiskup Twardowski pragnie w najbliższym czasie zacząć proces beatyfikacyjny arcybiskupa Bilczewskiego. W tym celu był potrzebny żywot sługi Bożego, który możnaby posłać kardynałom w Rzymie, biskupom różnym. Polecił to X. arcybiskup Twardowski X. Szymborowi, który też wydał po francusku żywot arcybiskupa Bilczewskiego, napisany po polsku przez X. Tarnawskiego. Wydanie francuskie wyszło w Paryżu w księgarni Gabalda i obejmuje stron 282.

Święcenia prezbiteratu. — Rekolekcje 6-dniowe, głoszone przez o. duch. X. Sinkę, odprawiali alumni w Seminarium w Krakowie. Święcenia kapłańskie jednakże otrzymali w Katowicach w Katedrze, z ręki J. E. X. biskupa Adamskiego, dnia 20-go czerwca. Było ich 26. Po święceniach na śniadaniu razem z Ekscelencją byli neoprezbiterzy na probostwie św. Piotra, a w trakcie śniadania wikariusz generalny X. biskup Bieniek zaraz zawiadomił każdego neoprezbitera o czasie i miejscu przeznaczenia. Młodsi koledzy zostali jeszcze w Seminarium, bo odbywały się jeszcze niektóre egzaminy.

Rekolekcje kapłańskie w Śląskim Seminarium. Na rok 1937 i 1938, J. E. X. biskup Adamski, jako miejsce rekolekcyj kapłańskich diecezji śląskiej wyznaczył Seminarium w Krakowie. Zjechali się księża śląscy 23 sierpnia w liczbie 58. Rekolekcje zaczęły się 23 sierpnia wieczorem i trwały: 24, 25, 26, zakończyły się 27 sierpnia rano. Nauki trzy dziennie głosił X. rektor Szymbor na temat *Corpus Christi Mysticum*, stosownie do życzenia X. Biskupa. Zaraz potem dla tychże księży odbył się kurs Akcji Katolickiej. Już 26 sierpnia wieczorem zjechał X. Biskup, który też potem wygłaszał referaty i przewodniczył w kursie. Podziwialiśmy akuratność w stosowaniu się do regulaminu i wierność w zachowaniu milczenia i skupienia. Drugi raz rekolekcje i kurs Akcji Katolickiej odbyły się 6—11 września, gdzie również

kursowi Akcji Katolickiej przewodniczył X. biskup Adamski, a nauki rekolekcyjne głosił X. Szymbor.

Początek roku akademickiego. — Alumni wszyscy zjechali 20 września, tak, że na obiedzie już byli wszyscy obecni. W tym samym dniu zaczął się kurs praktyczny, który trwał przez 5 dni i obejmował tematy, na które w wykładach uniwersyteckich nie ma miejsca. W pauzach między wykładami najmłodszy rocznik zapisywał się na wydział teologiczny. W sobotę wieczorem 25-go września był początek rekolekcyj rocznych pięciodniowych, które skończyły się 1 października. X. Sinka głosił nauki rekolekcyjne. Uroczysta inauguracja roku akademickiego odbyła się 4 października. Nabożeństwo z udziałem profesorów Uniw. Jagiell. i słuchaczy odbyło się u św. Anny, celebrowane przez X. prof. Kaczmarczyka w asyście śląskich alumnów o godz. 9 rano, a o godz. 10 rano w auli Uniw. Jagiell. dokonano otwarcia roku szkolnego z wykładem profesora Semkowicza i sprawozdaniem rektora Szafera.

Kwestia wschodnia. — Nakazał papież Pius XI, że alumni w seminariach już mają zapoznawać się z kwestią wschodnią. Dlatego też w Kole misyjnym naszego Seminarium istnieje Sekcja wschodnia, a ta prócz referatów ujmuje nadto rzecz praktycznie, mianowicie przez pierwszy trymestr w każdą niedzielę chodzi do cerkwi św. Norberta grupa alumnów na służbę Bożą, by w ten sposób zapoznać się z autopsji z liturgią św. Jana Chryzostoma.

Dzieło X. Smidody o X. Baudouinie. — Od kilku lat już mozolnie pracował X. Śmidoda nad dziełem z historii Zgromadzenia naszego, mianowicie nad X. Baudouinem. Wreszcie 8 listopada nadeszły z Warszawy pierwsze egzemplarze książki już gotowej, obejmującej 280 stron w dużym oktawie, luksusowo wydanej na papierze kredowym z ilustracjami historycznymi i z reprodukcjami dokumentów.

Uroczystość św. Stanisława Kostki. — Msza św. rano o godz. 6·30 odbyła się z asystą, bo św. Stanisław Kostka to patron kaplicy naszej. Wykłady jeszcze były normalne. Po południu w czasie przechadzki pewna część alumnów zajęła się dekoracjami przygotowawczymi. Wieczorem o godz. 5·30 urządzili akademię na cześć św. Stanisława z wykładem X. Staicha, a oprócz

alumnów innych seminariów zaszczycili nas obecnością swoją: p. prof. Wachholz, X. prof. Kaczmarczyk, O. Morawski, X. Krzemieniecki, X. Mazerski.

Pamiętnik VIII Zjazdu Związku Zakładów Teologicznych. — Po śmierci ś. p. X. prałata Makowskiego spadły na X. Szymbora obowiązki przewodniczącego Związku Zakładów Teologicznych. Na ostatnim zjeździe bowiem w Częstochowie 1936 r. wybrany został do prezydium X. Makowski jako prezes, X. Szymbor jako zastępca. W tym charakterze wydał w listopadzie 1937 r. „Pamiętnik VIII Zjazdu w Częstochowie" (Kraków, str. 384) i przygotowuje IX zjazd, który odbyć się ma w Krakowie na Wielkanoc 1938 r. W tym kierunku też szło przypomnienie, które umieścił w grudniowym zeszycie „Ateneum" w Włocławku, pod adresem prezesów sekcyjnych i członków Związku Zakładów Teologicznych.

Święcenia. — Dnia 17 grudnia przybył do nas J. E. X. biskup Adamski i wieczorem rozdzielał tonsury. Nazajutrz zaś 18 grudnia w suchedniową sobotę na mszy św. egzorcystatu i akolitatu udzielał czwartemu rocznikowi — a subdiakonatu piątemu rocznikowi. Jeszcze tylko na obiedzie zostali alumni, a po obiedzie wyjechali do domu, bo zaczęły się ferie Bożego Narodzenia i wieczorem dom nasz był pusty.

15-lecie Śląskiego Seminarium Duchownego. W październiku przypada 15-lecie Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie.

Pierwsze początki tej placówki sięgają r. 1922, kiedy to jeszcze Śląsk należał do diecezji wrocławskiej. Wówczas to kilku młodych studentów teologii przeszło z fakultetu wrocławskiego i zapisało się na teologię na Uniwersytecie w Krakowie. Ta sama grupka mieszkała z początku prywatnie przy ul. Garbarskiej L. 13. Później przygarnęli śląskich teologów XX. Jezuici przy ul. Kopernika L. 26. Oni też byli ich pierwszymi przełożonymi w powstającym Seminarium.

W październiku 1924 r. objął kierownictwo Seminarium Śląskiego u XX. Jezuitów — z polecenia ówczesnego administratora apostolskiego w Katowicach, X. dra Augusta Hlonda — X. rek-

tor Stanisław Maśliński. Gdy liczba alumnów zaczęła róść pokaźnie, zaczęto budować własny gmach Seminarium Śląskiego przy alei Mickiewicza, 28 listopada 1926 r. Książę metropolita dr A. S. Sapieha dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod ten nowy gmach. W październiku 1927 r., tzn. równe dziesięć lat temu, Seminarium Śląskie opuściło gościnne progi XX. Jezuitów i przeniosło się do własnej siedziby.

W październiku 1935 r. zrezygnowali ze swych urzędów: X. rektor Stanisław Maśliński, spirytualny X. dr Walery Jasiński i X. prefekt Józef Christoph. Zarząd Seminarium został oddany w ręce Zgromadzenia XX. misjonarzy (łazarystów). Z tego to Zgromadzenia są tam obecni wszyscy przełożeni, a więc: rektor X. Wilhelm Szymbor, były rektor „Misji Polskiej" w Paryżu — a nadto spirytualny X. Jan Sinka i prefekt X. Franciszek Śmidoda oraz X. Augustyn Godziek.

15-lecie samodzielnego Seminarium Śląskiego i 10-lecie pracy we własnym gmachu — to daty bardzo ważne w życiu młodej diecezji katowickiej, rozwijającej się pomyślnie pod rządami arcypasterzy tej miary jak: X. kardynał Hlond, ś. p. X. biskup Arkadiusz Lisiecki i X. biskup Stanisław Adamski, kierujący diecezją od r. 1930. (*Ilustr. Kuryer Codz. 2 X. 1937*)

Warszawa — Pretensja o... połowę śródmieścia.

Pod tym tytułem nie bez złośliwości pisały dzienniki warszawskie o staraniach domu św. Krzyża celem odzyskania niektórych parcel pomisjonarskich. Podajemy w dosłownym brzmieniu, co o tym pisze »Goniec Warszawski« z 17. IX. 1937:

Do sądu okręgowego wpłynął niezwykły pozew przeciwko zarządowi st. m. Warszawy. Chodzi w tym wypadku ni mniej ni więcej tylko o pretensję cywilną do... połowy śródmieścia.

Pozew wniósł adw. Nadratowski w imieniu Zgromadzenia XX. Misjonarzy.

W czasach przed i porozbiorowych Zgromadzenie to, zajmujące się akcją dobroczynną, odgrywało bardzo poważną rolę. W wyniku bogatych fundacyj, rozporządzało ono bardzo rozległymi terenami przyległymi do kościoła św. Krzyża od ul. Traugutta, aż po ul. Świętokrzyską i plac Napoleona. Ponadto do

Zgromadzenia należał kilkowłukowy folwark świętokrzyski, obecnie stanowiący centrum miasta w okolicy Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej.

Ponieważ w 1863 r. Zgromadzenie brało czynny udział w ruchu patriotycznym, zbierając ofiary na cele powstania i ukrywając powstańców, po upadku powstania zaborcy skonfiskowali cały majątek XX. Misjonarzy, stosując równocześnie względem właścicieli surowe represje. Tereny poduchowne w ten sposób przeszły na własność miasta.

Po wskrzeszeniu państwa, Zgromadzenie XX. Misjonarzy, przebywające na zagranicznej tułaczce, powróciło do swych praw organizacyjnych. Oddano mu kościół św. Krzyża, który dotychczas jest pod jego opieką.

Ze względu na to, że Zgromadzenie, prowadzące ożywioną działalność dobroczynną i oświatową, posiadające szereg misyj w Afryce i w Chinach, popadło w trudności finansowe, przeto postanowiło drogą pretensji do Zarządu miasta uzyskać pewne zasoby gotówkowe.

Pretensje nie obejmują wszystkich możliwych roszczeń, które liczyćby można w setki milionów i ogranicza się ledwie do kwoty 10 milonów zł., częściowo nawet w naturze (ogród pomologiczny).

Sąd, rozpatrzywszy pozew, zażądał od Zarządu miasta pisemnej odpowiedzi, co do pretenji Zgromadzenia XX. Misjonarzy.

Przegląd pracy krakowskich XX. Misjonarzy na Wystawie Misyjnej. J. E. X. kard. Kakowski otworzył w Warszawie dnia 14 października 1937 w lokalu przy ul. Nowy Świat 64 niezwykle interesującą wystawę. Jest to przejrzyście podane zestawienie wyników pracy misyjnej XX. Misjonarzy św. Wincentego a Paulo z Krakowa, którzy przed 8 laty wyjechali do Chin północnych i tam utworzyli wielki okręg misyjny w Shuntehfu.

Okręg ten obejmuje 12 000 km^2 i liczy 1 100 000 ludności. Obecnie jest tam już 17 000 katolików. W ciągu zaledwie 5 lat XX. Misjonarze rozwinęli tak wspaniałą działalność, że dziś okręg Shuntehfu należy do wzorowych i rozgłos jego rozszedł się już w całych Chinach.

XX. Misjonarze założyli 88 szkół, do których uczęszcza 1 700 dzieci. Założyli 144 katechumenaty, w których blisko 3 000 Chińczyków przygotowuje się do chrztu św. W pracy tej pomaga XX. Misjonarzom ponad 40 nauczycieli i nauczycielek Chińczyków. Na czele tej misji stoi dzielny i bardzo energiczny X. Ignacy Krauze.

Drugi okręg misyjny w Chinach południowych znajduje się w Wenchow. Misje polskie w Chinach zdobyły rozgłos dzięki X. dr W. Szuniewiczowi. Był on początkowo doktorem medycyny i docentem U. S. B., specjalistą w chorobach oczu, następnie wstąpił do Zgromadzenia XX. Misjonarzy i wyjechał do Chin, gdzie rozpoczął działalność najpierw na polu charytatywno-lekarskim. Kiedy przyjechał do Shuntehfu zastał tam mały szpitalik o 10 łóżkach. Dziś szpital ten został tak rozbudowany, że może pomieścić ponad 100 chorych. Rozgłos o cudownych niejednokrotnie uleczeniach wzroku począł się wnet po przyjeździe misjonarza tak szerzyć, że zewsząd poczęli ściągać do szpitala w Shuntehfu chorzy. Obecnie rocznie przewija się przez szpital X. Szuniewicza około 1 000 chorych, dokonywuje się około 800 operacyj, z czego ponad 200 ciężkich.

Utworzenie szpitala w Shuntehfu nie zadowoliło lekarza-misjonarza. Widząc, że setki chorych nie może przybyć do Shuntehfu, X. Szuniewicz zorganizował w całym okręgu sieć przychodni i ambulatoriów, które stopniowo przeistaczają się na szpitale.

Do polskiego lekarza-misjonarza ściągają jednak nie tylko chorzy. Przybywają również chińscy lekarze-okuliści, by pod kierunkiem lekarza-apostoła dokształcić się i rozwijać zdobytą wiedzę lekarską. Rektor uniwersytetu „Aurore" w Shanghaju pisze w swoim sprawozdaniu z pobytu w Shuntehfu, że

„Operacje robione przez X. dra Szuniewicza uważane są za fenomenalne przez wszystkich specjalistów. To, co robi X. dr Szuniewicz, w normalnych warunkach robi 10 lekarzy".

Działalność lekarsko-misyjna przedstawiona jest przy pomocy wykresów i fotografij. Barwność wystawy polega na zgromadzeniu insteresujących pod względem artystycznym eksponatów, ilustrujących kulturę chińską. Olbrzymie kolorowe katechizmy, biblie,

pisane znakami chińskimi, ubrazy z życia świętych, ujęte na modłę chińską, przepiękne hafty na jedwabiu, szaty chińskie, makaty, wyroby z drzewa, obrazujące życie i zwyczaje w Chinach, wszystko to gustownie rozmieszczone, daje przejrzysty obraz życia, wśród którego rozwijają się placówki misyjne.

Na głównej ścianie w największej sali wystawowej znajduje się jedno z arcydzieł chińskich, tj. olbrzymia makata, zszywana z kilkuset kwadratów jedwabnych. Na każdym kwadracie znajduje się inny haft. Kotara ta pochodzi z jednej ze świątyń buddyjskich w południowych Chinach. Na tle tej makaty zakończonej u góry czarnym baldachimem ze złoconymi chińskimi napisami i ozdobione oryginalnymi latarniami, umieszczono duży portret Ojca św. Piusa XI. Na szczególną uwagę w sali chińskiej zasługuje ornat, zrobiony z cieniutkiego przeźroczystego jedwabiu chińskiego ze złotym i srebrnym haftem oraz części szat liturgicznych wraz z nakryciem kielicha. Jest to wspaniały dowód wielkiej cierpliwości chińskich kobiet.

Druga sala zawiera zbiory z innych części świata: z Persji, Madagaskaru i Brazylii. Ściany są tu wywieszone makatami ręcznie malowanymi, wschodnimi dywanami, oraz skórami zwierząt — trofeami myśliwskimi.

W trzeciej wreszcie sali znajdują się eksponaty Koła Misyjnego Pań, zajmującego się wyrabianiem bielizny kościelnej, którą rozsyła się po placówkach misyjnych.

(*„Ilustr. Kuryer Codz.“ z 15. X. 1937*).

Odporyszów. — Podniosła uroczystość koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej.

Ziemia dąbrowska przeżyła podniosłe chwile w dniu 15 b. m., a mianowicie wspaniałe święto koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej w Odporyszowie. Obraz ten oddawna otaczany jest głęboką czcią ludności Odporyszowa i parafij sąsiednich. Właściwe uroczystości uroczyste triduum, które rozpoczęło się pontyfikalnymi nieszporami, odprawionymi 12 b. m. przez X. biskupa Lisowskiego, ordynariusza tarnowskiego.

Właściwy dzień uroczystości poprzedziła całonocna adoracja oraz procesja, prowadzona przez X. biskupa ordynariusza

Lisowskiego w otoczeniu XX. biskupów sufraganów Komara i Sonika.

W niedzielę 15 b. m. po prymarii z kazaniem X. dziekana Jakusa i po wotywie, wyruszyła procesja z cudownym obrazem na plac koronacji. Odczytano dekret Stolicy Apostolskiej w sprawie koronacji cudownego obrazu, po czym X. proboszcz Steinsdorfer, misjonarz, złożył przysięgę, że będzie wiernie strzegł tego obrazu. Sumę pontyfikalną odprawił X. biskup Lisowski, a porywające kazanie, pełne głębokich patriotycznych myśli wygłosił X. biskup sufragan Sonik. Po kazaniu wśród nabożnego skupienia tłumów i bicia dzwonów, X. biskup Lisowski dokonał aktu koronacji cudownego obrazu. Ogromne wzruszenie ogarnęło klęczące tłumy, gdy księża biskupi pobłogosławili je cudownym obrazem Matki Boskiej. Po akcie koronacji odśpiewano „Boże coś Polskę“ i „Te Deum“, po czym obraz w uroczystej procesji wniesiono do kościoła.

W uroczystościach prócz X. biskupa Lisowskiego i księży biskupów Sonika i Komara, brali udział: administrator apostolski Łemkowszczyzny X. Medwecki, X. opat Biros ze Szczyrzyca, X. infułat dr Mysor, X. poseł dr Lubelski, oraz 120 księży z całej diecezji, starosta z Dąbrowy, Sowiński, prezes Akcji Katolickiej Ksawery Bogusz i wielu innych. Z bliższej i dalszej okolicy przybyło na uroczystość do Odporyszowa około 130 tysięcy wiernych, również sąsiednie miasteczko Żabno. Wszystkie domy przybrano chorągwiami o barwach państwowych i papieskich.

(*„Il. Kuryer Codz.“ z 17. VIII. 1937*).

Brazylia, A b r a n c h e s.

Zdaje mi się, że już dawno nie było w „Rocznikach Ob. Zgr.“ żadnej wiadomości kronikarskiej z Abranches. Dla wypełnienia tej luki przesyłam opis kilku zdarzeń z ostatnich miesięcy.

N a s z e p o ł o ż e n i e p o l i t y c z n e i r e l i g i j n e. — Po zwycięskiej rewolucji Getulio Vargasa, nastał jeszcze lepszy stosunek między państwem a Kościołem. Wolno w szkołach religii uczyć, o ile zgłosi się potrzebna liczba dzieci względnie ich rodziców. Bolszewicy i masoni jednakże nie dali za wygraną. Przed rokiem urządzili w północnych stanach rewolucję w tajemnicy

przygotowaną, którą rząd stłumił, a winnych pociągnął do odpowiedzialności. Dla zupełnego wyniszczenia tajnych gniazd bolszewickich zażądał prezydent, Getulio Vargas, od izb ustawodawczych ogłoszenia dla Brazylii stanu wyjątkowego, wojennego, który w 3 miesiące później na jego żądanie przedłużono.

Już się kończą 4-letnie rządy prezydenta; jemu nie wolno, według konstytucji, drugi raz kandydować; zaczął się przeto ruch przedwyborczy — wybieranie kandydatów na prezydenta Brazylii, na którego miano w styczniu głosować. Energiczny obecny prezydent Vargas przewidział, że z tego skorzystać mogą komuniści, ułożono przeto w tajemnicy nową konstytucję i ogłoszono ją już 10 listopada 1937 r.

Na podstawie tej konstytucji prezydenta obiera się na 6 lat, kasuje izbę senatorów, wprowadza się karę śmierci itp.

Nowa konstytucja została w Brazylii bardzo życzliwie przyjęta, bo inteligencja a nawet lud przyznaje, że prezydent Vargas chce Brazylię ochronić przed komunistami, aby się w niej nie zdarzały podobne wypadki, jak w Hiszpanii.

Już rozwiązano wszystkie tajne związki masonerii i pokrewne, a względem religii stosunek jest bardzo przyjazny; nawet śluby kościelne mają mieć znaczenie ustawowe. Zapewne prezydent Vargas uznaje, że tylko Kościół i religia katolicka dają gwarancję spokoju, ładu i porządku w społeczeństwie. Okazuje się z tego, że i Brazylia mieć będzie swego Mussoliniego.

Gubernator Ribas w Abranches. — Od kilku lat rządzi w Stanie Parana gubernator Manuel Ribas. Jest on z zawodu gospodarzem, właścicielem wielkiej posiadłości, „fazendeiro“, czyli mówiąc językiem socjalistów „obszarnikiem“, a komuniści nazwaliby go „burżujem“. Obecny gubernator zna się więc na sprawach gospodarskich, nie tylko z książek i opisów, lecz i z praktyki. Popiera je w Stanie, zwłaszcza uprawę zboża: pszenicy, żyta; stara się o hodowlę rasowego bydła, koni, trzody chlewnej; troszczy się również o rozwój dobrych dróg, kolei, o przemysł i handel. Jednym słowem — jest dobrym gospodarzem naszego stanu Parany.

Z drugiej strony dba i o popularność, aby zyskać wzięcie i poparcie u ludu, kolonistów i robotników. Bierze udział w róż-

nych uroczystościach towarzystw lokalnych; nawet bywa na objazdach u znaczniejszych robotników, przez nich zaproszony.

Razu pewnego, w niedzielę po południu, już po błogosławieństwie, doniesiono mi, że gubernator Ribas wraz z żoną przyjechał autem i jest w towarzystwie „Władysława Jagiełły". Zdziwiłem się kto go zaprosił? Po co przyjechał? Nie znałem jeszcze jego polityki...

Udałem się zaraz, aby go powitać, jako najwyższą władzę w Abranches, boć grzeczność nigdy nie zaszkodzi.

Po przedstawieniu i powitaniu się z nim i jego żoną poczęliśmy oglądać kościół; piękny wielki ołtarz, zrobiony w Szwajcarii przez Stüflesera, sprowadzony jeszcze przez ś. p. X. Mięsopusta; ambona swoją oryginalnością wpada każdemu w oczy; na jej zewnętrznej ścianie, w małych framugach, umieszczone są figury czterech ewangelistów.

Równocześnie niespostrzeżenie wysłałem „tajnego posłańca" do siostry przełożonej, że za kilka minut przyjdzie gubernator Ribas wraz z żoną zwiedzić zakład.

Opuszczamy kościół i zbliżamy się zwolna do zakładu siostrzańskiego, bo gubernator zgodził się na moją propozycję — a może się tego spodziewał — żeby zwiedzić kolegium [1]) siostrzańskie w Abranches.

Siostra przełożona czeka przy drzwiach. Przedstawiam jej gubernatora i jego żonę; wchodzimy do rozmównicy; po krótkiej rozmowie zwiedzamy zakład: sale szkolne, jadalnie i sypialnie. Gubernator jest zadowolony. Uderza go wzorowy porządek i czystość w salach. Zadowolenie jego jeszcze wzrosło, gdy się dowiedział, że większość dzieci internatowych pochodzi z Kurytyby; są to dzieci różnych urzędników. Opuścił zakład z uśmiechem, życząc siostrom powodzenia na tej ważnej placówce oświatowej.

Po kilku dniach byłem z drugim kolonistą u gubernatora, niby z rewizytą, niby z prośbą zarazem o poparcie w Kompanii Amerykańskiej, aby nam w Abranches zaprowadziła światło elektryczne. Po dalszych staraniach dopięliśmy celu, mamy światło

---

1) Zakłady i internaty szkolne nazywają w Brazylii »kolegiami«.

elektryczne, na czym zyskał bardzo zakład siostrzeński, kościół parafialny i tutejsze mieszkania.

Panu gubernatorowi mamy do zawdzięczenia obsadę nauczyciela w polskiej Kolonii Liamenii Wielkiej. Od dłuższego już czasu nie było w szkole nauczyciela na tej kolonii, a z drugiej strony mieliśmy tu kandydata, który ukończył tutejszą szkołę średnią, lecz nie miał egzaminu nauczycielskiego. Za poparciem gubernatora złożył wymagany egzamin; objął posadę przy tej szkole z pensją rządową. A ponieważ uczył dzieci polskie poza godzinami obowiązującymi, pobierał za tę naukę dodatkową płacę.

Nowe spotkanie z gubernatorem. — Najstarszą kolonią polską w Brazylii jest Pilarzinho, należy do naszej parafii abranszowskiej; jest w niej około 40 rodzin polskich, lecz Włochów jest znacznie więcej. Mają włoskie towarzystwo Primavera (wiosna); mają i własny dom towarzyski, a niedawno sprawili sobie piękny sztandar. Proszono mnie abym go poświęcił i to w niedzielę, bo wtedy lud wolny od pracy może się licznie zebrać.

Owszem — powiadam — przybędę, a nawet przemówię przy tej sposobności po brazylijsku do obecnych. W każdą niedzielę mam podwójne nabożeństwo o godzinie 8 i o 10, a zatem przybyć mogę tylko na 9 godzinę. Chętnie się na to zgodzono, owszem obiecano po mnie przysłać automobil, choć dom towarzyski jest od kościoła tylko przeszło dwa kilometry odległy.

W wyznaczoną niedzielę przed 9 godziną czekało na mnie auto, które mnie niebawem przewiozło do towarzystwa włoskiego. Zastałem tu już sporą liczbę członków i gości zebranych na poświęcenie sztandaru. Aż nagle słyszę szepty i gubernator Ribas przyjeżdża. W rzeczy samej zjawia się na sali gubernator wraz z żoną, zaproszony przez Włochów na tę uroczystość.

Zafrasowałem się nieco, boć obiecałem przemówić po brazylijsku, a jakoż to wypadnie wobec gubernatora?.. Ale pomyślałem sobie: niech posłucha jak padre estrangeiro (ksiądz cudzoziemiec) przemawia po brazylijsku. W moim zamiarze utwierdzało mnie i to, że gubernator nie jest mowca, przemawia rzadko krótko.

Do poświęcenia sztandaru ustawili się w wielkiej sali członkowie towarzystwa i goście w dwa szeregi, w środku zaś sta-

nął ksiądz, sztandar i rodzice chrzestni, którzy trzymali wstążki sztandaru. Do nich należał i gubernator wraz z żoną.

Po poświęceniu sztandaru przemówiłem do obecnych. Przemowę zakończyłem okrzykiem na cześć Brazylii i obecnego gubernatora Stanu Parany. Okrzyk powtórzyli zebrani. Potem przemówiło jeszcze dwóch innych gości, gubernator jednak nie przemawiał.

Wkrótce dał się słyszeć donośny głos dzwonów z wieży kościelnej w Abranches, wzywający lud na sumę. Pożegnałem gubernatora, jego żonę i zebranych, aby udać się do kościoła parafialnego i w nim odprawić nabożeństwo dla ludu polskiego.

Gubernator ojcem chrzestnym w Ambranches. Tysiące Japończyków przybywa co rok do Brazylii, a osiedlają się przeważnie w stanie Sâo Paulo, ale nie brak ich i w innych stanach, a nawet w Paranie. Coraz częściej widzi się Japończyków w tutejszych miastach, a w ostatnich czasach i koloniach podmiejskich. W Abranches mamy dwie rodziny japońskie: jedna z nich jest katolicką, a druga pogańską.

Rodzina katolicka miała już starsze dzieci ochrzczone. Dwie dziewczynki chodzą do szkoły siostrzeńskiej, nie umieją jednakże jeszcze po brazylijsku, to też trzymają się osobno, z dala od drugich dzieci. Młodsze dali rodzice ochrzcić w tutejszym kościele parafialnym w Abranches. W kumotry dla syna sześcioletniego, którego nazwano na chrzcie Pedro (Piotr), zaprosiła rodzina japońska gubernatora z jego żoną. Nie wiedziałem, ani się wcale nie spodziewałem, że będzie chrzest dziecka japońskiego i że mieć będzie dostojnych kumotrów.

Przy ceremoniach chrztu umiał sobie gubernator radzić, snadź nie pierwszy raz był kumotrem. Chłopaka na rękach uniósł nad chrzcielnicą jakoby piórko. Po chrzcie dał usługującemu chłopcu 10 milreisów, a księdzu tylko podziękował...

Druga pogańska rodzina japońska z dala się trzyma od ludzi, stroni od nich jakoby im niedowierzała. Uprawia ogrodnictwo, pracuje w polu także w niedzielę; sprzedaje swoje produkty bardzo korzystnie w Kurytybie.

Chciałem jakoś z nią nawiązać stosunki, aby ją Bogu pozyskać. Posłałem przeto kilka razy służącą, aby od niej kupiła

pomidorów. Na jej widok dzieci pouciekały, a starsza osoba, mówiąca słabo po brazylijsku, jakoś ją zrozumiała i się z nią domówiła.

Natomiast w stanie Sâo Paulo nawracają się Japończycy mają podobno już księży swej narodowości, którzy wracają do Japonii i tam nauczają i nawracają do wiary katolickiej swych rodaków.

Dziwne i niezgłębione są drogi Opatrzności!

Prefekt kurytybski w Abranches. — Po licznych staraniach zaprowadzono nam już światło elektryczne, jak wyżej wspomniałem, chodziło nam następnie o dobrą drogę, o bity gościniec, któryby nas łączył z Kurytybą. Zależy to przede wszystkim od kurytybskiego prefekta okręgowego i od jego radców, bo nasza kolonia Abranches, należy do prefektury kurytybskiej.

Żeby tę sprawę pomyślnie załatwić byłem z delegacją u prefekta, to zbieraliśmy podpisy, to polecono nam przyczynić się także ofiarą pieniężną do budowy drogi, lubo za wozy płaci się rocznie wielkie podatki drogowe. Przed dwoma laty naprawiono nam drogę, lecz po roku była w gorszym stanie niż dawniej.

Na dalsze starania, za pośrednictwem radców municypalnych, uchwalono nam założyć gościniec, a właściwie przedłużyć go do Abranches. Robotę zaczęto przed rokiem i to na wielką skalę, których koszty obliczają do 100 000 (sto tysięcy) milreisów. Droga ma być 9 metrów szeroka, a po obydwóch stronach zarezerwowano kilka metrów, tak, że można ją będzie rozszerzyć do 20 m. Liczą się bowiem z tym, że Abranches będzie po kilku latach zaliczone do przedmieść Kurytyby.

Zależy zaś siostrom i mnie, aby ten wygodny gościniec miał połączenie z zakładem i kościołem. Musieliśmy znów starać się o to, chodzić od Annasza do Kaifasza i prosić... Wszędzie nam obiecywano, ale na tym by się też skończyło. Tymczasem Pan Bóg nam dopomógł. Nastąpiła zmiana w urzędzie prefekta kurytybskiego. Dawny Meisner, Niemiec z pochodzenia, katolik, przesadnie oszczędny, ze względów politycznych podał się do dymisji, którą gubernator Ribas przyjął. Partia rządowa brazylijsko-niemiecka wysunęła na prefekta swego kandydata dr. Carlos Hellera, również

Niemca z pochodzenia, a praktykującego katolika [1]). Jest dobrym, światłym lekarzem, studiował i na uniwersytetach europejskich, jak: w Wiedniu, Hamburgu i Paryżu. Należy on także do członków honorowych naszego towarzystwa Władysława Jagiełły w Abranches. Znam się z nim osobiście od kilku lat.

Razu pewnego zapytał mnie się przy sposobności, czy siostry w Abranches uczą języka niemieckiego, bo chciał swoją wychochowankę oddać do szkoły siostrzeńskiej w Kurytybie, lecz tam nie uczą tego języka.

Owszem — powiedziałem, dodatkowo uczą i języka niemieckiego siostry w Abranches.

Oddał wskutek tego swoją wychowankę do tutejszego zakładu naszych sióstr.

Znajomość tę z nowym prefektem kurytybskim dr Hellerem postanowiłem wykorzystać w sprawie budowy drogi, rozpoczętej, a następnie przerwanej.

Na wiadomość, podaną w gazetach, o mianowaniu dr Hellera na prefekta kurytybskiego, udałem się z jednym kolonistą, złożyć mu gratulacje.

Jak z mowy wnioskować można było, był bardzo zadowolony. Mowa była i o budowie drogi do Abranches — ale tylko ogólnikowo, bo nie wypadało w tej chwili przedstawiać swych dezyderatów. Zostawiłem to na czas późniejszy.

I nasze siostry w Abranches skorzystały z tej nominacji dr Hellera na prefekta, boć jego wychowanica jest w tutejszym internacie. Zaprosiły go wraz z żoną do zakładu, gdzie jego wychowanka i dzieci internatowe mają go powitać. Przyjął zaproszenie, przybył z żoną na oznaczony dzień 8 listopada b. r. (1937).

Na powitanie składały się nietylko wiersze i śpiewy dzieci, ale były korowody i żołnierzyki odbywali swe ćwiczenia wojskowe. Bardzo to pięknie wypadło i gościom się podobało.

---

[1]) Okazuje się z tego, jakie mają Niemcy znaczenie i wpływ na rządy stanowe w Paranie, a jeszcze większe w stanie Santa Catharina i Riogrande do Sul. A Polacy? Są bez najmniejszego wpływu i znaczenia; potrafią się tylko kłócić i dzielić na partie, podobnie jak w Polsce.

Na moją uwagę, ile to potrzeba cierpliwości, żeby dzieci takich pięknych rzeczy nauczyć, odpowiedział prefekt, to mogą robić tylko siostry zakonne.

Na zakończenie przemówił prefekt do dzieci, dziękując im za tak piękne powitanie. Podziękował również i siostrom. Wspomniał także o swoich pierwszych latach szkolnych — które odbył w zakładzie o.o. jezuitów, z czego się chlubi.

Opuszczając zakład siostrzeński, spojrzał na niedokończoną drogę, a obecny feitor (dozorca robotników), dodał, że niemal od dwu miesięcy niema już roboty, którą przerwano.

Dziwił się wielce temu prefekt i przyrzekł, że sprawę zaraz pomyślnie załatwi. Wspomniały i siostry o połączeniu nowej drogi z zakładem. I to będzie zrobione, odpowiedział.

Skutek był ten, że nazajutrz rozpoczęto dalsze roboty przy drodze, a siostry już mają połączenie z główną drogą, choć tę dopiero w dalszym ciągu robią.

To ramię boczne drogi do zakładu siostrzeńskiego, tworzy piękną aleję, którą niegdyś obsadziłem cyprysami. Podoba się ona gościom odwiedzającym zakład tutejszych sióstr.

Podano projekt, aby tę aleję, nazwać aleją świętego Józefa, bo prowadzi do zakładu św. Józefa; pierwszy fundator tej szkoły był Józef Preiss, a obecny proboszcz, który tę aleję sadził podobno też nazywa się Józef. Niech więc i tak będzie...

X. arcybiskup kurytybski w Abranches (Erekcja parafii). — W marcu 1936 roku objął nowy arcybiskup don Attico Eusebio da Rocha zarząd arcydiecezji kurytybskiej. Poprzedni arcybisknp don Joao Braga z powodu choroby prosił o zwolnienie Stolicę Apostolską. Prośbę jego uwzględniono i zmarł b. r. (1937) w sanatorium Petropolis.

Nowy arcybiskup zabrał się dzielnie do pracy. Odbywa liczne wizytacje bliższych i dalszych parafii i ustanawia nowe parafie. Odnosi się to i do nas podkurytybskich parafii polskich, które nazywano „parafiami“ lecz de facto nie były. Dopiero X. arcybibiskup da Rocha w porozumieniu z X. wicewizytatorem Bronnym, określił granice i wydał akt erekcyjny parafii w Abranches, św. Kandydzie, Orleansu i Tomaz-Coelho. Włosi, a właściwie księża włoscy, robili różne trudności, żeby ich koloniści nie należeli do

polskich parafii (Abranches i Orleansu). X. arcybiskup jednak nie bardzo zważał na delegację i prośby z podpisami, przeprowadził swoją wolę.

Na podstawie aktu erekcyjnego parafia świętej Anny w Abranches straciła dwie kolonie polskie (około 60 rodzin) a zyskała dwie włoskie kolonie (Pilarzinho i Gabriela) i wszystkich rozrzuconych Włochów, Brazylian i Niemców, mieszkających w obrębie ustanowionej parafii. Nowo utworzona polsko - brazylijska parafia św. Anny w Abranches posiada więc ludność mieszaną o różnej narodowości i to w znacznie większej liczbie, niż poprzednio. Do zarządu tej parafii przybyły cztery kaplice: dwie włoskie, dwie brazylijskie, a jedną polską posiadała dawniej. W dwóch brazylijskich kaplicach odprawiają się tylko doroczne uroczystości, czyli tak zwane „festy“, natomiast we włoskich i polskiej trzeba nabożeństwa w oznaczonym czasie odprawiać.

Nadto mam każdą niedzielę i święto podwójne nabożeństwo w kościele parafialnym w Abranches: o 8 godzinie z kazaniem brazylijskim i o 10 godzinie sumę z kazaniem polskim, a o 4 po południu błogosławieństwo Najśw. Sakramentu.

Dla całości wspomnę, że mamy w Abranches różne stowarzyszenia kościelne, jak Dzieci Marii (oddział polski i brazylijski), Matek Chrześcijańskich, Żywego Różańca na wszystkie stany — i stowarzyszenie św. Stanisława Kostki dla chłopców, przed rokiem założone. Każdą niedzielę mam jakieś zebrania z przemową w języku polskim lub brazylijskim. Kazań i przemów w języku polskim i brazylijskim wygłoszono przeszło 170 w Abranches i kaplicach.

Brak mi na wszystko czasu i sił, boć już starożytni Rzymianie mawiali: „Nec Hercules contra plures!“. A w dodatku „starość — nie radość“... przydałby mi się stały pomocnik, zwłaszcza na niedzielę i święta, bo wtedy i wiele spowiedzi. W r. 1936 i 37 było Komunii św. około 13 000 w Abranches.

Wprawdzie pomagają mi nasi konfratrzy z Kurytyby — ale ta pomoc jest niedostępna, a często i niewystarczająca.

X. arcybiskup obiecał mi, że będzie we wrześniu (1937 r.) w Abranches bierzmował i wizytował parafię. Tymczasem nie składało mu się i nie przybył w tym miesiącu. Nam chodziło o to,

aby przybył przed 15 listopada, przed zakończeniem roku szkolnego, by dzieci internatowe mogły go powitać. Byłem u niego w tej sprawie i udało mi się wyjednać jego przyjazd na niedzielę 7 listopada, tydzień przed zakończeniem roku szkolnego.

Witaliśmy go uroczyście przy bramie triumfalnej, nad którą widniał napis: Boas vindas! „Serdecznie witamy". Tamże jedno z Dzieci Marii witało go przemową i wręczyło bukiet. X. proboszcz witał X. arcybiskupa stosownie według przepisów kościelnych w bramie kościoła, przy wejściu.

X. arcybiskup odprawił czytaną mszę świętą; następnie przemówił serdecznie do ludzi.

Po śniadaniu nastąpiło bierzmowanie, a potem obiad.

Skoro obiad się skończył przybyły Siostry, wicewizytatorka Olsztyńska i służebna Goniakowska powitać arcybiskupa i zaprosić do zakładu, gdzie go dzieci internatowe powitały przemową, śpiewem i korowodami. Wszystko wypadło bardzo pięknie.

Na zakończenie przemówił X. arcybiskup, udzielił błogosławieństwa i rozdał dzieciom medaliki. Spieszył się z odjazdem, bo na 3 godzinę miał już stanąć w Kurytybie.

Dr profesor Jurasz z Poznania w Abranches. — Nasza parafia Abranches posiada najstarszą kolonię w Brazylii; jak Pilarzinho (1871) i samo Abranches (1873); znajduje się w pobliżu Kurytyby, wchodzi w jej przedmieścia; posiada największy zakład polski naszych Sióstr w Brazylii Południowej; posiada piękne widoki na Kurytybę i góry nadmorskie, to też bywa chętnie odwiedzane przez tutejszych gości kurytybskich i naszych rodaków z Polski. Mamy tu częste przyjęcia. Goście zwykle sami przychodzą do nas często niespodziewanie, bez zaproszenia.

Jednakże wszyscy goście, nawet z Polski, nie zasługują na równie serdeczne przyjęcie; niektórzy z nich mają szczególniejsze prawo do naszej czci i szacunku. Do nich należy dr profesor Jurasz z Poznania i jego małżonka.

W kwietniu i maju 1936 roku, z ramienia rządu polskiego przybył profesor Jurasz, światowej sławy operator, do Brazylii wraz ze swą małżonką i miał odczyty na uniwersytetach w stolicy brazylijskiej, Rio de Janeiro, w Sao Paulo i w Kurytybie. W ten

sposób wielce się przyczynił do wsławienia naszego narodu w świecie uczonym tutejszych medyków.

Profesor Jurasz będąc w Kurytybie, znalazł kilka godzin wolnego czasu; przybył uproszony wraz z małżonką, w towarzystwie pana Konsula Gieburowskiego i jego żony do Abranches w niedzielę 10 maja 1936 roku. Serdecznie witaliśmy tak zacnych i miłych gości wszyscy: Siostry, X. proboszcz i cały internat śpiewem i wierszykami.

Pan Jurasz zwiedził zakład siostrzeński, dom towarzystwa, był na plebanii wraz z całym towarzystwem na kawie u X. proboszcza.

Gdy zadzwoniono na majowe nabożeństwo, zaproponowały panie: „My też zostaniemy i pójdziemy do kościoła". Ich przykładne zachowanie się w kościele zrobiło dobre wrażenie na lud. Goście zaś wyrażali się, że śpiewy i majowe nabożeństwo, to wszystko tak jak w Polsce.

Pan Jurasz robił liczne zdjęcia fotograficzne zakładu, kościoła, plabanii, dzieci i kolonistów, aby mieć pamiątkę z Brazylii. Przysłał mi nawet fotografie, za co jestem mu bardzo wdzięczny.

Nasze Siostry i ja dziękowaliśmy zacnym gościom z Poznania za liczne pozdrowienia Sióstr z Polski i za wizytę. Nie często mamy tak miłe i urocze odwiedziny z Polski.

X. Józef J. Góral, C. M.

Iraty, 200-lecie kanonizacji św. Wincentego.

Dnia 16 czerwca 1937 r. upłynęło 200 lat od owej chwili, gdy wdzięczna ludzkość wystawiła św. Wincentemu pomnik nad spiż i granit trwalszy: Namietnik Chrystusowy wyniósł Go na ołtarze. I cześć świętego zabiła żywszym tętnem, zatoczyła szerszy krąg. Tak było i w Irati podczas uroczystego *triduum*.

A Irati to taka sobie mieścina brazylijska, rozłożona na pagórkach, górach i w wąwozach. Ot taka *mutatis mutandis* Czerna plus godność miasta municypialnego, co się wykłada powiatowego. Pod względem kościelnym Irati jest parafią w kształcie podejrzanego prostokąta 40×80 km. Gorzej z podaniem liczby dusz; będzie ich grubo ponad 20 000, w czym jakieś 4 000 polskich. Proboszczem jest od r. 1931 X. Paweł Warkocz, C. M. Z dwoma

(NB. od maja 1937) konfratrami obsługuje w mieście 2, a po koloniach 23 kościoły. Oprócz probostwa spotykamy w Irati jeszcze 2 placówki wincentyńskie, małe seminarium prowincji brazylijskiej i kolegium, prowadzone przez polskie SS. Miłosierdzia. Otóż te 3 instytucje urządziły w dniach 18, 19 i 20 czerwca 1937 uroczysty obchód 200-lecia kanonizacji swego Ojca. Wspólny duch, wspólny cel, wspólny wysiłek, choć jego *gros* spoczęło na X. superiorze seminarium.

Uroczystości pierwszego dnia odbywały się w obszernym ogrodzie małego seminarium. Pogoda, choć zachmurzona, nie stanęła ostatecznie na przeszkodzie. Miejsce efektownie przystrojone za pomocą kolorowych trocin, girland i zieleni. Na fasadzie zaś samego gmachu, który zda się królować całemu miastu, widniała wśród wstęg, kilimów i kwiecia statua św. Wincentego.

Sumę z asystą celebrował X. proboszcz P. Warkocz, C. M. Śpiewy gregoriańskie i polifoniczne wykonali zę współudziałem X superiora, dyrektora i oberkapelana małoseminarzyści. Jest ich niespełna 40 (w tym 35%, Polaków), a jednak mają dobrze obsadzoną orkiestrę dętą, której dźwięki przed zaczęciem i po skończeniu nabożeństwa się rozlegały. Słowo Boże o życiu św. Wincentego wygłosił X. Santos, C. M. Dzień ten był owiany atmosferą raczej rodzinną. To też w nabożeństwie brało udział nie wielu świeckich. Ta sama atmosfera cechowała i nabożeństwo popołudniowe, odprawione również przez X. proboszcza. Kazanie miał X. Fontaine, C. M.

Według programu, drugi dzień był dniem kolegium i Pań Miłosierdzia. Ośrodkiem nabożeństw był polski kościół pod wezwaniem św. Michała. Suma o godz. 11 przy tak licznym udziale polskich kolonistów, jakby to była niedziela a nie dzień sobotni. Kościół nie był przepełniony, to prawda, bo już przedtem były 2 msze św. Nie wchodziły one w ramy uroczystości, ale wymienić je trzeba z tego względu, że i w czasie nich świątynia nie była bynajmniej pusta; do samej komunii św. przystąpiło najmniej 150 osób. Prawda, byli i mieszczanie, ale w tym dniu to raczej prosty kolonista skupiał się u stóp Syna wsi, wyniesionego na ołtarze i śpiewał w ojczystym języku hymn ku czci swego świętego współbrata. Z ambony rozlegała się także ta wdzięczna

mowa, gdyż X. proboszcz pouczał zebranych, iż św. Wincenty głównie przez pokorę i pobożność doszedł do takiej wielkiej świętości. X. P. Warkocz też miał uroczystą sumę. I tak tchnęło tu wszystko tradycją i duchem dalekiej Ojczyzny.

Tymczasem kolegium a tym więcej Panie Miłosierdzia mają charakter brazylijski. Z tego względu, bo zresztą i Polaków było już mniej, odprawił o godz. 17 X. superior Pires tzw. nowennę, tzn. wystawienie Najświętszego Sakramentu, podczas którego Dzieci Marii odśpiewały łacińskie pieśni. Po schowaniu Najświętszego Sakramentu wszedł na ambonę X. Moreira C. M. i trzymając za przykładem swego Ojca krzyż w ręku, dowodził, że św. Wincenty uświęcił się przez miłość, którą czerpał z krzyża Chrystusowego. Jeszcze pieśń — i nabożeństwo skończone.

Jeszcze drobnostka — sam kościół. Choć drewniany, ale obszerny, ładnie wymalowany, choć bez wieży (materiał jest, tylko czekać robotników). W dniu tym zwisał z sufitu nad ołtarzem piękny obraz św. Wincentego i proporcjonalnie w prezbiterium umieszczony napis: *Sancte Vincenti, pater pauperum, ora pro nobis.* I gdy wieczorem nastał w kościele mrok, a tylko prezbiterium było oświetlone, miał człowiek wrażenie czegoś nadzwyczajnego, cudownego tła do słów kaznodziei.

Ale niemniej pięknie i naprawdę godnie wypadła niedziela, trzeci i ostatni dzień *triduum.* Wszystko skupiało się w *matriz* (kościół farny), a raczej w obszernych murach, budującego się kościoła parafialnego, bo też w tym dniu hołd dziękczynienia składała cała parafia, całe Irati. Od świtu spowiada 3 księży, bo o 8 wotywa z generalną komunią św. Przy ołtarzu X. proboszcz. I naprawdę niecodzienny widok, gdy po niepokalanej białości chleb anielski zbliżają się szeregi synów i córek św. Wincentego, wychowanków seminarium i kolegium, Pań Miłosierdzia i Apostolstwa Modlitwy, Dzieci Marii i wiernych, wśród których nie brakuje młodzieńców. Rozdano ponad 250 komunij św. Kto nie zdążył przyjąć Pana Jezusa na pierwszej mszy św., przyjął Go na drugiej.

O godzinie 10 uroczysta suma, celebruje X. superior Pires. Msza na głosy, wykonana przez chór parafialny (cz. Dzieci Marii). Pogoda doskonała i przestrzenne mury o mało byłyby się oka-

zały za szczupłe; tej niedzieli nie było nabożeństwa w polskim kościele. Do tych licznych rzesz przemówił po ewangelii X. Pecheco C. M. na temat niedościgłej działalności świętego w dziedzinie miłosierdzia chrześcijańskiego. Zaraz też po nabożeństwie Panie Miłosierdzia rozdały ubogim parafii przygotowane dary. Niewątpliwie doskonały akt uczczenia Ojca ubogich.

Lecz nie na tym koniec, bo nie wszyscy rozjechali się do domów. Czekają na procesję, bez której nie można sobie wyobrazić w Brazylii prawdziwej festy. I już przed godz. 16 orkiestra małoseminarzystów zwoływała wiernych. Stawili się licznie i rozwinęła się piękna procesja. Za krzyżem szła dziatwa i chorągwie; dalej niewiasty i chór; zaraz figura św. Wincentego, X. proboszcz z asystą, wreszcie orkiestra i mężczyźni. Pomijam szpaler na ulicach miasta. W pochodzie naprzemian grała orkiestra, chór śpiewał, modlili się wierni na głos. A gdy procesja wróciła do budującego się kościoła, którego gołe mury ozdabiała zieleń bambusów, nastąpiło wystawienie Najświętszego Sakramentu i błogosławieństwo. Po schowaniu Najśw. Sakramentu kazanie X. superiora, że św. Wincenty, choć umarł tak święcie, jak żył, jednak i dziś żyje przez swe dzieła, przez swego ducha. Skończone. Następuje adoracja relikwij Świętego: za księżmi w liczbie pięciu wszyscy wierni z pokorą je całowali. W tym czasie chór, seminarzyści i księża odśpiewali kościelny hymn ku czci św. Wincentego. A słuchając tej wzniosłej pieśni, odczuwało się, że naprawdę „Dziś triumf w niebie wpośród chwały mnóstwa“, ale także tu na ziemi, tu w Irati Ojciec ubogich i Patron sierot odnosi nowy triumf, triumf swego ducha.

Zakończenie: *Te Deum* na polską melodię w hołdzie Temu, który „jest dziwny w świętych swoich“.

Chiny.

J. M. J. Wenchow, 5 listopada 1937 r.

Przewielebny Księże Superiorze!

Nie wpadła mi do kałamarza bomba chińska, więc spokojnie piszę ten liścik. Wśród ciszy orzemy po zagonach ewangelicznych, bo śliczna jesień sprzyja temu znakomicie. X. Bąba, przydzielony do sąsiedniej parafii, biegał od kaplicy do kaplicy i wreszcie prze-

kroczył miedzę i znalazł się u nas. Obleciał 14 kaplic. Miał u nas odpocząć, ale nawet w nocy (właśnie o tej porze przyjechał) nie spał, tylko X. Wieczorkowi opowiadał swoje przygody aż do rana, a potem z X. Ciemałą ruszył do innych kaplic. Co za „ajfer“! Ale zdarzyło się, że X. Ciemała zaraz w pierwszej kaplicy dostał ataku malarycznego i musiał wrócić do Wenchow. A X. Bąba dalej prowadzi misje razem z ministrantem i katechistą. W ten sposób zdobył rekord między nami, bo aż 23 kaplic bez przerwy postanowił zwiedzić. Nie dziwię się, bo zdrowy z niego mężczyzna, a bary takie ma szerokie, że płuca swobodnie się w nich mogą rozrastać. Kusociński nie dałby mu rady. Kilometry i wysokie góry połyka jak miski ryżu. Jak przyjedzie, damy mu „monitum“, żeby się hamował w początkowym zapale.

Równocześnie wybrałem się z X. Sawickim do czterech kaplic. Przygody spisałem i powstał z tego artykuł, który tu załączam i proszę o umieszczenie go na łamach „Rocznika Obydwu Zgromadzeń“.

Skoro nam w Wenchow Japończycy nie grożą, zabrałem się do zorganizowania stowarzyszenia Akcji Katolickiej dla młodzieńców. Ale jest w nim wielki błąd: nie ma żadnych prawie atrakcyj. W salce księży jest aparat do wyświetlania filmów Pathé-Baby (9 mm 5). Brak nam niektórych filmów. W Shanghaju trudno kupić, bo firmy odnośne zamknęły biura i wyniosły się z braku zarobku. Może X. Superior zna jakich posiadaczy takowych filmów, którzyby za wspaniałomyślną protekcją X. Superiora ofiarowali nam te filmy. Będzie to dla młodzieńców wielkim „radośnikiem“! Fotografie ich załączam. Twarze wyglądają jak po trzęsieniu ziemi, ale X. Superior jako psycholog zauważy natychmiast, że sympatyczne dusze z nich wyzierają. Obecnie mam ich przeszło 30. Ubranie wskazywałoby, że to klerycy, a tymczasem to są ich sławne togi, jedwabne a bardzo tanie! Czy nie warto ich wesprzeć?

A pocztę jakąkolwiek można śmiało wysłać do nas, bo choć Japończycy zablokowali i Wenchow, to jednak okręty angielskie mogą do nas przyjeżdżać z towarami itd.

Co słychać z Bratem Władysławem, zabranym do niewoli najprawdopodobniej przez komunistów — dotąd nie wiadomo

chociaż to już miesiąc jutro upływa jak go zabrali, bo któż tam mógł wtedy być u biskupa w Sheng-tingfu jak nie on. Pracował w jego winnicy i języka tamtejszego się uczył.

X. superior Kurtyka bał się, by dolar chiński nie spadł, a tym samym i polskie jałmużny, dotąd uzbierane, więc buduje nowy dom dla księży, tak, że nowi przybysze będą mieli gdzie mieszkać, tylko niech ich jak najwięcej przyjedzie! A pieniędzy niech też ze sobą dużo przywiozą i takich dobrodziejów niech tam sobie pozyskują, którzyby wspomagali stale naszą misję, bo i X. Biskupowi w Ningpo nie sypią się tak franki jak przedtem. Grozi, że za jedzenie w następnym roku będziemy musieli my Polacy zapłacić... Ufać jednak należy Bogu.

Święta bliskie. Spieszę z najszczerszymi życzeniami. Niech już od pierwszej sekundy nowego roku towarzyszy Przewielebnemu X. Superiorowi błogosławieństwo Boże w odpowiedzialnych obowiązkach. Wszystkim Księżom współpracownikom tego samego życzę.

Podobno jakiś kandydat na księdza z Bogucic (Katowice II) zgłosił się do Waszego Seminarium. Niech mu Bozia błogosławi. Pozdrowienia serdeczne dla wszystkich kleryków proszę łaskawie zakomunikować ode mnie. Możeby oni nawiązali jakąś pożyteczną korespondencję z nami. Gdy będą potem na parafiach, będą umieli nas wspomagać. Co o tym myśli X. Superior?

Kończę te poufne rozmowy. Znów się nazbiera niedługo dużo wiadomości, i wtedy podzielę się nimi w najbliższym liście.

Proszę o kilka paciorków za siebie i za moich kompanów.

Niech i to pisanie świadczy o mej wdzięczności, jaką żywię dla X. Superiora za wyświadczone dobrodziejstwa — wdzięczny

X. Łukasz Sitko.

WSPOMNIENIA.

Ś. p. Siostra Wanda Maria Emilia Bzowska,
Wizytatorka SS. Miłosierdzia Prowincji Krakowskiej

(zmarła w Krakowie 19. IV. 1937 r. w wieku lat 59, powołania 39).

„Wszystko i we wszech Chrystus" — ta dewiza św. Pawła stała się też myślą przewodnią życia ś. p. najczcigodniejszej siostry Wandy Marii Emilii Bzowskiej, wizytatorki SS. Miłosierdzia prowincji krakowskiej. Najpierw od najwcześniejszego dzieciństwa ćwiczyła w tym duchu maleńką Wańdzię matka, kobieta wielkiego serca i umysłu, katoliczka w życiu i czynach. Pobyt w rodzinnych Goryczanach, w ziemi sandomierskiej, gdzie ś. p. najczcigodniejsza siostra wizytatorka ujrzała światło dzienne 24 lipca 1877 r., trwał niedługo. Lata dziecięce i młodzieńcze upłynęły jej w Kielcach, dokąd przenieśli się pp. Bzowscy — jej rodzice. Kochana bardzo jako jedyna córka (miała bowiem tylko 4 braci), a także dla pełnej wdzięku żywości i serdecznej otwartości, zwracała uwagę dużymi zdolnościami umysłowymi. Roztropni rodzice starali się je odpowiednio rozwinąć, jednakowoż ze względu na stosunki szkolnictwa pod zaborem rosyjskim, wybrali dla swej jedynaczki wykształcenie domowe. Matka szczególnie dbała o urobienie w żywej, inteligentnej dzieweczce charakteru prawdziwej córy rzymsko-katolickiego Kościoła. Mimo istnienia kordonu granicznego przywoziła ją do Krakowa, prowadziła na uroczyste nabożeństwa kościelne i nieraz ś. p. najczcigodniejsza siostra wizytatorka wspominała, jak ta ukochana matka w katedrze wawelskiej stawiała ją maleńką na ławce, pokazywała i tłumaczyła ceremonie kościelne.

Państwo Bzowscy, odpowiednio do zajmowanego w Kielcach stanowiska, prowadzili dom otwarty i późniejsza siostra mi-

łosierdzia musiała z konieczności dużo bywać w świecie. Może też i były chwile, kiedy energiczny charakter młodej p. Wandy znajdował w życiu towarzyskim ujście dla swego bujnego temperamentu, w każdym razie każdego kto baczniej się jej przyjrzał, uderzał wyraz oczu, zdających się mówić, że nie dla tego świata są stworzone. Takimi spostrzeżeniami dzielił się ze znajomymi, już po śmierci ś. p. siostry Bzowskiej, jeden z dalekich jej krewnych, a zdanie to w zupełności potwierdza fotografia z młodych lat ś. p. Wandy Marii, którą z pietyzmem przechowują jej braterstwo. Widać na niej młodą, może 20-letnią osobę bez żadnej pozy, patrzącą w świat śmiało, ale jakby z jakimś smętkiem i zdaje się, jakby te oczy wpatrzone kędyś w zaświaty, szukały innego życia, choć otaczał je i przyciągającą siłą młodości zagarnąć usiłował, rozbawiony rozgwar świata.

Mieszkanie państwa Bzowskich niezbyt było oddalone od szpitala św. Aleksandra w Kielcach, a młodziutka p. Wanda niemal codziennie przybiegała na Mszę św. do kaplicy szpitalnej; nigdy też nie opuściła nabożeństwa majowego i czerwcowego. Siostry znały ją z widzenia, lecz nie przypuszczały, by ta wypieszczona i wymuskana panienka miała zostać Siostrą Miłosierdzia. A jednak Pan Bóg Wszechmogący wybrał ją dla siebie.

Usłyszawszy wołanie Boże, 21-letnia elegancka p. Wanda nie zwlekała i zwróciła się do S. Nowickiej, ówczesnej Przełożonej Szpitala św. Aleksandra w Kielcach z prośbą o przyjęcie. Spotkała się jednak z surową rezerwą zacnej Przełożonej i usłyszała wywołane swym strojnym wyglądem słowa: „Proszę pani, zdaje się, że nie mamy o czym mówić, sama powierzchowność pani wskazuje, że myśli czym innym są zajęte i nie wiem czy byłaby pani zdolna zupełnie wyrzec się świata“. Z natury bardzo subtelnej, młodej postulantce musiał sąd taki sprawić dotkliwą przykrość; ale ona już w duchu szła śladami Chrystusa, to też w kilka dni po powyższej rozmowie, zjawiła się znowu w rozmownicy SS. Miłosierdzia zewnętrznie zupełnie przeobrażona, w prostej sukience bez śladu dawniejszej strojnej elegancji. Na zapytanie S. Służebnej o zdanie rodziców w tak ważnej sprawie, odpowiedziała z prostotą: „Mamusia by pozwoliła, ale ojciec słyszeć nie chce, obiecuje, że pozwoli jak będę miała 24 lat“. „Ja byłabym zdania ojca“

odrzekła S. Przełożona szpitala jeszcze niezbyt przekonana. P. Wanda musiała zatem znowu powrócić do domu bez upragnionego wyniku, udało jej się tylko zdobyć adres S. Wizytatorki w Warszawie i tam też skierowała listownie swą prośbę. Uprzedziła ją jednak S. Nowicka, a opinia cenionej w Warszawie S. Służebnej, co do światowości młodej kandydatki, przeważyła i S. Wizytatorka odmówiła przyjęcia. Wtedy p. Wanda usilnymi naleganiami uzyskała od S. Nowickiej pozwolenie odwiedzania ochronki dla sierót. Odtąd długie godziny przepędzała wśród dziatwy, starając się w miarę możności pomagać Siostrom. Nie zrażała jej żadna praca, z zapałem chwytała się zajęć, do których nie była przyzwyczajona. Kiedy widząc ją obierającą kartofle, któraś z Sióstr zauważyła, że szkoda rąk, p. Wanda odparła z prostotą: „paluszki także będą dla P. Jezusa". Nie mógł takiej ofiarnej duszy P. Jezus dłużej trzymać zdala od Swej wyłącznej służby, więc też na ponowną prośbę o przyjęcie, S. Wizytatorka warszawska odpowiedziała przychylnie ku niezmiernej radości postulantki. Upłynęło jednak jeszcze dwa lata zanim państwo Bzowscy ostatecznie zgodzili się na rozstanie z jedynaczką. Próbowali jak dawniej rozerwać ją zabawami, ale ostatnia balowa suknia poszła na ornat do kościoła, a p. Wanda wstąpiła do Zgromadzenia SS. Miłosierdzia w Warszawie.

W postulacie w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, młodą kandydatkę przydzielono do pomocy Siostry w kuchni. Z głębokim rozradowaniem przyjęła to przeznaczenie. Cechowała ją pobożność, uległość, zamiłowanie pracy, czyli te cnoty, które święta Matka nasza zalecała pierwszym Siostrom naszym dla uczczenia życia ukrytego Chrystusa Pana. Z obojętnością właściwą świętym wykonywała otrzymane polecenia. Raz Siostra kuchenna poleciła jej wykonać jakąś pracę w spiżarni i przez nieuwagę zamknęła na klucz pracowitą postulantkę. P. Wanda ze spokojem pracowała dalej, — zapadł wieczór — nikt nie przychodził jej uwolnić, mimo to spokoju nie traciła, z humorem traktując swe przypadkowe uwięzienie. Dopiero dość późno S. Służebna spostrzegła nieobecność postulantki i poszukiwania przypomniały Siostrze kuchennej, że wyznaczyła jej zajęcie w spiżarni. Udano się tam i zastano p. Wandę przy pracy.

Seminarium spędziła młoda Siostra w ciszy, spokoju i skupieniu. Ona naprawdę tak jak zalecała św. Ludwika de Marillac swym córkom, przyszedłszy do tego świętego zacisza „oddała się Bogu, by mu pozwolić na działanie, które zwykł rozwijać w duszach należycie usposobionych". To też Boski Mistrz nie przestawał zlewać do jej serca potoków łask, oświecać i zapalać do cnoty. Późniejsze życie okazało, że nie odmówiła Mu swej wiernej współpracy, a chcąc iść za Panem Jezusem, dźwigała mężnie swój krzyż i zaparła się samej siebie.

Otrzymawszy św. Suknię w 1901 posłana została S. Bzowska do szpitala w Piotrkowie i jako S. Emilia przeznaczona na oddział chirurgiczny. Skupiona i gorliwa, prawie z lękiem strzegła swego życia wewnętrznego, do nowej dla siebie pracy szpitalnej przystępowała bez zarozumiałości, owszem z pewnym onieśmieleniem, co początkowo lekarz szpitalny poczytał za dowód ograniczoności umysłowej. Bardzo prędko jednak spostrzegł swą pomyłkę i był zawsze z największym uznaniem dla S. Emilii, podziwiając jej poświęcenie i darząc zaufaniem.

S. Emilia była nadto apostołką Cudownego Medalika, za miłość i ufność Najświętsza Panna płaciła jej rozlicznymi łaskami. Pewnego razu w 1905 naczelny lekarz piotrkowskiego szpitala dla spełnienia obowiązków swego zawodu, musiał wyjechać z miasta podczas, kiedy własna jego żona i mała córeczka leżały ciężko chore. Na czas swej nieobecności uprosił sobie u S. Służebnej szpitala, że siostry czuwały będą nad najbliższymi mu istotami. Obowiązek ten spadł na S. Emilię. U małej córeczki lekarza Wańdzi, był stan bardzo groźny, ciągłe konwulsje zdawały się mówić o bliskim końcu, sam ojciec wyjeżdżając był o tym przekonany i zalecił narkotyzować małą, by uśmierzyć jej cierpienia. S. Emilia pełna ufności w Swą Niepokalaną Matkę i w potęgę Cudownego Medalika, pocieszała stroskanego ojca, że Matka Boża uzdrowi dziewczynkę. Lekarz, człowiek religijnie obojętny nie bardzo temu wierzył. Po jego wyjeździe, S. Emilia na łóżeczku dziecka zawiesiła medalik i gorąco prosiła Najśw. Dziewicę o zdrowie maleńkiej. Została też wysłuchana. Konwulsje nie powróciły — dziecko usnęło spokojnie — po przebudzeniu wypiło podany napój, a po paru godzinach, widać było znaczne polepszenie. Po tygodniu

dziecko zupełnie dobrze się czuło, z choroby nie zostało ani śladu. Lekarz z wdzięczności za uzdrowienie ukochanej córeczki, sprawił do kaplicy szpitalnej biały ornat z wyobrażeniem Najśw. Panny od Cudownego Medalika.

S. Emilia kochała swych chorych, służyła im troskliwie i umiejętnie, gotowa zawsze spełnić każde polecenie tych, którzy mieli prawo jej rozkazywać. I tak na słowo S. Klotyldy Milewskiej swej S. Służebnej, podjęła się w szpitalu w Piotrkowie w czasie nieobecności lekarza trudnego zabiegu, by tylko uratować ubogim rodzicom, ukochane dziecię. Bóg pobłosławii jej czystej intencji, dziecko wyzdrowiało, a cała sprawa nabrała niepotrzebnego rozgłosu i jeszcze w kikanaście lat potem, w wykładach na warszawskim kursie pielęgniarskim, miał podobno wspominać o tym jeden z prelegentów, wyrażając się z uznaniem o postępowaniu dzielnej siostry.

W Piotrkowie też spotkała się S. Emilia po raz pierwszy z pracami XX. Misjonarzy, bo po edykcie tolerancyjnym tu w Piotrkowie głosili Misjonarze 17—23. II. 1907 r. misje, które głęboko jej się zapisały w sercu.

W ciągu 6-cioletniego pobytu w szpitalu w Piotrkowie — poza salami chirurgicznymi, S. Emilia pielęgnowała też chorych na innych oddziałach, przez jakiś czas była w pralni, a w kuchni chętnie w razie potrzeby pomagała i zastępowała Siostrę kuchenną. orientowała się szybko i doskonale się wywiązywała.

W r. 1907 odwołano S. Bzowską do Warszawy. Pracowała wtedy króciutko w szpitalu św. Ducha, a następnie kilka miesięcy w ambulatorium szpitala św. Feliksa na Woli. W wyniszczonych postaciach ubogich chorych widziała Pana Jezusa, bo ona Boga tylko szukała. Toteż, kiedy nikt nie zwracał uwagi, usługiwała swym chorym na klęczkach. Nie kładła granic poświęceniu, ale najdokładniej zachowywała Reguły, to ustrzegło ją od zgorzkniałego zdenerwowania i utrzymało miłą swobodę ducha, a przecież często upadała ze znużenia, raz przyznała się sama, że w czasie nocnego czuwania usnęła chodząc i bezwiednie znalazła się przy kaplicy.

W r. 1908, choć miała dopiero 8 lat powołania, Przełożeni przeznaczyli ją na S. Służebną do szpitala św. Tadeusza w Łowiczu.

Panowały tam naprężone stosunki, sprawiające wiele kłopotu S. wizytatorce warszawskiej. Lekarz naczelny był dla sióstr nieprzychylny, nie cofał się nawet przed posądzeniem ich o nieuczciwą gospodarkę dobrem ubogich, używał słów obelżywych źle usposabiał chorych i służbę. Naczelnik powiatu rosjanin i kurator szpitala ewangelik wierzyli całkowicie ordynatorowi szpitala i nie szczędzili Siostrom przykrości. W takich warunkach znalazła się tam S. Bzowska; naznaczona S. Służebną, była zarazem najmłodszą siostrą w domu. Można sobie wyobrazić ile musiała posiadać cnoty i taktu. S. Bzowska umiała prosić nie rozkazywać — uczyć własnym przykładem, a nie przez nakazy — umiała nade wszystko całkowicie o sobie zapomnieć i w całej prawdzie stała się „mułem" Zgromadzenia. Usługiwała wszystkim siostrom — sprzątała, była bardzo wyrozumiała, dodawała odwagi, pocieszała i pomagała. W stosunku do lekarza uciekła się do swej zwykłej broni: gorącej modlitwy do Najświętszej Panny i do Cudownego Medalika. Postanowiła, że p. doktor musi nosić medalik. Ale jak mu go wręczyć?... wprost... to nie przyjmie. Skorzystała zatem ze sposobności i jednego dnia, kiedy operował jakiegoś chorego, Siostry pozaszywały mu medaliki nieznacznie pod podszewkę kapelusza, płaszcza i marynarki. Przy zmianie pory roku, powtórzyła się ta sama historia tak, że po paru miesiącach lekarz naczelny miał już więcej niż pół tuzina medalików pozaszywanych w swym ubraniu. Naturalnie Najświętsza Panna nie zawiodła ufności młodej S. Służebnej. W krótkim czasie lekarz zmienił się nie do poznania — był pełen uszanowania i z największym uznaniem dla Sióstr. Naczelnik powiatu, który często bywał w spitalu, zdziwiony tą zmianą powtarzał łamaną polszczyzną: „Tak powiedzcie mienia, szto się doktoru stało?"

Miała więc S. Bzowska za co dziękować Matuchnie Najśw., kiedy w 1909 po raz pierwszy przestąpiła progi Cudownej Kaplicy Ukochanego Domu Macierzyńskiego w Paryżu.

Ubodzy chorzy byli ukochanymi panami S. Bzowskiej. Dla nich szły pierwsze owoce, w dnie świąt, kiedy w refektarzu pojawił się jakiś dodatek, zawsze musiano przygotować kilka porcji więcej dla najsłabszych ubogich, bo inaczej S. Starsza nie byłaby nic do ust wzięła. Kiedy raz jedna z Sióstr przyniosła świeżo zer-

wane truskawki, S. Bzowska zapytała czy chorzy już mieli. Dowiedziawszy się zaś, że to są dopiero pierwsze, odrzekła: „No to te pierwsze będą dla chorych, a my zaczekamy na drugie".

Upływało już 5 lat pobytu w Łowiczu; tymczasem kochana i szanowana S. Służebna zaczęła zapadać na zdrowiu, a lekarze zalecili zmianę powietrza. Przełożeni zatem postanowili ją przenieść. Ponieważ raz wyraziła życzenie, by mogła pracować nad wychowaniem dzieci, przeznaczono ją z końcem 1913 r. do Płocka, do Zakładu dla dzieci zwanego „Stanisławówką".

Była to dość trudna placówka, bo trzeba było zadowolić bardzo wymagającego założyciela zakładu X. Prałata Stanisława Lasockiego. Poprzedniczkom S. Bzowskiej nie bardzo się to udawało. Przez kilka ostatnich miesięcy nie było w zakładzie S. Służebnej. O życzeniu Przełożonych dowiedziała się S. Bzowska bezpośrednio przed świętami Bożego Narodzenia. Jak zawsze, widząc w tym wolę Bożą, bez żadnych pożegnań, po cichu, by nie wywołać protestów, wyjechała 23 grudnia.

Swym bohaterskim posłuszeństwem przywiozła błogosławieństwo Boże do Płocka. W trzy tygodnie po jej przyjeździe, X. Prałat Lasocki listownie dziękował S. Wizytatorce Sikorskiej za jej przysłanie w słowach: „robi wrażenie kobiety roztropnej, rozumnej, inteligentnej, ścisłej obserwantki reguł, taktownej, z wielkim sercem". Dla dzieci stała się najtroskliwszą matką. Oto co pisze jedna z Sióstr: „Miałam sposobność poznać S. Bzowską, gdy jako świecka panienka, zwiedzałam Stanisławówkę. W umyśle moim niezatarte wspomnienie pozostawiła jej słodycz i uprzejmość, a pełen prostoty i serdecznej swobody sposób obcowania z dziećmi, nadawał całemu zakładowi cechę miłego domu rodzinnego. „Z największą gorliwością pracowała nad Stowarzyszeniem Dzieci Marii, a Matka Najświętsza widocznym błogosławieństwem nagradzała jej usiłowania. Najtrudniejsze charaktery poddawały się, nabierały zamiłowania do pobożności i anielskiej cnoty. Mawiała, że nie rozumie, jak można chcieć wychować dzieci szczególnie dziewczęta nie używając ku temu tak potężnego środka, jakim jest Stowarzyszenie Dzieci Marii.

Wszystko szło jak najlepiej, bo i troskliwy o dobro swego dzieła zacny X. Prałat Lasocki starał się o zapewnienie mu od-

powiednich środków materialnych. Tylko zdrowie ukochanej S. Służebnej szwankowało i w lecie 1914 r. lekarze zalecili kurację w Ciechocinku. Z pomocą X. Prałata ułożono plan i S. Bzowska pojechała na pierwszy sezon, zabrawszy najwątlejsze wychowanki. W czasie podróży zdarzył się wypadek, który jedynie dzięki opiece Najświętszej Panny, nie zakończył się katastrofą. Drogę miano przebyć Wisłą na statku; przy stromym zjeździe do przystani, konie wiozące wózek z rzeczami i 4 starszymi dziewczynkami Dziećmi Marii, spłoszyły się i w szalonym pędzie wyrywały ku rzece, woźnica nie mógł ich opanować. Zdawało się, że lada chwila wszyscy stoczą się w nurty rzeki. Całą scenę widziała S. Bzowska, jadąca na drugim powoziku z młodszymi dziećmi. Z gorącą wiarą w Najświętszą Pannę głośno zaczęła z dziećmi odmawiać: „Pod Twoją obronę". I oto nagle konie skręciły w bok, złamały dyszel, przewróciły wózek, ale dziewczynki wypadły szczęśliwie na miękką murawę opodal przydrożnej figury Matki Boskiej. Nic im się nie stało, bo i one również ufne w opiekę Swej Matki Niepokalanej w chwili niebezpieczeństwa prosiły Ją o pomoc, mówiąc: „Pod Twoją obronę".

W pierwszych latach wielkiej wojny europejskiej S. Bzowska, zawsze na swym posterunku, rozwinęła zakład liczebnie i wzbogaciła jego dzieła, ale stało się to poniekąd kosztem jej sił fizycznych. Ustawiczna troska o zaopatrzenie zakładu, niespokojne czasy wojenne, wszelkiego rodzaju trudy, przyprawiły ją w 1917 roku o ciężką chorobę serca i zmuszona była na dłuższą kurację wyjechać do Domu Centralnego na Tamce. Po powrocie do zdrowia została tam w sekretariacie.

W r. 1919, kiedy po śmierci S. Augusty Sikorskiej, wizytatorką prowincji warszawskiej została S. Róża Okęcka, dotychczasowa dyrektorka Seminarium warszawskiego, obowiązki dyrektorki powierzono S. Bzowskiej. Nowemu swemu urzędowi oddała się z przejęciem. Rozumiała, że z pomocą Ducha św. ma w duszach przyszłych Oblubienic Chrystusa Pana kłaść podwaliny pod gmach ich życia wewnętrznego. Że ma zaprawiać młode dusze do aktów pragnienia poznania Boga i poznania siebie samych po to, by następnie oddawać Bogu, co mu się od osób Jemu poświęconych należy i odmawiać sobie tego, co Mu się nie podoba. Później,

już jako wizytatorka prowincji krakowskiej wspomniała raz, że do każdodziennych swych obowiązków przygotowywała się z dużym nakładem pracy wewnętrznej i modlitwy, a odpowiednim czytaniem pogłębiała swą wiedzę religijną. Mimo rozlicznych zajęć, związanych z urzędem dyrektorki Seminarium, bywała na wykładach kursów pielęgniarskich, by zdać sobie dokładnie sprawę z warunków, w jakich znajdują się młode Siostry, zdobywające fachowe wykształcenie.

Instrukcje S. Dyrektorki były krótkie i jędrne, z każdego słowa wyzierało życie wewnętrzne, jakiego od Córek Miłosierdzia żądała św. Ludwika, by ustawicznie trwały w pamięci na obecność Bożą. To też skupienie S. Dyrektorki robiło wielkie wrażenie na młodych Siostrach. S. Bzowska nie znała kompromisów z sumieniem tam, gdzie Reguły i św. Śluby zakreślały wyraźnie i jasno obowiązki. Raził ją duch świata i brak pobożności, więc choć każde wydalenie młodej Siostry z Seminarium odchorowała, nie cofała się przed użyciem tego przykrego lekarstwa dla zachowania najczystszej atmosfery tego ogrodu, w którym Oblubieniec zwykł się przechadzać między liliami. Siostry, które dobrze znały S. Dyrektorkę, twierdzą nawet, że te konieczne wydalania z Seminarium przyczyniły się do wyczerpania serca już osłabionego poprzednio przebytą chorobą.

Poważna, skupiona S. Dyrektorka, miała jednak specjalny dar do prowadzenia miłej, ożywionej rekreacji; lubiła wesołość, bo pamiętała, że czas wytchnienia dla ciała i ducha, ma wzmocnić słabe siły, by potem tym snadniej zużywały się w służbie Bożej. Własnym przykładem uczyła swe seminarzystki jak podczas rekreacji wznosić swój umysł do Boga, bo zawsze ożywioną i serdeczną rozmowę umiała skierować na jakiś szczegół z życia świętych Założycieli lub budujące wspomnienia z historii Zgromadzenia.

Trzy lata spędzone na urzędzie dyrektorki Seminarium warszawskiego, szybko przeminęły i Bóg — który miał względem S. Bzowskiej Swe niedościgłe zamiary, powołał ją głosem Przełożonych na kierowniczkę zakładu wychowawczego tzw. „Sali sierót“ w Lublinie. Tu, jak wszędzie budowała swoje otoczenie duchem miłości, zaparcia się siebie i bezgranicznego oddania się służbie ubogich. Nigdy, najprzykrzejsze okoliczności nie były zdolne

zachwiać równowagi jej ducha, wywołać rozgoryczenia lub słowa szemrania. Zawsze złączona z Bogiem, uwielbiła Jego najświętszą wolę we wszystkich dopuszczeniach pomyślnych czy bolesnych, których jej nie brakowało. Na zewnątrz była zawsze jednakowa, doskonale opanowana, umiała pogodzić pokorę z godnością i stałością, zawsze poważna, uśmiechnięta, uprzejma i gotowa do poświęceń. Wywierała szczególny wpływ na dzieci; kochały ją jak matkę i jak do matki się zwracały we wszystkim, co je cieszyło lub bolało nie tylko podczas pobytu w zakładzie, ale i po jego opuszczeniu, kiedy już dorósłszy, same na siebie zapracować mogły. Jeszcze na parę miesięcy przed śmiercią ś. p. S. Bzowska otrzymała od dawnego swego wychowanka z Lublina list, w którym z synowskim przywiązaniem i radością donosił S. wizytatorce krakowskiej a dawnej swej Przełożonej o założeniu ogniska domowego i podawał drobne szczegóły swego życia, świadczące o tym, jak głęboko zachował wpojone mu przez S. Bzowską zasady.

Tymczasem Boski Mistrz już wzywał wierną Swą pracownicę do szpitala w Mławie. Znowu nie żegnając się z nikim, cichutko i niespostrzeżenie wyjechała z Lublina, aby uniknąć owacyjnego pożegnania, do którego przygotowywały się Panie Miłosierdzia i wychowanki Zakładu. W tym właśnie czasie zachorował ciężko ojciec S. Bzowskiej, staruszek. Rodzina PP. Bzowskich prosiła S. Okęcką, wizytatorkę warszawską, by pozwoliła S. Emilii przyjechać do Kielc. S. Okęcka się zgodziła, ale S. Bzowska nie skorzystała z pozwolenia. Napisała do ojca serdeczny list, przypominając mu jego własne nauki: „Czego się podejmiesz, to powinnaś wiernie spełniać nie oglądając się na bok“. Wytłumaczyła, że teraz nadeszła pora zalecanej jej przez ojca wierności, bo podjęła się służby dla ubogich i opuszczać jej nie powinna, a nie traci ufności, że ukochany ojciec przyzna jej słuszność. Siostry z Kielc zastąpiły przy umierającym oddaloną córkę, prawdziwą Córkę św. Wincentego a Paulo i św. Ludwiki de Marillac. Zawiadomiona o śmierci ojca ze łzami w oczach odrzekła: „Choć odczuwam smutek, bo ojca bardzo kochałam, to jednak jestem zadowolona, że ojciec przekonał się i zrozumiał po co i dlaczego wstąpiłam do Zgromadzenia i że jestem szczęśliwa“.

Ostatnie lata pobytu w prowincji warszawskiej przepędziła

ś. p. S. Bzowska w Mławie. Szpital ten objęły SS. Miłosierdzia przed samą wojną, a zaledwie się trochę zagospodarowały, musiały uchodzić i patrzeć na zniszczenie swego dzieła. Kiedy S. Bzowska objęła swe obowiązki w Mławie, jeszcze nie zdążono wszystkiego odrestaurować. W szpitalu nie było kaplicy. Więc pierwszym staraniem nowej S. służebnej było, by brakowi temu zaradzić. Zaraz też zajęła się urządzaniem kaplicy. Szpital piętrowy nie posiadał odpowiedniej do swych celów klatki schodowej. Schody kręte były tak wąskie, że niepodobna było przejść z noszami. Lekarz naczelny i komitet szpitala tłumaczyli się, że w budynku niema stosownego miejsca na przebudowanie schodów. S. Bzowska ze spokojem i rozwagą obeszła cały dom i miejsce znalazła, przekonała naczelnego lekarza, doradziła jak postąpić i ku powszechnemu zadowoleniu, przeprowadzono konieczne ulepszenie.

Szpital dość licznie nawiedzany przez chorych, nie miał chirurga; dla każdej ważniejszej operacji odsyłano chorych chirurgicznych do Warszawy. Zdarzało się przy tym, że taki biedak umarł po drodze. S. Bzowska nie mogła patrzeć bez dotkliwej przykrości na takie stosunki. Tak mądrze i taktownie potrafiła przedstawić ten brak poszczególnym członkom rady szpitalnej, że na posiedzeniu ogólnym postanowiono stworzyć pełny oddział chirurgiczny z właściwym ordynatorem. Podniosło to bardzo znaczenie szpitala, ale nikt nie wiedział, że główną sprężyną całej akcji była S. Bzowska. Kiedy raz S. Wizytatorka warszawska przybyła do Mławy i zapytała dyrektora szpitala, co porabia S. Bzowska, usłyszała tę znamienną odpowiedź: „Pilnuje Reguły“. I rzeczywiście Przełożeni prowincjonalni w Warszawie mogli z całą prawdą i pewnością stwierdzić, że jeżeli gdzie w prowincji warszawskiej były z największą ścisłością i czystością intencji zachowane św. Reguły i praktyki Zgromadzenia, to napewno w domu S. Bzowskiej.

Nic też dziwnego, że do niej wyrokiem Przełożonych Boski Gospodarz jeszcze na tej ziemi wyrzekł te słowa: „dobrze sługo wierny, iżeś nad małym był wierny, nad wielom cię postanowię“. Innymi słowy, bardziej po ludzku tę samą myśl wyraził dyrektor szpitala w Mławie na wiadomość, że S. Bzowska opuszcza Mławę: „Żal nam S. Starszej, ale rozumiemy to dobrze, że jej szkoda było do Mławy“.

Jedna z Sióstr, która mieszkała w Mławie przez 6 lat pod kierunkiem S. Bzowskiej, nadesłała następujące wspomnienia: „Czuję się szczęśliwą, że mogę cośkolwiek napisać o ś. p. najcz. S. Marii Bzowskiej. Mieszkałam w Mławie przez 6 lat i tam byłam świadkiem jej cnót i czynów heroicznych, jej miłości i przywiązania do ukochanego Zgromadzenia, oraz poświęcenia dla ubogich. Duch wiary, którym była ożywiona, przenikał wszystkie jej czynności tak zewnętrzne jak i wewnętrzne. Przede wszystkim w kaplicy cała jej postawa skupiona wskazywała, że duch zatopiony jest w Bogu. Nigdy nie widziałam, aby oparła rękę o ławeczkę choćby była bardzo zmęczona. Uczyła nas, a przy sposobności dawała odczuć, jakiej doznaje przykrości widząc u której Siostry zwłaszcza młodej, niedbałą postawę na modlitwie. Często zalecała odmawianie modlitw wspólnych ustami, nie zaś ograniczanie się do słuchania pacierza odmawianego głośno przez Siostrę tygodniowo wyznaczoną. Żyła stale w obecności Bożej, wśród najróżnorodniejszej pracy, nieraz bardzo uciążliwej, mogłyśmy zauważyć, jak na uderzenie godziny, na chwilę przerywała robotę, żeby się skupić, gdyż jak mawiała, jest to głos Boży wzywający do oddania Mu czci.

Często nam powtarzała, że osoby poświęcone Panu Bogu, są jakby oazami w pustyni, wśród których Pan Jezus z upodobaniem przebywa, więc trzeba się starać być taką oazą umiłowaną przez Niego.

Przy każdej sposobności dawała przykład umartwienia, a przede wszystkim w refektarzu. Nigdy nie widziałam, żeby sobie kiedy dosalała lub dosładzała potrawy podane na stół, dla S. Starszej zawsze wszystko było równie dobre, choć w rzeczywistości różnie bywało. Nieraz widziałyśmy, jakim smutkiem przejmowały ją grymasy przy stole Sióstr młodych i zdrowych, bo mawiała, że zrozumieć nie może, aby Siostra nieumartwiona przy stole, mogła gdzie indziej praktykować umartwienie, chyba tylko z konieczności, gdyż u takiej osoby o dobrowolnych umartwieniach nie może być mowy. Często S. Starsza szła do kuchni z talerzem i brała pożywienie przyrządzone dla chorych, mawiając, że czuje się szczęśliwą, kiedy może spożywać to, co nasi panowie ubodzy.

Mówiła też, że w zakładach wychowawczych, gdzie dzieci pomagają Siostrze przy kuchni, Siostry powinny jadać to samo, co dzieci.

Chorych bardzo kochała, interesowała się każdym biedakiem, przemyśliwając, czym by mogła któremu przynieść jaką ulgę w cierpieniu. Kiedy umarł ubogi chory, którym nie miał się kto zająć, sama zajmowała się ubraniem nieboszczyka lub polecała to której z Sióstr, nigdy nie pozwalając, by te czynności wykonywała sama służba bez dozoru Siostry. Miłość jej nie ograniczała się na tym, szła za trumną, odprowadzając biedaka na cmentarz. Budujący i rozrzewniający był widok, kiedy za trumną nieznanego nędzarza szły tylko dwie Siostry, ale wtedy zwykle po drodze przyłączali się przechodnie i bywało że spora gromadka uzbierała się przy ubogim grobie. To też biedni chorzy kochali S. Starszą jak matkę i więcej jeszcze. Po wyjściu ze szpitala przychodzili do kościoła naumyślnie w tej godzinie, kiedy ona tam była, ażeby jeszcze „popatrzeć na kochaną Przełożoną". Szanowana była przez wszystkich, którzy mieli z nią jakąkolwiek styczność. Administracja była dla niej z ogromnym uznaniem, nigdy nie sprzeciwiali się zarządzeniom ani zmianom, zadecydowanym przez S. Starszą.

Dla najczcigodniejszych przełożonych była zawsze z ogromnym szacunkiem i prawdziwie córeczną miłością. Najmniejsze ich życzenia spełniała jak najszybciej i jak najdokładniej i starała się stosować do wszelkich zaleceń. Pewnego razu jedna z Sióstr położyła na umywalni delikatniejsze mydło do mycia. S. Starsza poczekała dwa dni, przypuszczając, że może zabrakło mydła zwyczajnego, ale potem poprosiła o zwyczajne, bo w Zgromadzeniu nigdy innym się nie myła.

Szczególniejszą miłością otaczała Siostry chore, uważała je za specjalne błogosławieństwo Boże dla domu, o ile czas jej na to pozwolił, sama pielęgnowała je w chorobie, uprzedzając ich życzenia.

Często się zdarzało, że S. Starsza sama jedna wstawała o godzinie 4, wtedy szła do chorych, zapytywała o ich potrzeby i takowe zaspakajała, odmawiała pacierz z chorymi, a to w tym celu, żeby Siostry słabe, które dłużej spoczywały, mogły spokojnie odmówić modlitwy i odprawić ranne rozmyślanie. Przez 6 lat, jakie miałam szczęście pozostawać pod jej przewodnictwem, nigdy nie widziałam, żeby bez ważnej przyczyny spóźniła się na spo-

czynek o godzinie 9. Jeżeli miała zbyt wiele pracy w kancelarii szpitalnej wstawała przed czwartą rano.

Nie szczędziła czasu ani trudu, by Siostry przejąć duchem Zgromadzenia i utrwalić w nas ducha seminaryjskiego. W tym celu co tydzień przez godzinę, a niekiedy nawet dłużej, wykładała nam Reguły św. Co tydzień w oznaczonej godzinie przyjmowała Siostry, dając nam cenne wskazówki, rady i przestrogi, tyczące się czy to postępu w cnocie, czy też dobrego wypełniania obowiązków urzędu. Za opuszczanie się w cnocie lub unikanie okazji do jej wykonywania, zrazu upominała z miłością, a potem nawet surowo.

Gdy wyjeżdżała z Mławy, nie pozwoliła nam płakać, bo nie lubiła objawów szczególnego do niej przywiązania. Chciała, byśmy przyjmowały wszystko z ręki Bożej z ochotnym poddaniem się".

W kwietniu 1931 roku najprzewielebniejsza Matka Lebrun wezwała S. Bzowską na rekolekcje SS. Służebnych do Paryża. Wezwanie przyszło niespodziewanie i sprawiło S. Służebnej mławskiego szpitala trochę kłopotu. Miała tylko jedne trzewiki i to w nienajlepszym stanie, w czym tu jechać... Wezwano zaraz szewca, ale cóż... nie zdążył na czas wykończyć i przyszła wizytatorka krakowskiej prowincji musiała jechać po „wolę Bożą" do Paryża w dziurawych bucikach. Już też ubóstwo było ukochanym ślubem ś. p. Bzowskiej. Wyprawa jej z łatwością mieściła się w worku seminaryjskim, nieraz brakowało jej rzeczy prawdziwie potrzebnych i nie można jej było nigdy namówić do zastąpienia znoszonej części ubrania nową, zawsze wszystko było dość dobre dla niej. Tak samo przestrzegała ubóstwa w urządzeniu domu i sprzętach przeznaczonych do użytku Sióstr, zawsze jednak wymagała, by wszystko było wykonane starannie i porządnie ustawione. W izdebce ś. p. S. Wizytatorki w Krakowie i w jej biurku były tylko rzeczy najkonieczniejsze. Nie miała nawet ulubionych książek, wystarczyły jej modlitewnik i mszalik, a w nich tylko po 3 obrazki, tak, jak to zalecała Siostrom. Nawet Pismo św. w opracowaniu X. biskupa Szlagowskiego, które miała na biurku, a które było zresztą pożyczone od jednej z Sióstr, oddała na jakieś dwa miesiące przed śmiercią. Podróżowała zawsze z czarnym workiem i z przykrością patrzyła na modne teczki w rękach Sióstr.

Przybywszy do Krakowa, prędko ujęła sobie Siostry swą wielką, prawdziwie ewangeliczną prostotą. Wszystkich, którzy zetknęli się z ś. p. najczcigodniejszą S. wizytatorką, uderzała niezwykła bystrość jej umysłu, zwięzłość i jasność decyzji w najróżnorodniejszych, nieraz bardzo trudnych do przeprowadzenia sprawach. Starała się stać wszystkim dla wszystkich, by wszystkich pociągnąć do Jezusa, bo czuła cały ciężar swej odpowiedzialności za dusze Sióstr powierzonej sobie prowincji. Musiała nieraz prostować spaczone pojęcia, pouczać, dawać wskazówki. Wtedy obawiała się zawsze wrodzonej swej żywości, o ile to było z okazji repetycji czy publicznych zaleceń, zwykła była się potem pytać jednej z Sióstr, czy nie mówiła zbyt ostro, czy nie okazała się za surową w sądzeniu, czy słowami swymi nie wyrządziła przykrości. Z serdeczną pokorą przepraszała, jeżeli zdawało się jej, że swym zachowaniem lub brakiem uwagi mogła której z Sióstr sprawić mimowolną przykrość. Wedle zalecenia świętej naszej Matki, kochała Siostry w Bogu, ale kochała przede wszystkim Boga w Siostrach, uważając je za własność Chrystusa Pana, za oblubienice najczystszego i najświętszego Baranka. Dopóki miała zapewniony bezpłatny bilet kolejowy jeździła odwiedzić chore Siostry nawet do oddalonych domów, nie bacząc na niewygodne połączenia kolejowe, ani na osobiste trudy i zmęczenie. Bywała na pogrzebach Sióstr, choćby jej przyszło jechać kilkanaście godzin z rzędu.

Przykładem swym jeszcze więcej niż słowami, pouczała Siostry młode o serdecznym poszanowaniu należnym dawnym Siostrom.

Wielkim uszanowaniem otaczała kapłanów, w każdym z nich widziała Chrystusa Pana. Z macierzyńską troskliwością wypytywała się o potrzeby XX. Misjonarzy przeznaczonych na misje do Chin i jak tylko mogła starała się im zaradzić. Wszystkie sprawy polskiej misji XX. Misjonarzy w Chinach bardzo żywo ją obchodziły, a specjalną troską otaczała misję w Wenchow, o której mawiała, że to dla niej bardzo drogie dzieło i czym mogła je wspomagała.

Święta nasza Matka mówiła, że „cierpliwe znoszenie wszystkiego jest cechą prawdziwej miłości w duszy", ś. p. najczcigod-

niejsza S. wizytatorka umiała być cierpliwą. Nieraz ustawiczne pukania do izdebki kilkakrotnie przerywały jej pisanie listów, a mimo to nigdy nie okazała żadnej oznaki zniecierpliwienia, zwracała do wchodzącej głowę z uprzejmym uśmiechem na ustach tak, jakby na nią właśnie czekała. Jej miłość miała charakter apostolski, stąd wszystko co czyniła, zawsze miało jeden cel: Boga i Jego chwałę, a przez to zbawienie dusz. Bardzo silny nacisk kładła na moralne oddziaływanie Sióstr na chorych po szpitalach. Przestrzegała, by Siostry nie zaniedbywały odmawiać z chorymi głośno wspólnych krótkich pacierzy porannych i wieczornych, by im w niedzielę odczytały Ewangelię, a jeżeli można i Lekcję Epistoły. Przy wizytacjach szpitali zwracała uwagę na to, co chorzy czytają. Przeglądała lub kazała przeglądnąć katalog biblioteki przeznaczonej dla chorych i skwapliwie usuwała wszelką lekturę trującą duszę — a wstawiała w to miejsce dzieła wartościowo zarówno z lekkiej beletrystyki, jak i poważniejsze lub religijne i apologetyczne.

Jedna z Sióstr służebnych zanotowała o ś. p. najczcigodniejszej S. wizytatorce następujące uwagi: „W pierwszej chwili poznania zrobiła na mnie ś. p. wizytatorka silne wrażenie. Ujęła mnie swą prostotą i jakąś mocą, która od niej biła. Przekonałam się później, że ta siła, to jej mocna, przed niczym nie ustępująca wola, zdążająca za wszelką cenę ku Bogu, bez oglądania się wstecz i cofania. Ś. p. S. wizytatorka miała prawdziwie wyrobiony, na Bogu oparty charakter. Rozumiała i szła zatem, że złożywszy Bogu ofiarę, nawet w najdrobniejszych aktach odbierać jej nie wolno. Szła po bohatersku w swe bardzo trudne i ciężkie życie i do bohaterstwa zachęcała, co może czasem oddalało od niej słabsze, wątlejsze dusze. Ceniła niezmiernie czas, rozumiejąc, że zarobiony w nim talent Bogu oddać należy. Pracowała też bez wytchnienia, z wielką powagą i jakby z namaszczeniem. Tą pracą staranną i niespożytą podkopała zdrowie, ale też pewno zdobyła niebo. Była prawdziwie pobożna. Z wielką uwagą i bardzo pięknie odmawiała modlitwy, czym pobudzała do wznoszenia myśli ku Bogu. Kochała szczególnie koronkę i akt na każdą godzinę. Męka Pańska, krzyż — to przedmiot jej myśli, niewyczerpany temat prześlicznych instrukcyj. Słowa jej rozpalały serca, podnosiły ku Bogu, zachęcały do czynu i ofiary. Słuchając ś. p. najczcigodniejszej S.

Wizytatorki było się przekonaną, że to co mówi, nie tylko rozumie i pragnie przelać w serca drugich, ale tym żyje, że to wypełnia całą jej duszę. Najczcigodniejsza S. Wizytatorka nie znosiła dwoistości. To, co się powiedziało, brała pod rozwagę bardzo poważnie tak, jak się powiedziało. W załatwianiu spraw nie znosiła lekkości i żartów. Miała niezmiernie delikatne, wzniosłe pojęcie o ubóstwie. Zdawało się czasem, że aż zbyt drobiazgowo zapatruje się na nie — to był też charakterystvczny rys jej delikatnej i wrażliwej sumiennej duszy. Nieraz aż zatrwożyć się było można słysząc z jaką jasnością i przenikliwością rozsądza wszelkie sprawy. Dusza jej musiała być bardzo czysta, to też Duch Boży był w niej! Ubogich kochała ś. p. wizytatorka z całego serca. Bardzo drogimi były jej dzieci-sieroty. Chociaż obowiązki pochłaniały jej bardzo wiele czasu, potrafiła jednak niejedną jego chwilkę poświęcić dzieciom. Pamiętała o ich potrzebach serdecznie. Rozrzewniała nieraz pytaniem, czy ta lub owa (o której kiedyś słyszała, że jej czegoś brakuje) ma już trzewiczki, lub przybory szkolne i kilka razy w roku na takie potrzeby pewną dawała kwotę.

Zapytana o radę, wznosiła oczy cośkolwiek w górę, a po krótkiej chwili poważnie bardzo odpowiadała. Było się przekonaną, że mówi z natchnienia Bożego, że jej dusza u Boga szukała światła i, że stamtąd czerpała mądrość dla dania odpowiedzi. Kilka razy, po rozmowie z najczcigodniejszą S. Wizytatorką, czułam się głęboko przejęta mocą w jej słowach i jasnością w objęciu przedstawionej sprawy — odczuwało się, że to dusza prawdziwie zjednoczona z Bogiem".

Miała ś. p. najczcigodniejsza S. Wizytatorka dziwny dar odkrywania „zakopanych talentów", czasem może nawet nikt by się nie domyślił, do czego ta lub owa niepozorna siostra może być zdolna, najczcigodniejsza S. Wizytatorka odczuła, przewidziała, a wyniki okazywały, że się nie pomyliła.

Taka była droga życiowa ś. p. najczcigodniejszej S. Wizytatorki Bzowskiej w krótkim, niezupełnym szkicu. Ona nią szła po królewsku, z uśmiechem, nie znosiła najlżejszego ubolewania dla ciężaru swego urzędu, ale w ostatniej chorobie, patrząc z miłością na krzyż, odezwała się: „Jako upominek na Pierwsze św. śluby dostałam dwa krzyże — jeden był z sękatego drzewa, drugi

zwykły i całe moje życie ułożyło się w krzyż.“ Jasne chwile takie, jak udział w uroczystej beatyfikacji Siostry Katarzyny Labouré, audiencja u Ojca św. — to były błyski przelotne, chociaż lśniły ciągle w duszy ś. p. najczcigodniejszej S. Wizytatorki i były źródłem prześlicznych instrukcyj.

Po okresie znojnej pracy miała ś p. Siostra Bzowska przejść jeszcze długą oczyszczającą drogę choroby. Zawsze przeceniała swe siły fizyczne, to też z początkiem 1935 r. organizm wypowiedział swą służbę. Przyszło bolesne ogólne zapalenie żył na tle złej przemiany materii, a w ślad za tym, odnowiło się osłabienie serca. Nastały długie tygodnie leżenia, tym przykrzejsze, że ś. p. najczcigodniejsza S. Wizytatorka zachowała całą żywość i bystrość umysłu. Duch pracował nieustannie, a ciało przykute do łoża nie mogło za nim podążać. To była męka moralna, która niewidoczna dla ogółu, dołączała się do cierpień fizycznych. Najczcigodniejsza S. Wizytatorka z tym się nie zdradzała, zawsze miła i swobodna w obejściu. W lecie stan zdrowia nieco się poprawił i najczcigodniejsza S. Wizytatorka wyjechała do Lwowa. Jesień i zima 1936 była znowu cięższa, ale jeszcze znośna. Z wiosną najczcigodniejsza S. Wizytatorka czuła się lepiej i rozpoczęła coraz to częściej wizytować domy. Pan Bóg jakoś sił dodawał i łudząc się tym ś. p. S. Wizytatorka powróciła do dawnego zwyczaju licznych wyjazdów wizytacyjnych. Tymczasem zbliżał się kres. Rekolekcje marcowe 1937 tak ją zmęczyły, że ledwie miała siły dokończyć przyjmowania sióstr. W wigilię św. Józefa położyła się by trochę wypocząć i... już łóżka nie opuściła. Po świętach Wielkanocnych miała dziwne przeczucie śmierci. Nie chcąc nikogo zasmucać i wprowadzać zamieszania w ciągu przygotowania się sióstr do renowacji św. ślubów, po cichutku przygotowała się do przyjęcia Ostatnich Sakramentów św. i przyjęła je z rąk czcigodnego X. dyrektora Weissa, po spowiedzi w sobotę przed renowacją. Dnia 5 kwietnia rano przed komunią św. odmówiła głośno formułkę św. ślubów. Była potem bardzo pogodna, zdawało się, że uczucie radości rozpiera jej serce, cichym głosem wezwała siostrę krzątającą się po izdebce i powiedziała jej z uśmiechem: „Ja umrę“, a śmiejąc się dodała : „O jak błogo umierać oblubienicą Chrystusa, ale prawdziwą siostrą“.

W trzy dni potem choroba się skomplikowała obejmując bardzo szybko wszystkie narządy wewnętrzne, stan odrazu był groźny i bardzo dla chorej bolesny. Cierpiała straszliwie, ale nie chciała żadnych środków uśmierzających, chciała cierpieć z całą świadomością i zachować do końca przytomność umysłu. Leżała wpatrzona w krzyż, kiedy chciałyśmy jej w czym ulżyć, odpowiadała: „Pan Jezus nie poprawiał się na krzyżu“, albo „Pan Jezus na krzyżu miał gorzej“. Im więcej cierpiała, z tym większą słodyczą się uśmiechała. Naprawdę zdawało się nam, że dotąd nie znałyśmy hartu duszy ś. p. S. Wizytatorki i jej bezgranicznego poświęcenia się Bogu na ofiarę całopalną. 7 kwietnia przyniesiono z drukarni pierwszy egzemplarz polskiego przekładu „Rozmyślań i instrukcyj św. Ludwiki de Marillac“. Najczcigodniejsza chora, biorąc go do ręki, wymieniała najprzew. X. arcybiskupów i biskupów, którym pragnęła go posłać, potem przewielebnych XX. Misjonarzy i bardzo pilnowała czy to uskuteczniono.

Dnia 11 kwietnia rozpoczynały się rekolekcje SS. Służebnych. Jak na początku choroby najczcigodniejsza S. Wizytatorka nie chciała się zgodzić na odłożenie z jej powodu tych rekolekcyj, tak teraz zapragnęła sama na początek przemówić do rekolektantek. W niedzielę 11 kwietnia o godz. 5 po południu zebrały się wszystkie SS. Służebne u łóżka ś. p. najczcigodniejszej S. Wizytatorki. Wzorem swego Mistrza, kiedy ostatni raz przed męką przemawiał do swych apostołów, mówiła o miłości Boga i miłości wzajemnej. Przemową zmęczyła się bardzo, więcej niż przypuszczała.

Mimo cierpień, mimo ogromnego osłabienia ś. p. S. Wizytatorka wypełniała skrupulatnie wszystkie ćwiczenia duchowne, nawet ile możności o naznaczonych godzinach. Rano o godz. $4^1/_2$ pacierz, który przy jej łóżku odmawiały głośno dwie siostry, tak, jak go odmawiano w kaplicy. Ani razu nie opuściła koronki, a że obawiała się, by wskutek osłabienia nie uchybić w czym przy jej odmawianiu, wyznaczyła jedną z młodych sióstr, która codziennie przychodziła odmówić głośno koronkę. Pilnowała aktu na godzinę trzecią; w niedzielę przed śmiercią, z obawy, by nie spóźniono się z tym wyznaniem czci i miłości, a nie chcąc przerywać milczenia, niespokojnym wyrazem twarzy i ruchami wskazywała,

by siostra czuwająca przy niej ten akt odmówiła i dopiero potem odpowiedziała na jakieś zapytanie jednej z sióstr urzędniczek. Uważała, by siostry usługujące jej przestrzegały punktualności domowej. Jedna z nich, młoda siostra, pragnęła się wymówić, że trochę później poprosi o kolację, najczcigodniejsza S. Wizytatorka odparła jej na to: „Niech siostra wie, że Pan Bóg wielkie zsyła łaski na te siostry, które są wierne w najdrobniejszych punktach Reguł św."

Ś. p. najczcigodniejsza S. Wizytatorka życzyła sobie, by modlitwy za konających odmówił czcigodny X. Dyrektor i tak się też stało. Był to właśnie ostatni dzień rekolekcyj, przyszły wszystkie SS Służebne. Umierająca jeszcze do nich przemówiła: „Niech siostry z Domu Centralnego zawiozą do swych domów Boga i niech będą dobre dla swych towarzyszek". Czcigodna S. Asystentka chciała jej zdjąć okulary, żeby jej nie uciskały, nie pozwoliła na to ze słowami: „chcę widzieć siostry, bo je kocham". W obliczu śmierci nie było w niej żadnego lęku, tylko jakiś dostojny spokój. Siostry mówiły: „tak umierają chyba święci". Dnia 19 kwietnia, o godz. 1, ś. p. najczcigodniejsza S. Wizytatorka skłoniła lekko głowę na ręce jednej z sióstr i w parę minut potem odeszła do Boga, którego nad życie umiłowała i któremu służyła w szczerości i prawdzie.

Na wiadomość o śmierci S. Wizytatorki wszystkie władze kościelne i świeckie śpieszyły z okazaniem nam żywego współczucia. Modły w kaplicy odprawił J. E. Najprzew. X. Metropolita Sapieha, msze św. odprawiali Najprzew. XX. Biskupi: X. Biskup Rospond z Krakowa i X. Biskup Lisowski z Tarnowa, który też poprowadził kondukt pogrzebowy na cmentarz.

Ś. p. Brat Władysław Prinz

Kiedy w roku 1932 wyjeżdżaliśmy do południowych Chin, doniesiono mi, że jedzie z nami br. Prinz. Nie znałem go zupełnie. Wkrótce jednak spotkaliśmy się na Kleparzu. Zauważyłem u niego ogromny zapał i chęć do pracy na misjach. Oczywiście o Chinach ani on ani nikt z nas nie miał pojęcia, ale on lotem ptaka chciał się tam dostać czemprędzej. Ostatecznie 11 czerwca

stanęliśmy w Szanghaju, a 7 lipca w miejscu przeznaczenia, w Wenchow.

Na placówce dużo złudzeń prysło, trochę rozczarowania, rzeczywistość nie zupełnie odpowiadała marzeniom. Księża oczywiście prędzej orientują się, zabierają się do swych kapłańskich obowiązków, uczą się języka, chwilowo zmówią się po łacinie z innymi księżmi czy po francusku, angielsku. Brat Prinz w Polsce był ogrodnikiem, prócz polskiego mówił nieco po niemiecku. Tu Niemca ani na lekarstwo, o ogrodnictwie ani mowy, bo ogrodu brak zupełnie, jarzyny inne, sposoby uprawy inne. Dość, że nasz braciszek przekonał się, że właściwie co będzie robił!? W każdym urzędzie trzeba znać język, a ten język chiński nieludzki, z innego świata, dzwięki, które słyszy się po raz pierwszy, ani powtórzyć ich niepodobna, jeżeli je powtórzysz nikt cię nie rozumie, rozpacz.

Nasz brat uderzył w pokorę, graniczącą nieomal ze zwątpieniem. Zabrał się jednak do języka i w krótkim czasie opanował go dostatecznie, po paru latach mógł swobodnie się rozmówić, sprawy załatwić, a nawet pożartować. Poważnego urzędu objąć nie mógł, za to oddał się modlitwie. Rano można było być pewnym, że zastanie się go w kaplicy na medytacji. O ile miał czas, szedł do kaplicy przed Najśw. Sakrament i modlił się w skupieniu. Po południu, wieczorem, można go tam było często spotkać. Ćwiczenia duchowne odprawiał sumiennie, żaden dzień nie minął bez czytania duchownego, żaden tydzień bez spowiedzi. Chętnie usługiwał do Mszy św., bez względu na to jaki ksiądz ją odprawiał. Komunię św. przyjmował bardzo pobożnie i tak samo odprawiał dziękczynienie po niej. Dla księży miał wielki szacunek tak, że księża chińscy byli tym ujęci, że Europejczyk okazuje im tyle względów. W obejściu jego nie było niczego światowego, czy w ubraniu czy w słowach. Miał pewne drobne wydatki, ale kiedy się zastanowił, że on misji nic nie przynosi tylko kosztuje, wyrzekł się wszystkiego, gotów niedostatek cierpieć.

Pojmował dobrze, że przybył na misje, by nawracać pogan. Bezpośrednio nie mógł tej pracy wykonywać, starał się być pożytecznym. Umiłowaniem jego było usługiwanie chorym. Jakiś czas pomagał w przychodni szpitala tutejszego Sióstr Miłosierdzia. Brakowało Sióstr, on się poświęcił, szybko zapoznał się z lekar-

stwami i jak słyszałem, Siostrę doskonale zastąpił, a miał jeszcze to, że był bardzo grzeczny dla ubogich i wogóle dla Chińczyków, to też ogólnie był lubiany, a kiedy z Wenchow odjechał, żałowano go bardzo i do dnia dzisiejszego go wspominają, a śmierć jego prawdziwym echem odbiła się u tutejszych chrześcijan. Ogół powtarza sobie: „Ba Si-se zamordowany“! A nasz stary furtian z sierocińca na tę smutną wiadomość przybiegł do rezydencji i zamówił mszę św. za duszę br. Władysława i składając kondolencje naszej misji rozpłakał się na dobre.

Znając jego zamiłowanie do pielęgnowania chorych, kiedy w r. 1936 przybył do nas na trzytygodniowy pobyt X. lekarz Szuniewicz i rozpoczął pracę okulistyczną na wielką skalę, dodano mu do pomocy brata Władysława. Braciszek nie znał się na niczym, ale był doskonałym narzędziem w wytrawnych rękach, i jak słyszałem bardzo się przydał. Okazało się jednak, że brat sam chory na oczy. X. Doktor przepisał mu i zapoczątkował zastrzyki w gałkę oczną. Rzecz niesłychana dla laików. Robiono kłucia oka i wstrzykiwano dość sporą dawkę lekarstwa i to kilkadziesiąt razy. Przypuszczam, że to do przyjemności nie należało, brat Władysław znosił to jednak z nadzwyczajną cierpliwoscią.

X. Szuniewicz odjechał, brat Władysław wrócił do zwyczajnych zajęć. Robił różańce. Rośnie tutaj pewna roślina, która daje doskonałe ziarnka. Zaprowadziliśmy fabrykę na wielką skalę, zapotrzebowanie olbrzymie dla chrześcijan. Nasi wierni bardzo biedni, musimy im dawać na początek darmo wszelkie dewocjonalia. W ten sposób pracował bardzo pożytecznie dla misji. W bibliotece po poprzednikach znaleźliśmy dużo książek broszurowanych, stąd nie bardzo ponętnych do czytania. Brat Władysław nauczył się oprawiać, założyliśmy duży warsztat introligatorski, praca szła szybko i z cierpliwością. Innym zajęciem jego to wyrób piwa i wina mszalnego. Gorąco tutaj niesłychane, zwłaszcza latem, pragnienie wielkie. Nauczyliśmy się fabrykacji piwa, bardzo tanio. Brat Władysław znał receptę na pamięć i kierował robotą. Misja biedna, wino mszalne sprowadzane z Europy bardzo drogie, cło niesłychane. Przepisy kościelne pozwalają na wyrabianie go z rodzynków suszonych przez dolanie wyparowanej wody. Brat Władysław pojechał do Ningpo i pod okiem wprawnego mistrza wy-

uczył się, znowu był bardzo pożyteczny. Znał się i na kuchni i na pieczeniu chleba. Na misji wszystko się przyda. Brat Władysław i pokój księżom wymył i ubranie i pościel przesuszył, aparaty kościelne porozwieszał i przewietrzył i z moli oczyścił.

Biedy zwyczajnie w parze chodzą i jedna pociąga za sobą drugą. Tak i u brata Władysława wnet pojawiła się nowa, poważna bieda: malaria. W Polsce ta choroba nieznana. Brak prawie zupełnie komarów, które ją roznoszą. W krajach południowych moc komarów, malaria bardzo rozpowszechniona. Brat Władysław sam sobie nie zdawał sprawy co jest. Było mu zimno, gorąco, ból głowy, a wkrótce dostał bólów wewnętrznyrh żołądka czy wątroby, przynajmniej tak swoje bóle lokalizował. Myśleliśmy iż istotnie choroba wewnętrzna. Tutejszy lekarz badał, ale z całą pewnością trudno mu było orzec co jest. Trzeba było Rentgena! Zatem trzeba było jechać do szpitala do Shanghaju. Latem 1935 r. blisko miesiąc spędził w szpitalu Panny Marii. Znowu badania, mordowania, prześwietlania Rentgenem około dziesięć razy. Nie mógł się zmówić, spowiadał się przed jednym z księży francuskich z Wenchow po chińsku, bo po francusku nie umiał. Jedyną pociechę sprawiały mu odwiedziny dwóch Sióstr Miłosierdzia, Polek, pracujących w tym samym szpitalu. Żalił się przed nimi, że tak niepożyteczny dla misji a tyle kosztuje. Trzeba go było pocieszać i podnosić na duchu. Po dłuższym czasie lekarze znaleźli właściwą przyczynę bólów wewnętrznych, malarię. Zaczęło się właściwe leczenie i chory przyszedł zupełnie do siebie. Wrócił do Wenchow, ale po paru miesiącach znowu to samo; miał złośliwy rodzaj malarii.

Kiedy często spotykałem go w łóżku, drżącego od zimna, latem przy 35 C., przywalonego kołdrami, albo zlanego potem gorączki, wtedy by mnie nie zrażać swoją chorobą, powtarzał: „ja na nic się nie przydam, misji w niczym nie pomogę, jestem niepożyteczny, niech przynajmniej chorobą coś u Boga uproszę, niech pocierpię za Chińczyków, robić nic nie umię, niech cierpię przynajmniej“. W tych słowach odzwierciadlała się cała jego dusza, był cichy, bez żalu, jakby go w domu nie było. Zdawał sobie sprawę, że sam przyjechał do Chin jako ochotnik, to też sam chciał znosić wszystkie skutki.

Widzieliśmy jednak, że tak na stałe być nie może, bo istotnie nacierpi się, a pomocą być nie może, chyba u Boga. Stąd myśl wysłania go na północ do prefektury Shuntehfu. Tam klimat inny, lekarz swój stały na miejscu, brat tak lubi pielęgnować chorych, może znajdzie miłe dla siebie zajęcie w tamtejszym szpitalu i będzie tam szczęśliwy i pożyteczny. Po porozumieniu się z odpowiednimi przełożonymi wysłano Brata do Shuntehfu. Tak się złożyło, że prawie ostatnim pociągiem dojechał spokojnie, parę dni później, jużby było za późno, wybuchła wojna, wkroczenie wojsk japońskich.

Przełożeni w Shuntehfu uznali, że będzie najlepiej, kiedy Brat pojedzie do Czentingfu do J. E. X. biskupa Schravena, bardzo zacnego i życzliwego Holenderczyka i tam przy boku Brata Węgra nauczy się prowadzenia winnicy i tłoczenia wina. Przytem przypatrzy się tamtejszemu gospodarstwu. Czentingfu, to stara misja i bardzo umiejętnie prowadzona.

Tak się stało. Brat pojechał do Czentingfu i tam zastała go wojna. Wojna jak wojna, alarmy, przemarsz wojsk chińskich tam i z powrotem. Chińczycy jednak misji nie niepokoili zupełnie. Misje cieszyły się najzupełniejszym spokojem. Do armii rządowej przyłączyła się jednak armia komunistyczna, walcząca dotychczas z rządem, teraz ze wspólnym wrogiem — Japończykami. Z północy pobite wojska chińskie musiały opuścić Czentingfu, wieczorem 8 czy 9 października, wkroczyli Japończycy.

W międzyczasie napadli jednak na misję bandyci czy komuniści, uprowadzili J. E. X. biskupa, 5 księży, 2 braci, a między nimi naszego Brata Władysława. Siostry Miłosierdzia widziały jak ich prowadzono wieczorem z zawiązanymi oczyma, z powrozem na szyi, rano rozstrzelano ich z rewolweru a ciała spalono. Takie nas tu doszły wiadomości, brak bliższych szczegółów. Inna wersja mówi, że żołnierze mandżurscy, należący do armii japońskiej, mimo zakazu swych władz, wkroczyli do rezydencji misyjnej i zakłuli wszystkich bagnetami. Jakkolwiek było, to pewne, że nie żyją, zginęli pomordowani. O okupie nic nie słychać, bandyci zwyczajnie żądają okupu, księżom chińskim dano spokój. Zabójcami kierowała zatem nienawiść do obcokrajowców i do Kościoła. Jakiekolwiek były ostatnie chwile pomordowanych, to pewne, że

Brat przybył do Chin i bawił tu jedynie z pobudek religijnych, wspominał o męczeństwie i życzył go sobie, zatem i śmierć przyjął z całą pewnością w tej intencji ofiarowania życia Bogu za nawrócenie pogan.

X. Paweł Kurtyka.

Wenchow, 21. XII. 1937.

NASI ZMARLI W R. 1937.

Liczba	Imię i nazwisko	Miejsce zgonu	Dzień	Rok	Rok życia	Rok powołania
1	X. Edward Gaynor	Cork	15 XII	1936	84	62
2	X. Józef Breiderhoff	Niederprüm	2 I	1937	66	47
3	X. Andrzej Weda	Sorrabaia	5 I	1937	29	10
4	X. Humb. Bernardelli	Sarzana	4 I	1937	35	14
5	Br. Andrzej Bruno	»	4 I	1937	59	28
6	X. Karol Fontaine	Rzym	11 I	1937	74	55
7	X. Michał O'Brien	Chicago	5 I	1930	57	36
8	X. Amat Garcia				33	18
9	X. Ryszard Atanes	zamordowowani		1937	61	45
10	X. Andrzej Gutierrez	w Gijon			50	33
11	X. Pelagiusz Granado				41	22
12	X. Lope Legido	Ceb	27 XII	1936	61	43
13	Br. Jan Zimmermann	Graz	17 I	1937	74	48
14	X. Jan Puig	Figueras, zastrzel.		1937	57	37
15	X. Wincenty Queralt	Barcelona, »		1937	42	25
16	X. Jan Borec	Cali (Colombia)	13 I	1937	66	48
17	Br. Lajannie Michał	Konstantynopol	4 II	1937	79	61
18	X. Wł. Piekarski	Krypno Kościelne	28 I	1937	28	9
19	X. Karol Cabalero	Matanzas	15 II	1937	81	54
20	X. Walenty Ciopalski	Kraków	16 II	1937	73	54
21	X. Hilary Barriocanal	Madryt (zamordowani)			68	50
22	X. Beniamin Ortega	»			52	34
23	X. Wiktor Reguero	»			35	18
24	X. Leon Perer	Alcarisa		1937	42	25
25	Br. Gilles Belascoin	Madryt			53	30
26	X. Fortunat Velesco	Alcarisa			30	13
27	X. Paweł Pukásy	Budapeszt	26 II	1937	59	39
28	X. Jan Llitrá	Palma (Maiorca)	3 II	1937	72	55
29	X. Patryk Mac Hale	Filadelfia	12 III	1937	83	64
30	X. Bramant Bassi	Udine	11 III	1937	63	26
31	X. Jerzy Gonzales	Tunii	17 III	1937	44	28
32	Br. Józef Charbonnel	Santorina (Turcja)	23 III	1937	62	43
33	X. Joachim Puyo	Tame (Colombia)	29 III	1937	60	40
34	X. Mikoł. Comerford	Schefield	15 IV	1937	63	40
35	X. Kamil Perosino	Cagliari	15 IV	1937	60	18
36	X. Józef Martorama	Rzym	18 IV	1937	65	40
37	X. August Halinger	Cuvry	22 IV	1937	70	51
38	X. Jan Boyle	Cork	22 IV	1937	86	59

Liczba	Imię i nazwisko	Miejsce zgonu	Dzień	Rok	Rok życia	Rok powołania
39	X. bp. Wojciech Wolgarten	Limon	29 IV	1937	60	42
40	X. Michał Pintado	Palma	27 IV	1937	40	25
41	Br. Hubert Hérail	Prime-Combe	1 V	1937	25	9
42	X. Bernard Ouang	Hangchow	24 IV	1937	46	24
43	X. Tomasz Tch'eng	Chentingfu	17 V	1936	62	29
44	X. Fr. Gattringer	Graz	19 V	1939	74	53
45	X. bp Karol Mejia	Merida (Meksyk)	3 V	1937	84	68
46	X. Maks. Barquin	Matanzas	25 V	1937	72	56
47	Br. J. van den Henvel	Dax	2 VI	1937	78	48
48	X. Ludwik Berenger	Barcelona	29 V	1937	67	58
49	Br. Piotr Salaveria	Linpias	11 XI	1936	60	31
50	X. Mikołaj Sombrock	Quito	22 VI	1937	50	28
51	X. Dionizy O'Sullivan	Paryż	15 VII	1937	66	40
52	X. Tomasz Vaile	»	13 VII	1937	36	12
53	X. Jan Fiammengo	Chicago	26 VII	1937	56	40
54	Br. Antoni Komich	Turyn	28 VII	1937	68	47
55	X. Othon Aluta	Paryż	29 VII	1937	82	62
56	Br. Bron. Ciesielski	Kraków, Kleparz	21 VII	1937	29	6
57	X. Józef Acost	Madryt, zamord.		1937	57	34
58	X. Jakub Lilley	Kansas City	6 VIII	1937	59	96
69	Br. Jan Rochette	Istambuł	9 VIII	1937	75	50
60	X. Paweł Corset	Pekin	12 VIII	1937	57	39
61	X. Herman Villazan	Jaro (Filipiny)	15 VII	1937	53	36
62	X. Eliasz Asmar	Beyrouth	7 IX	1937	43	26
63	X. Józef Shia	Pekin	12 IX	1937	47	27
64	X. bp Jan Guillen	Cajamarca	14 IX	1937	67	50
65	X. Paweł Darbis	Istambuł	23 IX	1937	66	17
66	X. Krzysztof Gornals	Santiago (Chili)	18 IX	1937	53	37
67	X. Leon Ting	Hanghow	4 X	1937	57	28
68	X. Jan Tchang	Pekin	4 X	1937	45	26
79	X. Piotr T'oung	»	10 X	1937	72	38
70	X. Roch Smidt	Princeton	30 IX	1937	46	28
71	X. Salwator Micalizzi	Neapol	14 X	1937		
72	Br. Łazarz Mladendof	Quito	14 X	1937	65	36
73	X. Paweł Bonnery	Paryż	23 X	1937	75	52
74	Br. Fr. Garofalo	Lecce	10 X	1937	65	44
75	X. Jan Manzel	Sassari	23 X	1937	82	50
76	X. bp Fr. Schrawen				64	43
77	X. Łucjan Charny				55	33
78	X. Tomasz Ceska				65	47
89	X. Eug. Bertrand.	zamordowani w Chentingfu	10 X	1937	32	14
80	X. Gerard Wouters				29	9
81	Br. Antoni Geerts				62	37
82	Br. Wł. Prinz				28	8
83	X. Ludwik Bores	Murguia	31 X	1937	56	38
84	X. Ernest Hertault	Paryż	9 XII	1937	73	44
85	X. Daniel Laquintana	Manila	31 X	1937	59	42
86	X. Michał Schmitz	Auchen-Forst	24 XII	1937	72	50
87	X. Daniel Walsch	Cork	26 XII	1937	75	50